

*Borys
Antonenko-Dawydowicz*

ZA PARAWANEM



Czytelnik



ANTONENKO-DAWYDOWICZ

ZA PARAWANEM

*Borys
Antonenko-Dawydowicz*

ZA PARAWANEM

*tłumaczył
Stanisław Rychlicki*

Czytelnik · Warszawa 1974

Tytuł oryginału ukraińskiego
ЗА ШИРМОЮ

Obwolutę i okładkę projektował
MARIAN STACHURSKI

I

Do rozpoczęcia pracy pozostawała jeszcze cała godzina, a do ambulatorium zaledwie dwa kroki — wystarczy przejść przez podwórko. Śniadanie jeszcze nie było gotowe i doktor Postołowski miał zamiar trochę poczytać. Zawahał się, czy wziąć do rąk nowy numer „Medycyny Radzieckiej”, czy wrócić do lektury „Dramatu na polowaniu” Czechowa, przerywanej poprzedniego wieczoru nagłym wyjazdem do chorego. Naturalnie, powinien śledzić na bieżąco wszystkie nowości medycyny, ale należałoby wreszcie poznać Czechowa jak należy, „zaliczyć” go, jak to się mówiło na studiach. Tyle się teraz o tym piszącym lekarzu mówi i pisze!

Literaturę piękną, a szczególnie poezję polubił Postołowski jeszcze w szkole średniej w Perejaślawiu. Interesował się wtedy głównie współczesną poezją ukraińską, wiele wierszy znał na pamięć. Później, kiedy zaczął studiować w Moskwie medycynę, polubił Majakowskiego. Stało się to nie od razu. Przez długi czas nie rozumiał piękna tej przypominającej gromy poezji. Ciężkie bryły słów przygniatały myśl i nie dochodziły do świadomości — zupełnie nie mógł zrozumieć

przyczyny tak wielkiej popularności poety. Dlatego z tym większym uporem, ku zdumieniu kolegów, wdzierał się schodkami tej niezwyklej poezji, aż natrafił na miejsce:

Podzielmy sławę
— toć myśmy swoi ludzie —
niech wspólny pomnik nam wystawi
w trudzie
wybudowany
wśród walk
socjalizm.*

Dopiero w tych wierszach odkrył Majakowskiego. Odkrył go jako liryka, jako trybuna, jako obywatela.

Jego znajomość prozy, szczególnie klasycznej, nie wykraczała jednak poza skąpy program gimnazjalny. Po skończeniu studiów od siedmiu lat tkwił w literaturze medycznej i prawie nie zaglądał do beletrystyki. Dopiero niedawno postanowił przeczytać klasyków, a w pierwszym rzędzie Czechowa. Lekarze, tak samo jak i prawnicy, nie powinni zasklepiać się w wąskim kręgu spraw zawodowych — ich zawód wymaga bowiem dobrej znajomości literatury pięknej. Lektura „Dramatu na polowaniu” niespodziewanie zainteresowała go i miał ochotę wrócić do niej choćby na pół godziny.

Chociaż majowy uzbecki poranek nie przyniósł ani kropli rosy, ani ochłodzenia, nie czuło się jeszcze dusznego żaru dnia i doktor po porannej gimnastyce i umyciu się zimną wodą

Tłum. Władysław Broniewski.

z aryka odczuwał w całym ciele rześkość, z którą tak przyjemnie było rozpoczynać pracę.

Dzień zaczął się dobrze, zgodnie z dawno ustalonym trybem, i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to śniadanie. Jeszcze nie było gotowe i — co gorsze — nie wiedział, kiedy będzie. A wszystko dlatego, że matka doktora, która zajmowała się kuchnią, odkąd przyjechała z Ukrainy, od wczorajszego wieczora leżała osłabiona atakiem malarii, i do przygotowania śniadania zabrała się żona. Nie chciał wchodzić do kuchni i pytać, kiedy wreszcie będzie mógł coś zjeść, bo wiedział, z jaką niechęcią wstała dzisiaj jego żona Nina i z jaką złością krząta się teraz w małej, ciasnej kuchni. Wszystko ją złościło: i choroba teściowej, którą uważała za zwykłą symulację, i nieświeże jajka, które diabli wiedzą kiedy i od kogo kupiła teściowa, i sól, którą stara gdzieś wetknęła...

Śniadania jeszcze nie było, a czas uciekał.

W ostateczności mógłby poczytać trochę i pójść do ambulatorium, a głód zaspokoić później, podczas obiadu, jak to niejednokrotnie robił, gdy z rana wzywano go do chorego; zapewne matka wkrótce poczuje się lepiej, wstanie z łóżka i wówczas z obiadem nie będzie kłopotu, a nawet będzie smaczniejszy. Naruszałoby to jednak normalny porządek dnia i groziło zepsuciem nastroju, a dla lekarza nastrój — to rzecz święta. To nie tylko wewnętrzne zadowolenie, które pozwala pracować bez zmęczenia, to również pogoda ducha i jasność myśli, kiedy od razu intuicyjnie dostrzega się to, czego nie widać bez rentgena i analiz, gdy wybiega się naprzód i widzi możliwy rozwój choroby, kiedy.... Zresztą, co tu mó-

wić! Leczenie, jak wyraził się kiedyś jeden z profesorów, to nie rzemiosło, lecz sztuka, twórczość, powołanie...

Postołowski przeszedł do drugiego pokoju. W ich niewielkim mieszkaniu pokój ten służył mu za gabinet i jednocześnie za sypialnię dla matki. Prawdę mówiąc, to nawet nie za sypialnię, a wyłącznie za miejsce do spania, gdyż matka wchodziła tam tylko wtedy, gdy kładła się spać, i chyba jeszcze wtedy, gdy choroba ścinała ją z nóg. Zazwyczaj wolała cicho siedzieć w kuchni lub na podwórku, aby czasem nie przestawić czegoś w pokojach, gdzie mieszkali jej Olek i synowa.

Łóżko matki stało po prawej stronie za parawanem. To mizerniutkie, drewniane łóżko polowe z siennikiem, w którym słoma już dawno się wykruszyła, było zaścielane połatany prześcieradłem i starą, domowego wyrobu kapą. Wszystko to przywiozła matka z dalekiego Perejasławia, gdy w końcu zdecydowała się zamieszkać u swojego jedyne syna. Nina do tej pory nie może patrzeć bez kpiącego uśmiešku na ten ubogi, prymitywny parawan, a właściwie starą płachtę, rozpiętą na poczerniałych ze starości listwach, cudem tylko trzymających się na zarzewiałych zawiasach. To dzieło prowincjonalnego partacza razem z całym dobytkiem matki nie warte było nawet dziesiątej części opłaty za przewóz do Uzbekistanu, ale matka trzymała się swoich rzeczy tak kurczowo, jak dawniej panna swego posagu. Szczególnie przywiązana była do tego parawanu! Nina, czy to dlatego, że się przeszła, czy też naumyślnie, by sobie pożartować z nieuctwa teściowej, uśmiechając się mówiła nieraz: „Jaki tam karawan! Mówi się — para-

wan. Macie syna lekarza, a mówicie jak na wsi”.

Parawan dawno już należało wyrzucić, gdyż swym wyglądem tylko ich kompromitował, ale miejscowe rzemiosło nie wytwarzało jeszcze nic przyzwoitszego, a i samemu doktorowi w głębi duszy żal było starej matki z jej dziwactwem, i parawan pozostał... Kiedy przychodzili goście, parawan wraz z łóżkiem wynoszono na dwór, i dopóki goście nie wyszli, matka nie miała gdzie spać — na dworze nie pozwalały moskity, a w domu nie wypadało staruszce kłaść się byle gdzie.

Kiedy Postołowski wszedł do pokoju, za parawanem było cicho. Matka, wymęczona w nocy febrą, prawdopodobnie usnęła. Zamknął za sobą drzwi i na palcach, by nie zbudzić staruszki, podszedł do biurka i usiadł. Za parawanem zaszkrzypiało łóżko.

— Pewnie jeszcze nic nie jadłeś? Na dolnej półce w szafie jest ser i trochę mleka, jeśli jeszcze nie skwaśniało...

— Może guzapaja * zawilgła albo z kuchenką coś nie w porządku — powiedział nie słuchając ostatnich słów matki. Dobrze wiedział, że w maju, kiedy wiosenne deszcze ustają na dobre, guzapaja nie może być wilgotna, kuchenka też była niedawno naprawiana, ale musiał coś powiedzieć na usprawiedliwienie żony.

Zegar wskazywał już dwadzieścia po ósmej. Doktor przysunął sobie krzesło do biurka i rozłożył książkę.

Guzapaja (uzb.) — suche krzewy bawełniane służące jako opał.

— Ser jest w rogu, przykryty spodkiem... — usłyszał znów cichy głos matki.

Zachmurzył się. W słowach matki posłyszał aluzję do niedbalstwa i niegospodarności żony.

— Daj spokój, mamu, nie martw się! Zachorowałaś, więc musisz leżeć! Damy sobie jakoś radę — burknął, nie ukrywając niezadowolenia.

— Znowu pójdziesz głodny... — jakby usprawiedliwiając się powiedziała matka i ciężko westchnęła.

Zirytowało go to westchnienie. Chciał powiedzieć, żeby się nie wtrącała do nie swoich spraw, że on i żona obejdą się bez jej pomocy, ale w tym momencie dobiegł z kuchni dziecinnie płacz. Po chwili w drzwiach pojawił się trzyletni Bazio i wyciągając przed siebie rączkę z rozwartymi paluszkami podreptał prosto do babci.

— Babciu, babciu, kuku!

— Nie płacz, Bazylku, nie płacz, dziecinko...

— Mama Baziowi kuku... — skarżył się mały.

— Gdzie masz kuku? Na rączce? Pokaż no...

Parawan zasłaniał Postołowskiemu widok, ale ze szczegółami wyobraził sobie dalszą scenę. Przed laty jego również matka pocieszała tak samo, jak w tej chwili wnuczka — po kolei zagina paluszki, zaczynając od najmniejszego, i nad każdym pieszczotliwie szepcze:

— Groszek, boberek, pszeniczka, tyczka... — Przy dużym palcu nagle podnosi nienaturalnie głos i pociągając leciutko za paluszek wnuczka mówi groźnie: — A ty, stare bobisko... — Tu następuje krótka pauza, babcia niby to zastanawia się, co z tym „starym bobiskiem” zrobić,

a mały rozdziawia usta i aż go zatyka z zachwytu, choć słyszy to nie po raz pierwszy.

— A ty, stare bobisko, fru-u-u za płocisko! — I babcia wyrzuca daleko w bok swą żółtą chudą rękę.

Od tego „fru-u-u” mały parska śmiechem. Chociaż na policzkach błyszczą mu jeszcze nie obeschłe łzy, prosi babcię, by powtórzyła wszystko jeszcze raz od początku, i uparcie wysuwa drugą rączkę.

Przed doktorem leżała otwarta książka, ale myślami był za parawanem. I zaczęły go powoli ogarniać jakieś dziwne, mieszane uczucia: ni to zazdrości z powodu szczerzej, spontanicznej radości synka, ni to żalu, że syn ze swym zmartwieciem pobiegł najpierw do babci, a nie do niego, ni to tęsknoty za czymś niepowtarzalnym, utraconym nie wiadomo gdzie i kiedy. A za parawanem matka powtarzała łagodnie:

— Groszek, boberek, pszeniczka...

Postołowski nie słyszał nawet, jak do pokoju zamaszystym, nerwowym krokiem weszła żona, obrzuciła parawan wściekłym spojrzeniem i krzyknęła ze złością:

— Trzeba wreszcie z tym skończyć! Nie zniosę tego dłużej!... Dziecko zawiniło, ukarałam je, a teściowa — proszę: „Grosiu, bobrosiu”!... Co to za wychowanie? Po cóż to uczyć dziecko takich głupstw?

Doktor wiedział, że żona celowo przekręca słowa rymowanki, że często karze Bazia bez przyczyny, a w ogóle bicie po twarzy i szturchańce to nie są metody wychowawcze, ale nic nie powiedział. Jeśli się odezwie, wyniknie awantura, a musi przecież iść do pracy. Każda praca, a tym

bardziej praca lekarza, wymaga spokoju i równowagi. Wziął ze stołu notatnik, stetoskop i cicho podniósł się z krzesła, unikając spojrzenia żony.

— Świetnie! Wspaniale! Teściowa psuje dziecko, ojciec patrzy na to przez palce, a ja mam się rozerwać!

Ninę aż ponosiło, by wygarnąć starej prawdę, powiedzieć jej wreszcie, że pora skończyć z udawaniem chorej, że jeśli nie rozumie tego syn, lekarz, to ona jest w zupełności o tym przekonana. Skąd ta malaria? To tylko wybieg, przekora, by zwalić na jej barki jeszcze tę przeklętą kuchnię. Nie, tu by się przydała nie atebryna, a . .

Nina kipiała z gniewu, ale za parawanem było cicho. Nie słyhać było nawet małego, który pewno przytulił się z lękiem do babci, i to związało jej ręce. Nie wypadało przy dziecku spędzać starej z łóżka, choć z pewnością zasługiwała na to!

Przygryzła wargi i energicznie podeszła do parawanu. Czując wstręt do tej ohydy, odsunęła skrzydło nogą, nie zaglądając do środka znalazła rękę syna i szarpnęła ją gwałtownie.

— Nie waż mi się tam więcej chodzić!

Bazio wrzeszczał, szamotał się i wyciągał do babci wolną rękę, ale matka ciągnęła go do drzwi.

Już za progiem odezwała się do męża:

— Dlaczego nie idziesz jeść? Jajecznicza na stole, herbata stygnie.

Za parawanem matka cicho westchnęła i Pостоłowski również chciał to uczynić, ale się pohamował. Łóżko matki zaskrzypiało i po podłodze zaczęły się kapcie. Pewnie matka wstała i za-

częła się ubierać. Rzucił okiem na zegarek. Za dziesięć dziewiąta. Westchnął i wyszedł.

Tymczasem w drugim pokoju Nina mówiła Baziowi swój wierszyk. Uchwyciła go między kolana, rozparła się wygodnie na krześle i przytupując do taktu pantoflem skandowała:

Gąski, gąski, pijcieże!
Oto woda... gę - gę - gę!...

Chłopczyk tęsknie wpatrywał się w okno i milczał.

II

Doktor skończył osłuchiwać młodą Uzbeczkę i położył stetoskop na stole. Stwierdził u pacjentki jamy w środkowej części lewego płuca. Z przyzwyczajenia chciał zamknąć na chwilę oczy i wyobrazić sobie zniszczone chorobą płuco, ale przypadkowo spojrział w okno i zobaczył na dziedzińcu ambulatorium czarny, wychudzony grzbiet psa.

Znowu!

Znowu ten przeklęty pies!...

Ze złości zmarszczył czoło i bezradnie rozejrzał się po pokoju.

— Wygonić! Proszę natychmiast wygonić!

Okraglutka jak kłębuszek, krótkonoga siostra Taskira, która w milczeniu siedziała za stołem nakrytym białą serwetą i uważnie zapisywała coś w dzienniku ambulatoryjnym, poderwała się z krzesła.

— Kogo wygonić, panie doktorze?

— Och! — niecierpliwie odwrócił się od niej i lekko poruszył w powietrzu palcami, jakby chciał pochwycić niewidzialną nić i w żaden sposób nie mógł. — Psa! Tę czarną sukę! Znowu przyszła na podwórko!

Siostra Taskira w pośpiechu podreptała do okna, a za plecami doktora bojaźliwie poruszyła się milcząca, zawsze czymś zakłopotana sanitariuszka Saodat i niezdarnie zaczęła nogą o blaszany pojemnik na zużyte opatrunki.

Nie, jednak nie wiodło się dzisiaj doktorowi! Taki pechowy, wyjątkowo nieudany dzień! Wydawało mu się, że siostra wręcz nieprzyzwoicie przechyliła się przez parapet i zbyt głośno, jak na zakład służby zdrowia, krzyczała po uzbecku do kogoś na podwórku, a w dodatku jej krótkie nogi w wyszywanych uzbeckich trzewikach opierały się o ścianę.

„Znowu porysuje ścianę, a niedawno malowali!” — pomyślał z przykrością, ale nic nie powiedział. A kiedy sanitariuszka wybiegając na dwór, by przegonić psa, potrafiła łokciem umywalkę i zabręczała jakąś blacha, opanowało go zupełne zniechęcenie: „Nawet umywalki nie potrafią dobrze zamocować! Wszystko nie wykonane, nic nie jest zrobione jak należy...”

Po chwili siostra Taskira odwróciła się od okna i uroczyście oznajmiła, że psa przepędzono, a sanitariuszka Saodat wchodząc na palcach, cicho, pod nosem bąknęła, że stróż Izmaił zatka dziurę w duwale * kamieniami i deskami i pies nie będzie więcej przechodzić z sąsiedniego podwórka.

Duwał (uzb.) — ogrodzenie z gliny.

Nie poprawiło to jednak humoru doktora. Wiedział, że dzień jest zmarnowany, gdyż nic nie zdoła przywrócić mu dobrego nastroju. Ten nastrój jeszcze w domu zmaćla mu żona, a teraz do reszty popsuł go cień czarnej suki. I zamiast przeprowadzić z pacjentką, jak zwykle w takich wypadkach, wywiad o jej warunkach życiowych, początkach choroby i tak dalej, zamiast zanotować wszystko w karcie choroby, wypisał naprędce dwa skierowania: do rejonowego gabinetu rentgenowskiego i do laboratorium, i przekazawszy je Taskirze, zwrócił się sanitariuszki:

— Kto następny?

Chora Uzbeczka nieśmiało wzięła od Taskiry skierowanie i podniosła się. Jeszcze długo mówiła coś do siostry, bojaźliwie spoglądając na lekarza, ale ten nie zwracał na nią uwagi.

Do pokoju wszedł bosy stary Uzbek, ubrany mimo majowego upału w watowany czapan*. Nie zdejmując z głowy czarnej tiubetejki wyszywanej w białe półksiężyce, z powagą rozsiadł się na stołku przed lekarzem, szykując się do dłuższej rozmowy. Ale siostra od razu wzięła się za niego:

— Nazwisko? Imię? Rok urodzenia?...

Uzbek nawet nie odwrócił do niej głowy i tylko od niechcienia, jakby opędzając się od natrętnej psiny, rzucał siostrze krótkie odpowiedzi. Kiedy Taskira wreszcie zamilkła, Uzbek przysunął stołek bliżej lekarza i cały pochylił się ku niemu, jakby się bał, że lekarz nie wszystko usłyszy i nie wszystko właściwie zrozumie.

Mieszkańcy tutejszego kyszłaku wiedzieli, że

Czapan (uzb.) — krótki chałat.

młody lekarz z doktorchony *, który przyjechał tutaj skądś z daleka, rozumie trochę ich język, i zwracali się do niego zwykle po uzbecku. Ten Uzbek był widocznie z innego kyszlaku, bo mówił mieszaniną rosyjskiego i uzbeckiego, żywo gestykułując. Po każdym słowie dodawał całkiem niepotrzebnie „rozumiesz” i raz po raz dla jasności obrazu klepał się po udach. Do sprawy podchodził z daleka, okrężną drogą, jakby sprowadziła go tu nie choroba, a jakieś kłopoty gospodarskie.

— W naszym kołchozie tigerman jok *, rozumiesz, pszenicę mleć, kukurydzę mleć — trzeba jechać dziesięć kilometrów...

Doktor Postołowski od dawna trzymał się zasady, że należy cierpliwie wysłuchać chorego. Z mnóstwa niepotrzebnych szczegółów, a czasem zwykłych głupstw nauczył się wyławiać to, co było istotne dla ustalenia historii choroby, i z rzadka tylko krótkimi pytaniami kierował myśli pacjenta na właściwy tor. Ale w tej chwili nic nie słyszał. Wbrew jego woli myśl powracała do natrętnej suki i w żaden sposób nie mogła się od niej oderwać.

Wychudzona tak, że z daleka można jej było policzyć wszystkie żebra, suka, jak na ironię losu, miała tylko jedno oko; na miejscu drugiego ziała ropiejąca szczelina z mętym białawym dnem. Utykała na lewą przednią łapę, a na jej grzbiecie widniała wielka szara plama golizny — ślad niedawnego poparzenia. Ta brudna, pokraczna, wiecznie głodna i wystraszona suka by-

Doktorchona (uzb.) — ambulatorium.

Tigerman jok (uzb.) — nie ma młyna.

ła żywym wcieleniem bezdomnej psiej niedoli.

Postołowski nieraz widział, jak prześladowali ją na ulicy chłopcy, starając się trafić kamieniem lub uderzyć kijem; jak na podwórkach, gdzie zjawiała się ukradkiem, cicho przeskakując przez wyszczerbiony duwał (zabiegać z ulicy za dnia bała się), kobiety bez litości oblewały ją gorącą wodą, a starzy dechkanie zamierzali się na nią ketmenami. Uciekała na oślep jak najdalej od swych prześladowców, trzęsąc wysuszonymi jak skórzane woreczki sutkami, ale gdzie indziej spotykało ją to samo. Ileż wysiłku musiało ją kosztować utrzymanie się przy życiu — wiecznie głodnej, upośledzonej, chorej! A jednak dla czegoś tam żyła, i by przedłużyć swą nędzną egzystencję, zabiegała niekiedy na podwórko ambulatorium, próżno sądząc, że się tu czymś pożywi.

Brudny, odrażający stwór, chodzące źródło wszelkiej infekcji — na podwórzu ośrodka zdrowia! Na podwórzu, gdzie zawsze było zamieciono i panował wzorowy porządek, gdzie rankiem w zaciszu młodych drzew wyczekiwali swej kolejki dorośli pacjenci, a na ławeczkach siedziały ich dzieci! Czy można na to pozwolić?... Na domiar złego suka dostawała się na podwórko ukradkiem przez ogród, który doktor sam zasadził, deptała wątle pędy kandalaków, łamała młode krzaczki pomidorów, niszczyła winną latorośl. Dozorca Izmał wiedział, że doktor nie znosi widoku psa, i bił ją czym popadło, jeśli nie zdążyła w porę uskoczyć, dzieci chorych pacjentów również dokuczały ogłupiałemu zwierzęciu na wszelkie sposoby, a mimo to po jednym czy dwóch dniach Postołowski znow ją widział na

podwórku. Czy dlatego, że zahukana, gnana ze-
wsząd, zapominała o grożących niebezpieczeń-
stwach, czy może tych niebezpieczeństw w jej
życiu było już tyle, że trudno się było ich ustrzec,
fakt, że pojawiała się nie wiadomo skąd, by zno-
wu się przekonać, że w ośrodku nic do jedzenia
nie ma i być nie może, i chyba po to jeszcze, by
zepsuć doktorowi humor. Nieszczęsna suka dzia-
łała doktorowi na nerwy nie tylko dlatego, że
naruszała zaprowadzony z takim trudem porzą-
dek i czystość w ośrodku, wyrządzała szkody w
sadzie i ogrodzie; w samym jej ohydny wyglądzie,
lękliwych ruchach i wiecznie wystraszo-
nym oku, które nikomu nie wierzyło, Postołow-
ski dostrzegał jakieś bolesne oskarżenie, rzucone
nie tylko jemu, ale wszystkiemu, co było normal-
ne, zdrowe i piękne. Wydawało mu się, że to ro-
piejące oko, które nie patrzyło normalnie, lecz
zerało, i ten suchy z wiecznego pragnienia psi
pysk — suka nigdy nie szczyrzyła zębów na prze-
śladowców i nie wydawała żadnych dźwięków
prócz żalosego skowytu po celnym uderzeniu —
niemo, ale wyraźnie mówiły: „To prawda, że je-
stem brzydka i odrażająca, ale jestem istotą ży-
jącą. Ja też, jak i wy, chcę żyć. Dlaczego za-
mierzacie się na to ostatnie, co mi pozostało —
na moją biedną egzystencję? Dajcie mi chociaż
cząstkę tego, co macie, a pójdę sobie. Ale dajcie!
Jak wam nie wstyd rzucać we mnie kamienia-
mi!”

Na widok tej suki Postołowski przypominał so-
bie wszystko, co kiedykolwiek czytał o psach;
w jego pamięci zjawiały się Turgieniewowska
Mumu, Czechowowska Kasztanka, Kuprinowski
pudel. Wszystkie one mieściły się w pojęciu, do

którego przywykł od dzieciństwa: pies to przyjaciel człowieka. W odniesieniu do suki słowa, które tak często powtarzał niegdyś jego ojciec-myśliwy, brzmiały jak sarkastyczna ironia. Jedynym uczuciem, jakiego doznawał na jej widok, była odraza. Ale równocześnie była ona żywą, jakby obnażoną alegorią czegoś takiego, czego do końca nie przemyślał, o czym właściwie nie chciał myśleć, ale myśli same natrętnie cisnęły się do głowy...

Tymczasem Uzbek ciągnął swoje:

— No to ja, rozumiesz, mówię do Abduli. Abdula — to mój młodszy brat. Jest jeszcze drugi brat, ale Abdula jest starszy od niego... No to mówię, rozumiesz, do Abduli...

Doktor podniósł na pacjenta zdziwiony wzrok, jakby dopiero teraz go zobaczył, i starając się skupić uwagę na chorym, odchylił głowę do tyłu, jakby tym ruchem chciał odegnać od siebie natrętne myśli.

— Gdzie boli? — przerwał raptem gadatliwemu pacjentowi i zmierzył go uważnym spojrzeniem.

— Boli? — ze zdumieniem powtórzył Uzbek, jak gdyby nie spodziewał się takiego pytania. Najpierw trzeba przecież opowiedzieć wszystko, co i jak, a wtedy dopiero — o chorobie. — Boli mnie w boku... tu — pokazał obojętnie palcem pod prawą pachę i od razu powrócił do przerwanej opowieści. — Abdula, rozumiesz, chce jechać do tigermanu, a ja mu mówię: „Tigerman daleko, wieczór tuż, tuż, niebawem noc...”

— Ile dni boli? Dwa, trzy, tydzień? — nie słuchając przerwał mu doktor.

— Ile dni boli? — znów zdziwił się Uzbek

i bezradnie rozłożył ręce. — Boli cztery dni... No to, Abdula, rozumiesz...

Ale Postołowski nie słuchał go już. Jego uwaga zatrzymała się przypadkowo na słowie „tiger-man”; pomyślał, że to słowo brzmi jakoś dziwnie, nie po uzbecku, przypomina raczej niemieckie czy żydowskie nazwisko: Seemann, Mugermann, Tigermann... Przyłapał się na postronnej myśli i uczynił wysiłek, by wysłuchać chorego, jak należy, do końca. Wyciągnął rękę po stetoskop z zamiarem osłuchania płuc, ale znów mu przeszkodził nie kończący się wywód:

— ...Ja, rozumiesz, mówię Abduli: „Słońce zachodzi — koniec! Wszystko kładzie się spać, wszystko śpi: koń, osioł, krowa, kury, nie można teraz jechać do tigermanu...”

Postołowski cofnął wyciągniętą rękę. Wziął pióro i energicznie napisał w karcie choroby w rubryce „rozpoznanie”: *Nihil*. Podnosząc się od stołu wydał siostrze polecenie:

— Jakąkolwiek maść do nacierania i bańki na prawy bok...

III

Po wyjściu z ambulatorium Postołowski nie poszedł wprost do domu, chociaż odczuwał nieprzyjemną czczość. Korciło go, by zobaczyć przedtem, jakie szkody wyrządził dzisiaj przekłety pies, i przez młody sad udał się do ogrodu. Nastrój miał fatalny, był bardzo niezadowolony z dzisiejszego dnia i z samego siebie. Wszystko szło na opak. I z tą gruźliczką właściwie nie do-

prowadził sprawy do końca, i z tym gadułą Uzbekiem obszedł się byle jak, jak stary felczer-pijanica. A do tego jeszcze ten pies!... Jakby mało mu było wszystkich dzisiejszych przykrości, zapragnął znaleźć bodaj ślady jego najścia. Rozsuwając ostrożnie gałęzie młodych drzew i starając się nie nadepnąć na kwiaty i małe kulki kandalaków, skierował się do dziury w duwale. Tędy zazwyczaj pies dostawał się na teren ośrodka.

— No tak, tego się spodziewałem — powiedział do siebie oburzony, schylając się nad złamanym pędem, którego koniec zaczął już usychać. — Potwór! I co z nim zrobić?

Poszedł dalej, uważnie szukając dalszych szkód, gdy nagle usłyszał w pobliżu duwału głos matki. Matka cicho z kimś rozmawiała.

„Kto to może być?” — zdziwił się wiedząc, że matka do tej pory prawie nie zna uzbeckiego, z wyjątkiem chyba liczb, bez czego trudno by się było obejść na bazarze; jeśli zdarzało się jej stykać z Uzbekami, uciekała się do mimiki i gestykulacji.

Matka stała do niego tyłem i schylona przemawiała do kogoś:

— Jedz, jedz, ty kudłaczu! Jakiś ty głodny i brudny!...

Wyciągnęła do przodu rękę i prawdopodobnie kucnęła, bo niemal całkowicie zniknęła za gęstymi, wysokimi krzakami pomidorów. Zaciekawiony doktor obszedł w pośpiechu grządkę i stanął z boku. Jakież było jego zdziwienie, kiedy zobaczył, że matka głaszcze tego ohydneho, jednookiego psa!

— No, proszę! — prawie krzyknął ze zdumie-

nia i oburzenia. — Ja nakazuję wszystkim, by go przepędzali, a ty, mamó, proszę!...

Pies na dźwięk męskiego głosu bojaźliwie odskoczył do tyłu i oblizując się zerkał ukradkiem na Postołowskiego, zastanawiając się pewnie, czy próbować przeczekać biedę, czy lepiej uciekać póki czas.

— I nawet z miski go karmisz? — dorzucił, zrobiwszy krok do przodu, by lepiej się przyjrzeć tej dziwnej scenie. Pies, wystraszony, odskoczył w bok i chciał już uciekać, ale usłyszawszy głos matki zatrzymał się.

— Wzięłam dla niego starą, dziurawą miskę, tylko zatkałam dziurę szmatką — jakby usprawiedliwiając się wyjaśniła matka i obróciła do syna pomarszczoną twarz. — On taki biedny, Olku, wszyscy go biją!

Ostrożnie podsunęła psu miskę, w której znajdowały się resztki wczorajszej zupy, i powiedziała łagodnie: — Jedz, piesku, jedz. Nie bój się! Nikt ciebie nie uderzy.

— Nie o to chodzi, mamó, żeś wzięła miskę — bąknął niezadowolony wiedząc, że matka wcale się boi, żeby on i Nina nie posądzili jej o marnotrawstwo. — Miska to głupstwo. Ale po co wpuszczasz psa na podwórko?

— Żal mi go, Olku, on taki nieszczęśliwy! — odpowiedziała matka cicho i powoli podniosła się z ziemi.

— „Nieszczęśliwy”!... Przecież to chodząca zaraza!

— Czyż on winien, że jest taki?... — smutno uśmiechnęła się matka i popatrzyła mu w oczy swym jasnym, zafrasowanym spojrzeniem.

Postołowski chciał odpowiedzieć ostro, ale od

spojrzenia matki zrobiło mu się nieswojo i poczuł, że nie może się już na nią gniewać. Przeniósł wzrok na psa, który z daleka obwąchiwał chciwie miskę, ale się nie zbliżał, potem spojrzął ukradkiem na matkę i jej twarz wydała mu się bardziej żalosna niż przedtem.

„Przecież ona jest jeszcze chora, niepotrzebnie wstała z łóżka” — pomyślał i powoli zawrócił.

IV

Popołudniowe przyjęcia chorych dobiegły końca i Postołowski wyszedł na ganek ambulatorium.

Zmierzchało. Za drzewami kyszłaku pospiesznie chowało się słońce, a w powietrzu pojawiły się pierwsze moskity.

Po całym dniu spędzonym wśród ludzi chciał pobyć trochę w samotności, zebrać rozproszone kłopotami myśli, i wolnym krokiem zaczął spacerować po podwórku.

Trzy lata temu, kiedy przyjechał tu jako młody lekarz, podwórze wyglądało jak żalosne, zarosnięte chwastami pustkowie. Kiedyś, jeszcze przed kolektywizacją, zabudowania obecnej doktorchony były własnością zamożnego beja. Dwa białe budynki z oknami od podwórza i ślepyimi ścianami od ulicy, żeby żadne obce oko nie mogło dojrzeć żon beja, służyły właścicielowi za mieszkanie, trzeci stanowił pomieszczenie dla służby i spiżarnię. Potężna brama z maleńką furtką i masywnymi zasuwami, a także wysoki szary duwał, który odgradzał dwór od sąsiadów, nada-

wały obejściu wygląd małej fortecy czy nawet więzienia. Tu, na to wielkie podwórze, zwożono niegdyś bawełnę, pszenicę i ryż, do beja przychodzili rosyjscy handlarze i urzędnicy, na podwórzu było tłoczno od arb i obładowanych osłów. Pośrodku podwórza wznosiła się ogromna szopa, w której cieniu odpoczywały konie beja i chowali się przed żarem najmici. O tym wszystkim opowiedział doktorowi stary dozorca Izmaïł, który pozostał jedynym z całej czeladzi beja świadkiem tych odległych czasów.

Kiedy w Namanganie Postołowski zgłosił się do wydziału zdrowia, zastępca kierownika wręczając mu skierowanie powiedział z westchnieniem:

— Nasz Uzbekistan nie zaznał co prawda grozy wojny, ale w tym czasie niegospodarne, a czasem i drapieżne ręce wyrządziły niektórym zakładom służby zdrowia szkodę nie mniejszą niż na zachodzie bomby... Z mieszkaniem będzie wam na początku ciężko.

Widząc, jak spochmurniał od tych słów nowy lekarz, zastępca nie omieszkał dodać:

— Ale, rzecz jasna, to tylko na początku, później wszystko się ułoży. Wiecie, jak to często bywa w pociągu: gdy ruszy, nie ma nawet gdzie usiąść, a po kilku godzinach już śpi się wygodnie na półce...

Zastępca uśmiechnął się zachęcająco, ale twarz Postołowskiego pozostała chmurna.

Jednak nie kłopoty mieszkaniowe i perspektywa poniewierania się po cudzych kątach zaprzątały wtedy myśli doktora. W czasie wojennej tułaczki zdążył się do tego przyzwyczaić. Po prostu poczuł się nieswojo, kiedy zastępca napo-

mknął o wojnie. Często, gdy rozmowa schodziła przypadkowo na te tematy, doktorowi wydawało się, że jego rozmówca przypatruje mu się ukradkiem, jakby chciał zapytać: „A gdzie to się podziewał towarzysz lekarz w czasach ogólnonarodowej próby? Dlaczego na waszym ciele nie ma blizn od ran, a na marynarce nie widać baretek?...”

Na rok przed wybuchem wojny Postołowski, już żonaty i po studiach, dostał skierowanie do głuchego, zabitego deskami rejonu w północnej części nowo powstałego obwodu lwowskiego. Nina oczywiście tam nie pojechała, i gdyby nie szalejąca w Europie wojna, która i w ZSRR budziła niepewność i trwogę, wykorzystałaby wszystkie swoje znajomości, żeby załatwić mężowi pracę jeśli nie w samej Moskwie, to w najgorszym razie w jej pobliżu. Niestety, wojna wszystko poplątała...

Postołowski nie zdążył się nawet przyzwycząić do nowych warunków, kiedy pewnego czerwcowego poranka spadło to na nich jak grom z jasnego nieba...

Złowieszcze chmury od dawna zbierały się na zachodnich granicach Związku Radzieckiego, ale ani Postołowskiemu, ani milionom innych ludzi nawet przez myśl nie przeszło, że burza wojenna tak zniemacka wszystkich zaskoczy. W pośpiechu, nawet nie zdążywszy napisać listu do żony ani tym bardziej do matki, przekazał swoje lekarskie gospodarstwo pielęgniarce i udał się do rejonu, by spełnić swój obywatelski obowiązek.

Wieczorem dobrnął do rejonu, lecz nie zastał nikogo ani w wydziale zdrowia, ani nawet w ko-

misariacie wojskowym. Opustoszał również szpital rejonowy — ostatnia podwoda ze sprzętem medycznym odjeżdżała na wschód, dokąd przed paru godzinami prysnął ordynator i wszyscy niemiejscowi lekarze. Stara kucharka, galicjanka, rozglądając się z lękiem powiedziała mu szeptem, że z miasta puciekali wszyscy „sowieci”, gdyż ktoś przyniósł wiadomość, iż gdzieś niedaleko widziano już niemieckich motocyklistów...

Jak powinien był postąpić? Wyjazd na wschód wydawał mu się rzeczą niegodną. Nie namyślając się długo pozostawił swoje rzeczy w szpitalu i pieszo udał się na południowy zachód, by dołączyć do pierwszego lepszego oddziału, który będzie szedł na front.

Nigdy by nie uwierzył, gdyby mu ktoś powiedział, że właśnie ten kierunek uniemożliwi mu wypełnienie obywatelskiego obowiązku. Ale stała się rzecz nie do wiary. Co prawda, nie było w tym nic dziwnego, że następnego ranka, kiedy przeszedł jakieś trzydzieści kilometrów, zatrzymał go na rozdrożu w lesie wojskowy patrol. Taka ostrożność była zrozumiała. Ale gdy przekazano go młodemu porucznikowi NKWD, a ten, mimo iż Postołowski posiadał wszystkie dokumenty, zaczął go podejrzewać o wszelkie grzechy śmiertelne, zaczęło go to irytować. A już całkowicie zaskoczył doktora posępny kapitan, który przyczepił się do jego nazwiska na „ski”. Z przesłuchania, jakiemu go poddał, wsłuchując się równocześnie z trwogą w daleką kanonadę artyleryjską, wynikało, że ów srogi i zarazem wystraszony kapitan z czerwonymi od niewyspania oczyma nie wierzy żadnemu jego słowu. Dla niego nie był on lekarzem Postołowskim, ale nie-

dobitkiem rozgromionego przed dwoma laty wojska Rydza-Śmigłego albo ukraińskim nacjonalistą, który wylazł z kryjówki i spieszy do Niemców. Było śmieszne i smutne zarazem, że za największy, chociaż jedyny dowód jego niecnych zamiarów wszyscy wojskowi uznali właśnie to, co on sam uważał za jedynie słuszne i uczciwe: dlaczego udawał się na zachód, podczas gdy wojsko, radzieckie urzędy i ludność — wszyscy uchodzili na wschód? Ten ogólny ruch za graniczną niegdyś rzekę Zbrucz nasilał się z dnia na dzień, unosząc ze sobą i aresztowanego doktora Postołowskiego. Trwoga zamieniała się w panikę, a wszystko to coraz bardziej zwiększało podejrzenia i chimerycznym oskarżeniom nadawało całkiem prawdopodobne rysy. Bywały momenty, kiedy doktorowi wydawało się, że ludzie, w których ręku znalazł się jego los, zaczęli wątpić, czy warto cackać się z tym niewątpliwym, chociaż maskującym się wrogiem...

I oto doktor, zamiast znaleźć się na froncie, przeszedł całą Ukrainę pod strażą, w towarzystwie wszelakiego podejrzanego elementu, i obszarpany, wymizerowany, załamany dobrnął do Woroneża i znalazł się w więzieniu. Otrząsnąwszy się trochę z tego wszystkiego, co tak gwałtownie na niego spadło, zaczął stanowczo nalegać, by rozpatrzono wreszcie jego sprawę i posłano go na front. Ale tam, w spokojniejszych już nieco warunkach, sami wzięli się za niego na serio. Był wielokrotnie wzywany na przesłuchania, dokładnie wypytywano go, gdzie studiował i skąd dostał nakaz pracy do obwodu lwowskiego, telefonowali nawet do Moskwy. Zanim jednak nadeszły z Moskwy wszystkie potrzebne da-

ne, od których rozsypały się jak domek z kart wszelkie fantastyczne oskarżenia, wojna podeszła do Woroneża.

W komisariacie wojskowym, dokąd Postołowski przyszedł prosto z więzienia, trwały już gorączkowe przygotowania do ewakuacji i w niebywałym rozgardiaszu przydzielono go jako lekarza do pociągu sanitarnego, w którym podczas nalotu zginął prawie cały personel lekarski. Pociąg ten zawiózł Postołowskiego w głąb Syberii, do maleńkiej miejscowości kuracyjnej w Chakasji, gdzie zaczął się formować szpital wojskowy. Miejscowy komisariat, do którego zgłosił się po przekazaniu rannych, pomimo protestów skierował go... do tego właśnie szpitala. W rejonie dawno już wyczerpano kontyngent lekarzy w wieku poborowym i na uporczywe starania starej lekarki, która została głównym lekarzem szpitala wojskowego, komisariat mógł posłać jedynie Postołowskiego, który tak nieoczekiwanie nawinął się pod rękę. Stara lekarka złapała go — jedyne go lekarza-mężczyznę — jak diabeł dobrą duszę i na wszystkie prośby lekarza odpowiadała kategorycznie: „Nie ma różnicy, gdzie się leczy rannych, czy na zachodzie, czy na wschodzie, teraz jest pan potrzebny właśnie tutaj”. W ten sposób Postołowski pozostał na głębokich tyłach i chociaż nosił dystynkcje kapitana, jednak prochu nie wachał... Pod koniec wojny otrzymał medal „Za zwycięstwo nad Niemcami”, ale wstydził się o tym wspominać nawet w ankietach — przecież tę oznakę dostawali również ludzie, którzy podczas wojny pracowali na tyłach, a według niego miejsce młodego lekarza było na froncie... Ale stało się tak, jak się sta-

ło — jak miała zwyczaj mawiać jego matka — i słowa te z goryczą odniósł do siebie. Może właśnie przez to rozgoryczenie Postołowski, kiedy skończyła się wojna i ewakuowani lekarze wracali na zachód, poprosił w Moskwie o skierowanie na wschód, tam, gdzie najbardziej odczuwano brak lekarzy.

Gdy przybył tu z Namanganu pochmurnego jesiennego popołudnia, wydało mu się, że wojna skończyła się nie rok temu, a dopiero co przebrzmiały ostatnie wybuchy bomb i z pewnością gdzieś w pobliżu tłą się jeszcze zgorzeliska.

Z trzech budynków ocalał tylko jeden, najmniejszy, w którym z trudem zmieściło się ubogie ambulatorium. Drugi budynek, przeznaczony na mieszkanie lekarza, nie miał drzwi i szyb; ściany były odrapane, piec na wpół zrujnowany, bez drzwiczek i rusztu; w podziurawionej i miejscami zwęglonej podłodze brakowało desek. Trzeci budynek był w całkowitej ruinie, ostały się tylko ściany z żaluzjami otworami po oknach i drzwiach — ani dachu, ani sufitu, ani podłogi. Tylko stosy potłuczonej cegły, śmieci i wszelkich odpadków...

Na podwórzu bujnie rozrosły się chwasty, polowały na ptactwo półdzikie koty, czasem przypęzła żmija, a koło wyszczerbionego i podziurawionego w wielu miejscach duwału szperały skorpiony... Szopy dawno już nie było, pozostały po niej tylko obrąbane przy ziemi słupki, ale i one tonęły w chwastach. Tylko brama stała nieknięta — solidna i mocna, jak za czasów beja. W furtce zachowało się nawet okienko, przez które można było wyjrzeć na ulicę i sprawdzić, kto stuka.

Pustka, ruina, odludzie...

Ogarnęła go prawie rozpacz. Jadąc tutaj, do zabitego deskami, odległego kyszlaku, spodziewał się wszystkiego: zacoiania, zabobonów, skorpionów, tropikalnych upałów, epidemii — ale nie takiej ruiny! W dodatku w bramie, wysoko nad głową, zwisał z belki urwany sznur. Od najmniejszego podmuchu wiatru sznur zaczynał się kołysać. Zupełnie jakby niedawno powiesił się na nim z rozpaczony jakiś nieszczęśnik i jego zsiadłe zwłoki zostały dopiero co wyniesione z tej ponurej pustki.

Pierwsza myśl, która przyszła mu wtedy do głowy, gdy otrząsnął się trochę z przygniatającego wrażenia, była taka: jakie to szczęście, że przyjechał sam, bez żony... Nina przyjechała w osiem miesięcy później, zwabiona w końcu egzotyką Azji Środkowej, i zastała mieszkanie wyremontowane, oświetlone, gotowe, a jednak zachnęła się. A co by było, gdyby zobaczyła te ruiny, to podwórze zarośnięte burzanem i ten sznur nad głową! Jaki gwałt by podniosła, gdyby się dowiedziała, że w pierwszych dniach pobytu własnoręcznie zabił na ścianie dwa skorpiony!...

Następnego dnia, gdy powtórnie obejrzał, tym razem w świetle słonecznego poranka, całe to żalosne gospodarstwo, ze zdwojoną energią zabrał się do robienia porządków. Nie, nie uległ panice, nie zląkł się trudności, nie zdezerterował! Właśnie dlatego prosił o skierowanie tutaj, że nie chciał iść wydeptaną ścieżką, lecz pragnął „ziemię dziewiczą” uprawiać. Nie miał zamiaru siedzieć w zacisznym, ciepłym miejscu, bo postanowił nieść kulturę medyczną tam, gdzie jej tak brakowało. Lepiej być pierwszym na wsi niż

drugim w mieście — mówili kiedyś Rzymianie, i on, lekarz Postołowski, będzie tym pierwszym wśród lekarzy Uzbekistanu!...

Wiele czasu, starań i pracy kosztował go remont ambulatorium i mieszkania. Postanowił przekształcić ogromny teren w młody sad, ogród i podwórze. Sam, zakasawszy rękawy, rozbijał zawzięcie zeschnięty, gliniasty grunt, kopał dołki pod drzewka i pogłębiał zasypany, ledwie widoczny aryk, którym doprowadzano kiedyś wodę z ulicy do zagrody. Pot lał mu się z czoła strumieniami i wysychały z pragnienia usta, a on z rozwichrzonym włosiem wciąż kopał i kopał. Za jego przykładem poszli inni. W inicjowanych przez niego pracach społecznych brali udział nie tylko stali pracownicy ośrodka — siostra Taskira, sanitariuszka Saodat i dozorca Izmał, ale również bonifikator* i trzy higienistki, którzy rzadko bywali w ośrodku, gdyż zapobiegali wybuchom malarii w kyszłakach i na plantacjach bawełny.

Siostra Taskira, niezadowolona z tego, że zatrzymują ją po pracy, nosiła wodę z aryka, demonstracyjnie spoglądając na zegarek; bonifikator z higienistkami plewili chwasty i równali grunt; dozorca Izmał, ćmiąc papierosa, w milczeniu sadił drzewka i ciężko, niczym tresowany słoń w cyrku, udeptywał bosymi nogami świeżą ziemię, a sanitariuszka Saodat kręciła się wśród zwalów gruzu. Wprawdzie pracowała ofiarnie, ale po jej minie można się było domyślić, że uważa tę pracę za zbędną, bo wymachiwanie ket-

Bonifikator — pracownik służby zdrowia, niszczący komary widliszki.

menem to nie jest zajęcie dla personelu lekarskiego...

A jednak pracowali. Robota uparcie posuwała się naprzód i wreszcie uporządkowali podwórko, posadzili drzewa, skopali ogród.

Tej wiosny po raz pierwszy zakwitły niskie wiśnie i morele, nabierały sił młode grusze i brzoskwinie, na skraju sadu nadspodziewanie szybko rozrosły się młode topole, a ich gęste korony tworzyły w górze zielone sklepienie. Pod topolami, oddzielającymi sad od niewielkiego podwórka, rozrosły się krzaki jaśminu, a przed nimi w paradnym szeregu ustawiły się dorodne georginie.

I nawet teraz, idąc w zamyśleniu przez podwórze, doktor — który to już raz — z zadowoleniem popatrzył na piękny ogród, rozciągający się w miejscu niedawnego pustkowia. I poczuł się dumny, że to on dał mu początek.

Przeszedł obok swego domu, na progu którego siedziała matka, i udał się w stronę trzeciego budynku. Jego uwadze nie uszła jednak drobna, ale dość charakterystyczna dla ich rodziny scenka. Z drzwi mieszkania wyskoczył Bazio. Jeden z policzków miał wydepty, do zaślinionych warg przyciskał trąbkę, ale przeszkadzały mu dmuchać zapchane usta. Wyjął z buzi cukierka i podał babci.

— Jedz, babciu.

— Dziękuję, Bazylku, zjedz sam, kochanie. Tylko po co włożyłeś na raz tyle cukierków do buzi?

— Żeby mama nie widziała. Mama mówi: „Nie dawaj cukierków babci”.

— Ale babcia nie chce cukierków, zjedz sam,

dziecinko! — staruszka delikatnie odsunęła rączkę wnuczka, lecz mały, dumny ze swego wycyznu, upierał się:

— Nie, jedz! Jedz, babciu! No, jedz!...

Aby sprawić mu przyjemność, babcia wzięła cukierek, podniosła do ust i udała, że je. Głęboko westchnęła i uśmiechając się ze smutkiem pogładziła chłopczyka po głowie. Bazio momentalnie się uspokoił, zjadł cukierki i zaczął skakać na jednej nodze, co sił dmuchając w swą trąbkę. Podwórko napełniło się ostrymi, nieprzyjemnymi dźwiękami, ale staruszka słuchała tego bez protestu i gdy chłopiec przerwał, by zobaczyć, jak podoba się jego muzyka babci, z uśmiechem pokręciła głową:

— Oj, jak pięknie!... To już umiesz grać?

Nina, zamykając okno, krzyknęła z pokoju:

— Bazylek! Przestań mi grać na nerwach, bo wyrzucę tę okropną fujarkę!

Mały znów przyłożył do ust trąbkę, ale babka syknęła i przygarnęła go do siebie.

— Posłuchaj, Bazylku, ja ci zaśpiewam piosenkę.

Chłopiec opuścił trąbkę i wlepił oczy w usta babci. Staruszka, głaszcząc go po głowie, cicho zanuciła:

Ty ż, buło, dudaryku,

Ty ż, buło, sełom idesz

Ty ż, buło, w dudę hrajesz...

— Baziu, chodź już spać! — dobiegł z sieni kategoryczny głos Niny i śpiew urwał się.

Doktor przez otwór w ścianie wszedł do zrujnowanego budynku i chociaż na podwórku nagle

zrobiło się cicho, śpiew matki w dalszym ciągu dźwięczał mu w uszach i myśl sama podsuwała znajome z dzieciństwa, lecz dawno już zapomniane słowa:

Teper tebe ne maje,
Duda twoja hulaje...

Nie wiadomo, czy od tych słów i na wpół banalnego, na wpół poważnego motywu, który zbudził w sercu jakiś przyćmiony obraz, czy może od widoku tych na pół rozwalonych ścian, nad którymi wysoko na niebie ukazała się już pierwsza gwiazda, Postołowskiemu zrobiło się smutno.

Ten trzeci budynek, w którym z powodzeniem można by ulokować izbę porodową, stał dotąd nie odbudowany.

Nie służył już, co prawda, za śmietnik — sanitariuszka Saodat nareszcie oduczyła się wyrzucać tutaj odpadki i wszelkie niepotrzebne rzeczy, ale odrapane mury nie harmonizowały ze schludnym, czystym podwórzem, georginiami i tym wszystkim, co zdążył tu zrobić lekarz Postołowski.

Jedna sprawa, jak nie spłacony dług, nie dawała spać doktorowi — izba porodowa. Uzbeckie kobiety rodzą po kibitkach w okropnych, antysanitarnych warunkach, często bez lekarza czy położnej, a tu tymczasem stoją gołe ściany i aż proszą się o remont! Czy można się z tym pogodzić w trzydzieści lat po rewolucji?... Doktor nieraz mówił o tym w wydziale zdrowia, lecz tam nie widziano jeszcze żadnych możliwości rychłego załatwienia tej sprawy. Kołatał również w

obwodzie, ale tamtejsi urzędnicy obojętnie wzruszali ramionami, odwołując się do kompetencji rejonu. Uzbeki rodziły nadal w domu, a odrapane mury tego budynku w dalszym ciągu pozostawały smutnym *memento* wśród zabudowań ośrodka.

I nagle przysłała mu do głowy myśl: A gdyby tak zbudować izbę porodową własnymi siłami? Nie czekając na zgodę władz rejonowych, pomoc i pieniądze, przekonać dechkan, by zabrali się sami do roboty? Powiedzmy, drogą zobowiązań... Najpierw trzeba byłoby pomówić z ludźmi, najlepiej z tymi, którzy się u niego już leczyli, potem z zarządem kołchozu...

Przy perspektywie rozmowy z przewodniczącym kołchozu, przebiegłym Rachimbekowem, spadł z obłoków na ziemię. Aż się uśmiechnął wyobrażając sobie, jak Rachimbekow zacznie kręcić. Na pewno nie odmówi, bo w pojęciu Uzbeków byłoby to nietaktowne; wyrazi więc zgodę, przytaknie temu niespokojnemu, dziwnemu Orysowi *, ba, nawet coś przyobieca, bo tego również wymaga uzbecka uprzejmość; ale można być pewnym, że sam niczego nie zrobi. Dechkanie w ogóle nie lubią leżeć w szpitalu, a o tym, żeby wozili swoje żony na poród — nawet nie ma co marzyć!... I raptem brać się samemu za szpital, za tę izbę porodową, tracić na to czas, energię, budulec, szczególnie drewno, o które tutaj tak trudno, zamećzać konie... Nie, taka niepopularna idea chyba nie znajdzie wielu zwolenników!

A jednak trzeba to zrobić.

Orys (uzb.) — Rosjanin.

Doktorowi przypomniało się, jak na początku męczył się w zimie z opałem, jak bez końca posyłał sanitariuszkę, siostrę, wreszcie sam biegał od jednego przewodniczącego do drugiego, by przysłali do ambulatorium chociaż z jedną furę guzapai — wszystko bez skutku. Wszyscy wiedzieli, że kołchozy mają dostarczać opał, wszyscy potakiwali, obiecywali, a doktor z personelem i chorymi ciągle marzli w nie opalanym budynku.

Kto wie, jak długo trzeba byłoby czekać na tę przeklętą guzapaję, gdyby Postołowski nie zabrał się do tego w inny sposób. Przestał posyłać swoje pomocnice, również i sam przestał kołatać. Skorzystał z ckażji i wystąpił na zebraniu ogólnym w radzie gromadzkiej, a później w poszczególnych kołchozach. Już nie prosił. Energetycznie i z właściwą mu stanowczością przystąpił do ataku. Wskazywał na winnych, gromił i żądał. I to pomogło. Nie musiał się więcej troszczyć o guzapaję. Rachimbekow, spotykając się z nim, do tej pory uważa za swój obowiązek zapytać: „Czy ma pan, doktorze, guzapaję?” Pyta naturalnie tylko z uprzejmości, bo dobrze wie, że w doktorchonie jest jej pod dostatkiem. Czemuż by i teraz nie spróbować przełamać tej obojętności, tej przeklętej inercji? Można! Doktor Postołowski tego dokona! Powinien tylko więcej rozmawiać z ludźmi, wykazać więcej zapału i upor.

Nawet się nie spostrzegł, jak zapadła noc. Na niebie, jak złote iskry gęsto rozsiane na ciemnozielonym aksamicie, migotały wielkie gwiazdy.

V

Wracając od chorego Postołowski zatrzymał się przy bramie ośrodka. Z daleka dostrzegł zbliżającą się żonę w kremowym kapeluszu z szerokim, wygiętym rondem. Szła powoli, ciężko oddychając od spiekoty i duszności; jej lewa ręka, obciążona skrzynką z farbami, bezwolnie zwisała w dół, w prawej trzymała wspartą na ramieniu rozłożoną czerwoną parasolkę. Suknia o kroju kimona, ładnie uszyta z kolorowego uzbeckiego jedwabiu w pasy, była dość obcisła i Postołowski mimo woli zauważył, że biust żony przedwcześnie się obniżył, a w ogóle cała jej figura zdradza tendencję do niemiłej dla oka otyłości. „Kiedy zdążyła się tak zaokrąglić? — pomyślał zdziwiony. — Przecież nie tak dawno była całkiem szczupła...”

— Och, ta Azja! — ciężko westchnęła Nina, z wysiłkiem przestępując przez próg furtki. Gdy zatrzymali się na podwórzu, leciutko uniosła w górę cienkie, delikatnie podmalowane brwi, i udając bezradną, skrzywdzoną dziewczynkę, kapryśnie nadstawiła policzek:

— Pocałuj mnie, tato! Jestem zmęczona, aż strach!

Postołowski, chociaż był rówieśnikiem żony i zawsze miał poważny, skupiony wyraz twarzy, wyglądał młodziej niż ona. Mimo to, gdy żona chciała mu okazać swą czułość, nazywała go „tata” — może dlatego, że jej ojciec nosił to samo imię. Doktorowi nie bardzo się to podobało, ale nie okazywał tego i w milczeniu, bez specjalnej ochoty całował nadstawiony policzek żony. (Ca-

łować w usta mógł jedynie w nocy, kiedy nie było już obawy, że zetrze z jej ust umiejętnie nałożoną szminkę.)

Myśłami był jeszcze przy chorym, u którego stwierdził ostre zapalenie pęcherza, zastanawiał się, czy za wysoką temperaturą nie kryło się coś więcej, i nie miał głowy do pocałunków. W dodatku mogli ich zauważyć pracownicy ośrodka albo nawet matka, która prawdopodobnie już czekała z obiadem, a przy niej Aleksander krępował się całować żonę.

— No?...

Brwi gwałtownie uniosły się w górę, a z doświadczenia wiedział już, co to wróży. Za chwilę oczy żony, ciągle jeszcze piękne zielonkawe oczy, które zaprowadziły go do ślubu, przymkną się, a potem obdarzą go takim chłodem, że lepiej nie zwlekać. Wstydząc się samego siebie i niewidzialnych postronnych oczu, nieśmiało dotknął ustami jej policzka.

— Co się dzisiaj z tobą stało? — spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— A jak tam twoje sprawy? — zapytał głosem przesadnie czułym, wyciągając rękę po skrzynkę z farbami, ale Nina zdążyła już zrozumieć wartość pocałunku i gwałtownie cofnęła rękę.

— Tak całuje się tylko umarłych albo hipopotamy!

Odwróciła się oburzona i poszła w kierunku domu. Chciał odpowiedzieć żartem, w porę się jednak zorientował, że byłoby to nie na miejscu, i w milczeniu ruszył za nią.

Ostatnio Nina była pochłonięta bez reszty obrazem, który miał się nazywać: „Stare i no-

we". Całymi godzinami, osłonięta od słońca czerwona parasolką, przesiadywała na składanym stołeczku przed sztalugą, malując zrujnowany meczet i dziecięcy żłobek. W kyszłaku meczet stał na uboczu, z dala od żłobka, który znajdował się po drugiej stronie ulicy — ale na jej płótnie meczet i żłobek stanowiły jeden zespół. Meczet, który na obrazie służył za tło, miał być tym „starym”, a przed nim — dosyć niefortunnie jak na lekarskie oko Postołowskiego — ustawione były dziecięce łóżeczka, bawiła się lalkami grupa uzbeckich maluchów, a po prawej stronie młoda, zgrabna Uzbeczka w tiubetejce, z włosami zaplecionymi w mnóstwo warkoczków, z namaszczeniem gotowała na maszynie jakąś potrawę. To było to „nowe”, które w założeniu miało kontrastować z meczetem, czyli „starym”. Nina zamierzała jeszcze umieścić na kamiennych schodach meczetu starego mułę w zielonym turbanie, który by, z nienawiścią zaciskając pięści, spoglądał na to „nowe”, co tak swobodnie rozlokowało się dokoła, ale Aleksander jej to odradził. I dziwna rzecz — żona tym razem posłuchała go. Może zrozumiała, że takie ujęcie byłoby po prostu nienaturalne.

Ze względu na ten obraz, z którym wiązała duże nadzieje, Nina odstąpiła od zasady niepozostawiania małego Bazia pod wyłączną opieką teściowej, i oto chłopiec któryś tam dzień z rzędu narażony był przez kilka godzin na niebezpieczny wpływ babci.

Postołowski nie potrafił ocenić ani obrazu, ani samego pomysłu. Może i było w nim coś oryginalnego, wartościowego, a może był to tylko jeden z niezliczonych wariantów tego, co daw-

no wymyślili inni, wielcy i utalentowani... Właściwie to nie bardzo podobała mu się sama idea, również w obrazie nie widział nic szczególnego, a wyjaśnienia żony, obficie przeplatane słowami „kompozycja”, „koloryt”, „światłocienie”, „barwy”, nie dochodziły, niestety, ani do jego *ratio*, ani *emotio*. Przeciwnie, im dłużej wpatrywał się w obraz, kierując wzrok za przesuwającym się z miejsca na miejsce palcem żony, tym bardziej te dziwne słowa zakrawały mu na pustosłowie, na formułki wymyślane tylko w tym celu, by ukryć brak talentu. Postołowski wyczuwał w rysunku żony jakiś prymitywizm, a przede wszystkim jakąś koniunkturalność i pretensjonalność. Gdyby o niego chodziło, to jako lekarz nigdy by się nie zgodził na umieszczenie żłobka w pobliżu zaniedbanego meczetu, gdy tak łatwo można znaleźć odpowiedniejsze miejsce w kyszłaku; ponadto kucharka Uzbeczka była za bardzo teatralna, jakaś pompatyczna — takich kobiet nie spotyka się w żłobkach; również twarze dzieci były zbyt pulchne i rumiane — przypominały bardziej amorki z przedwojennych pocztówek niż dzieci uzbeckich kołchoźników...

Jednak Aleksander nie ujawnił swoich myśli. Dobrze pamiętał — a było to w pierwszych miesiącach ich małżeństwa — jak nierozważnie powiedział żonie, co myśli o jej artystycznych uzdolnieniach. Już samo to, że w rozmowie używał — nie zawsze przy tym prawidłowo — takich terminów, jak „dekadenci” i „futuryzm”, wystarczyło, by wzbudzić u Niny złość z powodu ignorancji męża. Boczyła się na niego przez kilka dni. Odtąd sądy męża o malarstwie jej nie interesowały. Wiedziała z góry, że będąc to

autentyczny Szyszkinowski las — ciemny, nieprzebyty, z niedźwiedziami włącznie...

Odtąd Postołowski unikał tego niebezpiecznego i śliskiego tematu. Jako człowiek przyzwyczajony do pojęć ścisłych, niepewnie czuł się w dziedzinie teoretycznych pojęć sztuki malarskiej. A prawdę mówiąc, w ogóle go to mało obchodziło. Wystarczał mu własny zawód, w którym dążył nie tylko do zdobycia gruntownej wiedzy praktycznej, ale w głębi duszy marzył o karierze naukowej. Pilnie śledził wszystkie nowości, prenumerował i uważnie czytał pisma lekarskie, i wszelkimi sposobami starał się trafić na konferencje naukowe, organizowane w większych ośrodkach uniwersyteckich. Ostatnio zabrał się do literatury pięknej, bo uznał, że jest to potrzebne lekarzowi. Przeczytał „Zwierzenia lekarza” Wieriesajewa i sięgnął po Czechowa. Mając żonę malarzkę, niewiele się przejmował swoją ignorancją w dziedzinie malarstwa, muzyki czy teatru.

Inaczej na to wszystko patrzyła Nina. Nie widziała żadnego usprawiedliwienia dla faktu, że mąż nie potrafił wymienić ani jednego dzieła Michała Anioła; że nie wiedział właściwie, czym różni się Rembrandt od Rubensa, a z pieriedwiżników znał jedynie Kramskiego. Niejednokrotnie myślała z goryczą, że jej zamążpójście i życie z takim ignorantem, jej — człowieka sztuki, młodej i zdolnej malarki, która jeszcze na studiach w Moskwie (a nie gdzieś na prowincji!) rokowała wielkie nadzieje — jest nie tylko straszną pomyłką, ale i tragedią. I jeśli dotychczas jej obrazy nie uitorowały sobie drogi nie tylko na ogólnozwiązkowe wystawy ar-

tystyczne, ale nawet na szczeblu republiki i znajdowały zbyt jedynie w klubach fabrycznych czy herbaciarniach, to bezsprzecznie była w tym wina jej „sobka” i warunków, jakie jej stworzył. („Sobkiem” przezwala kiedyś Nina swego męża w chwili wyjątkowego rozdrażnienia i przywykła używać tego określenia w momentach nieporozumień.) Uważała, że mąż nie jest dla niej odpowiednim partnerem. Po prostu poszła lekkomyślnie za głosem uczuć i zniżyła się do tego niczym nie wyróżniającego się, przeciętnego lekarza. A w dodatku ta niemożliwa teściowa, jego matka! Dla Niny matka Postołowskiego była zwykłą prostytutką. I z tą przykrą, milczącą kobietą, z którą nie miała i nie mogła mieć nic wspólnego, z kobietą na wskroś prześląkniętą prowincjonalną szarzyzną jakiegoś tam Perejasławia musiała mieszkać pod jednym dachem, a nawet pozostawiać z nią swoje dziecko! Ogarniał ją strach na myśl, co może przejąć od swej babki mały Bazio, który, jak każde dziecko, szybko przyswajał sobie wszystko dobre i złe. Ten język, te maniery, wyrażenia, fe!... Wszystko dlatego, że stara nie ma się gdzie podziać i musi mieszkać u swego jedynego syna. Nie postarała się, widzicie ją, o większą ilość dzieci, u których mogłaby na zmianę dożywać swego wieku!... A co ma z tym wszystkim wspólnego ona, Nina? Czy to ona jest winna, że stara nie ma nawet krewnych, którzy przyjęliby ją do siebie? Z jakiej racji ma sobie komplikować życie — krępować się, żyć w ciasnocie, ograniczać swoją twórczość? Dobrze chociaż, że stara zazwyczaj milczy i prawie nigdy się nie spiera, a nawet niby próbuje jej dogodzić. Na próż-

no jednak! Nina wyczuwała, że teściowa jej nie lubi, nie pochwała wyboru syna, a na jej obrazach, sztalugi, palety, pędzle i tubki z farbami patrzy niechętnie jak na próżne zachcianki. Stara się nawet nie zbliżyć do tych „zabawek” synowej, ale Ninie wystarczy, jak teściowa rzuci czasem na jej malarskie przybory zimne, niechętnie spojrzenie i cicho westchnie, a już z trudem się opanowuje, gdy zobaczy na jej twarzy ten pokutniczy wyraz obojętności, jakiejś jadowitej neutralności, co tak artystycznie teściowa umie robić, w osobliwy sposób stulając swe zapadnięte sine wargi. Co z tego, że ona ma tylko jednego syna! Czyż nie mogłaby mieszkać gdzie indziej? W innym domu czy jeszcze lepiej — w innym mieście, by rzadko się spotykać? Mogłaby! Na pewno mogłaby... Naturalnie, Aleksander powinien jej pomagać, wysyłać pieniądze, czy — jak to się tam oficjalnie nazywa — alimenty, i wszystko byłoby w porządku. Tak przecież żyją inni! Ale wystarczy napomknąć o tym, a mąż zaraz milknie, zasępią się, wychodzi z domu i znika w kyszłaku albo nawet wyjeżdża do rejonu czy obwodu pod pretekstem ważnych spraw, a ty — siedz z teściową, znoś jej nużącą obecność!

Nie, co tu mówić! Dla sztuki, dla twórczości potrzebne są przede wszystkim warunki, a tych ona niestety nie ma...

Nina podwinęła do góry rękawy i podeszła do umywalki. W białej emaliowanej misce od razu dostrzegła wśród mydlin białe plamy farb. W kącie z zabawkami podejrzanie cicho siedział Bazio i bojaźliwie spoglądał na matkę.

— Znowu bawiłeś się moimi tubkami, wyci-

skałeś farbę? — groźnie zwróciła się do syna. — Chodź no tu do mnie! — rozkazała i jeszcze wyżej zakasała rękawy. — Przyznaj się, brałeś farby?

— Nie, nie, nie... Ja tylko pędzelki...

— Jak to „nie, nie”, a poza tym — co to za „pędzelki”! — cierpiętniczo podniosła do góry oczy, natrafiwszy na świeże ślady ujemnego wpływu teściowej, pokręciła z niezadowoleniem głową i westchnęła. — Po pierwsze, nie wolno nigdy kłamać, a po drugie, chodź no tutaj!

Przeczuwając nieuniknioną rozprawę, Bazio ościagał się i z góry przygotowywał do płaczu. Potem nagle zmienił taktykę, wyciągnął rączki i przypadł do matki:

— Ja już nie będę, nie będę, mamó!

Mały dobrze wiedział, jak te słowa łagodzą gniew ojca, więc przyszło mu do głowy, by wypróbować je na matce.

— Nie, powiedz mi najpierw, po co brałeś farby?

Wzięła się pod boki, szykując się do dłuższej rozmowy, ale w tym momencie zobaczyła teściową z brudną, dziurawą miseczką w ręku i cały swój gniew przeniosła na nią:

— Boże! Wy wszystkie paskudztwa znosicie do domu! — Aż załamała ręce, a Bazio, korzystając z okazji, cichutko wymknął się z pokoju.

— Tylko umyję i zaraz wyniosę — pospiesznie odpowiedziała staruszka.

— Możecie umyć na dworze. Powinniście raz na zawsze zapamiętać, że to mieszkanie lekarza! — rzuciła za wychodzącą teściową.

Całą tę rozmowę doktor słyszał z drugiego pokoju. Obojętnie przyjął fakt, że matka przynio-

sła do mieszkania jakąś miseczkę, chociaż od razu domyślił się, że to ta sama, z której niedawno karmiła psa. Był jednak niezadowolony, że znowu wynikła sprzeczka między matką a żoną. Nigdy jakoś nie mógł dociec, która z nich była winna i co właściwie powodowało sprzeczki, ale od dawna przyswoił sobie pogląd, że w domowych kłótniach zawsze są winne teściowe, i z góry gotów był przyznać rację żonie. Teraz też świadomie puścił mimo uszu to „mieszkanie lekarza”, chociaż dobrze wiedział, że właśnie żona najmniejszą na to zwracała uwagę, i tak naprawdę to ich mieszkanie, w którym jeden wielki pokój zajęty był przez sztalugi, szkice i etiu-dy, bardziej przypominało jakieś malarskie atelier niż mieszkanie lekarza.

„Dlaczego one się kłóca?” — myślał wchodząc do dużego pokoju, by w razie czego w porę uspokoić matkę. Ale matki i Bazia już nie było, zastał tylko żonę, która stała przy umywalce i wycierała ręce puszystym ręcznikiem.

— Wiesz, Oleczku — zwróciła się do niego — serce mi jakoś ostatnio dokucza, chyba to przemęczenie... I taka się zrobiłam nerwowa, że wprost siebie nie poznaję...

On również nie poznałby swojej żony, której tak gwałtownie zmienił się nastrój, gdyby się to stało po raz pierwszy. Ale zdążył się już przyzwyczać do takich zmian. Przyzwyczał się również do jej skarg na zdrowie, ilekroć wynikały jakieś nieporozumienia z matką albo kiedy matka chorowała. Wystarczyło, żeby matka położyła się do łóżka, a żonę od razu zaczynało coś boleć. Gdyby chodziło o kogoś innego, szczerze by się uśmieł: skąd to przemęczenie — ze zbijania

baków? Przy takim zdrowiu dokucza serce? No, co do nerwicy, to ma rację, rzeczywiście jest prawdziwą neuropatką! Ale myśl tę, powstałą w głębi świadomości, zaraz odrzucił. A Nina, zapomniawszy już i o sercu, i o wyczerpaniu, trajkotała z ożywieniem:

— Pomyśl tylko, ten nieznośny sklepikarz, Abdulajew, co to przychodził do ciebie, żebyś skierował jego żonę na komisję lekarską, omal nie zmusił mnie do zabrania sztalugi do domu! Za nic nie chciał jej zatrzymać w sklepie do jutra. A to zawadza, a to jeszcze ktoś zepsuje... Ledwie go uprosiłam, co za bezczelny typ! W żadnym wypadku nie powinieneś wysyłać jego żony na komisję! Trzeba nauczyć ich wreszcie szacunku, bo inaczej gotowi nam na głowę wejść!...

Doktor nie lubił, gdy żona wtrącała się do jego spraw służbowych, i kiedy indziej z pewnością by się oburzył, a może nawet robiłby żonie wymówki. Spokojnie, nie podnosząc głosu, dałby jej do zrozumienia, że w tych sprawach decyduje tylko on. Jednakże po dzisiejszym nieudanym pocałunku i sprzeczce z matką potraktował jej słowa — a zwłaszcza pieścizotliwe „Oleczku” — jako pokojowy gest i różnym krokiem podszedł do stołu.

— Obiad gotowy, Nineczko? Powiedz matce, niech podaje!

— Chwileczkę, ja już... — Nina rzuciła ręcznik na poręcz łóżka i nie czekając na teściową, sama zabrała się do nakrywania stołu.

Stało się już regułą, że ilekroć Nina posprzezczała się z matką, starała się być miła dla męża. Tak było i teraz, lecz Aleksander nie chciał

o tym myśleć, tym bardziej że widok żony krzątającej się koło obiadu nawet go trochę rozczulił.

Nina rozstawiła talerze, nakroiła chleba, zajrzała parę razy do kuchni i wyjęła z szafy karafkę i kieliszek.

— Napijesz się, Oleczku? — lekko przymrużyła oczy i badawczo spojrzała na męża. Doktor lubił od czasu do czasu wypić przed obiadem kieliszek dla pobudzenia apetytu, ale chociaż w kyszałaku nie zawsze można było dostać wódkę, gdyż religia muzułmańska zabrania picia alkoholu i wśród Uzbeków nie było na wódkę większego popytu, dzisiaj wielkodusznie zrezygnował z okazji. Wiedział, że żona nie znosi zapachu alkoholu, i jeśli sama zaproponowała mu kieliszek, oznaczało to wielką łaskę.

— Dziękuję, Nineczko! Dzisiaj raczej nie...

Szybko schowała karafkę i rzuciła się do niego z otwartymi ramionami.

— Jaki ty potrafisz być miły, Oleczku!... jeśli zechcesz.

Dekolt sukienki rozsunął się odsłaniając rąbek koszuli. Poczuł bliskość jej ciała i mocno ją objął.

— Bardzo lubię patrzeć na twą twarz, gdy blednie od pożądania — powiedziała szeptem, zaglądając mu w oczy. Wprawdzie jego twarz wcale się nie zmieniła, ale naprawdę był spragniony czułości i podniósł się, by pocałować widoczny w dekolcie skraj piersi. W tym momencie skrzypnęły drzwi, weszła matka wnosząc zupę, a za nią wbiegł śmiejąc się Bazio, który zdążył już zapomnieć o swej winie i grożącej mu karze.

Nina momentalnie się odsunęła i usiadła na swoim miejscu. Jej brwi uniosły się w górę, a w twarzy, która nagle zrobiła się smutna i posępna, wyczytał znaną skargę: „Sam widzisz, jak twoja matka nam przeszkadza”. I w tym momencie czuł, że matka rzeczywiście im przeszkadza.

Staruszka ostrożnie postawiła garnek na stole i udała, że niczego nie spostrzegła. Usiadła na swoim stałym miejscu pomiędzy synem a synową i by rozproszyć niezręczną ciszę, jaka zapanowała, odezwała się:

— Jakoś duszno dzisiaj...

— No cóż, to Uzbekistan — powiedział doktor, byle coś powiedzieć, a Nina, zawiązując Baziovi serwetkę pod szyją, nie bez złośliwości rzucała w stronę teściowej:

— Jeśli duszno, to po co było tutaj przyjeżdżać? To przecież Azja Środkowa! Południe!

Staruszka ze zdziwieniem spojrzała na nią swymi smutnymi oczami... Nie spodziewała się, że jej słowa, które nikogo nie obrażały, mogą synową zdenerwować.

Nina, unosząc wysoko nad stołem rękę, nalewała zupę.

— Ja tylko tak sobie powiedziałam — cicho, jakby się usprawiedliwiając, wyrzekła staruszka, ale Nina nie chciała stracić tej wyśmienitej okazji:

— „Tak sobie” — mówić nie należy! Bo wygląda na to, jakbyśmy to my was tu ściągnęli, podczas gdy w rzeczywistości...

— Ależ ta zupa gorąca! — powiedział doktor, by żona nie dokończyła tego, czego mówić nie

wypadało. — Trzeba było, mamó, zupeł trochę ochłodzić przed obiadem.

— Czy u nas obiad bywa kiedykolwiek normalny? Albo zupełnie chłodny, albo taki gorący, że jeść nie można — dorzuciła Nina, ale to wydało się Aleksandrowi już całkiem zbyteczne. Przysunął do siebie talerz i ukradkiem zerknął na matkę. Staruszka pochyliła nisko głowę i cicho, pospiesznie jadła. Po jej prawym policzku spłynęła wielka łza i kapnęła do talerza, a za nią druga, trzecia... Matka schyliła głowę jeszcze niżej i coraz szybciej zaczęła podnosić do drżących, wykrzywionych ust łyżkę z zupą.

VI

Wczoraj jeden z bonifikatorów powiadomił doktora, że na kilku ryżowych poletkach na działkach przyzagrodowych pojawił się komar widliszek. Wytworzyła się sytuacja groźna i zarazem bardzo nieprzyjemna, gdyż od dawna formalnie obowiązywał zakaz uprawiania ryżu nie tylko w samym kyszałku, ale i w promieniu trzech kilometrów od wsi.

Pola ryżowe na całe lato zalewa się wodą, przez co stają się istną wylęgarnią komarów. Bonifikatorzy co roku mają z nimi wiele kłopotu, tępią je naftą i innymi substancjami trującymi. Ogromne kołchozowe pola ryżowe ze stojącą, cuchnącą wodą, w której ospale poruszają się czarne pijawki i zastygają, wysunawszy z wody swe podłużne łby, zwabione spiekotą gady, te niezdrowe miejsca, gdzie od dusznych opa-

rów w dzień trudno oddychać, a wieczorem roi się od komarów, zawsze robiły na Postołowskim odpychające wrażenie. Gdyby to od niego zależało, chętnie wyrzekłby się ryżu, aby tylko zniszczyć te stałe siedliska malarii, które na domiar złego przysparzały ciągłych kłopotów: nie zawsze była nafta, a polewanie pól substancjami trującymi było nie całkiem bezpieczne — zatrutej wody mogło się napić bydło lub młodzi pasterze. Na szczęście plantacje kołchozowe znajdowały się daleko od wsi.

W ciągu trzech lat doktorowi Postołowskiemu udało się zmniejszyć liczbę zachorowań na malarię o czterdzieści kilka procent. Stawiano go za wzór dla innych, i to nie tylko doktor Pisoczki, rejonowy specjalista od malarii, ale również obwodowa stacja tropikalna. Zaproponowano mu nawet posadę rejonowego specjalisty w jednym z rejonów tego malarycznego obwodu, lecz jej nie przyjął, uważając, że jest przede wszystkim ftyzjatrą.

Z roku na rok rejestrowano coraz mniej wypadków nieszczęsnej gorączki malarycznej i o zakazie władz zaczęto stopniowo zapominać. Nie tylko rada gromadzka, ale i sam doktor nie zwracał większej uwagi na to, że niektórzy dechkanie zaczęli uprawiać ryż we własnych ogrodach. Teraz sprawa skomplikowała się — gniazdo widliszka znalazło się w samym kyszłaku. Jeśli zlekceważy się ten fakt i nie zastosuje się od razu zdecydowanych środków, w sierpniu-wrzeźniu, w najgorętszym okresie zbioru bawełny, połowa kyszłaku będzie chorować na malarię. Ale jakie środki zastosować?

Zalewanie poletek trującą cieczą albo nawet

naftą w ogóle nie wchodziło w rachubę. Małe działki, podobnie jak cała roślinność w kyszałku, zraszane były wodą z aryków i trująca ciecz mogłaby się przesączyć do rowów. Pozostawało jedno rozwiązanie: spuścić wodę i skosić zielone łądyżki cennego ryżu. Ale w te poletka włożono ludzką pracę, czas i ziarno, przyszły plon zaplanowano w budżecie gospodarza! Nie jest łatwo, nawet dla wspólnego dobra, niszczyć na oczach właściciela jego pracę. Z pewnością wywoła to niepożądane, przykre konflikty, których doktor tak starannie dotąd unikał. Ale innej rady nie było. Z tym nieprzyjemnym zadaniem, które tak nagle wyłoniło się przed nim jako kierownikiem placówki leczniczej, nie zdoła uporać się sam z bonifikatorami i higienistkami; tu potrzebna była pomoc ludności i władz kolchozowych, a może nawet rejonu.

Postanowił pójść do rady, by pomówić z przewodniczącym i nakreślić plan działania. A może przy okazji uda się porozmawiać o izbie porodowej?

Nina przedwczoraj pojechała do Taszkentu, by kupić farby i nawiązać kontakty ze stołecznymi kołami artystycznymi Uzbekistanu. Bazio, który pod opieką babki już drugi dzień korzystał z istic kozackiej wolności, nabiegał się i po obiedzie spał słodko w łódeczku. Matki nie było w domu. „Trzeba jednak jej powiedzieć, że wychodzę” — pomyślał i wyszedł na dwór. Ale i tam matki nie znalazł. Na schodach ambulatorium siedział Izmail w długiej, sięgającej do kolan białej koszuli, i skręcał z gazety papierosa.

— Izmaile, nie widziałeś mojej matki? —

krzyknął Postołowski z daleka. Izmań wstał z szacunkiem i przyłożył dłoń do ucha.

— Kogo? Matki? — nie zrozumiał od razu, ale wnet się połapał. — A, starej? Stara poszła tędy...

Stróż Izmań uznawał tylko doktora. To był jego zwierzchnik, od niego otrzymywał pieniądze za służbę, i to był mężczyzna. Pozostałych osób, w tym również żony i matki doktora, nie zauważał i starał się ich unikać — to były tylko kobiety. Również i teraz niedbale machnął smagłą, prawie ceglastą ręką w stronę sadu, całą swą postawą i głosem, jakim powiedział „stara”, dając do zrozumienia, że jest mu całkiem obojętne, gdzie i po co chodzą tu obce kobiety.

Postołowski skierował się do sadu, pragnąc przy okazji obejrzeć swoje „gospodarstwo”, jak żartem nazywał ogród.

Z ulicy dolatywało ostre skrzywienie nie nasmarowanej arby, gdzieś niedaleko obrzydliwie zawodził osioł, a w sąsiedniej zagrodzie gruchały gołębie. To gruchanie zawsze wywoływało u doktora niezrozumiałą tęsknotę. Miał wrażenie, że tutejsze gołębie nie rozmawiają z sobą pieszczotliwie w swoim języku, jak to robią na Ukrainie, tylko kogoś przeklinają, kogoś strofują. Zdawało mu się, że słyszy słowa: „Mówiłem, nie chodzić! Mówiłem, nie robić!” I zaczynał czuć się nieswojo, jakby to on sam popełnił jakiś zły uczynek; odczuwał żal, jakby na wieki coś utracił, a kiedy i co utracił — nie wiedział. A gołębie ciągle powtarzały: „Mówiłem, nie chodzić! Mówiłem, nie budzić!”

Ominął szeroką grządkę cebuli, na której równymi rzędami jak ołowiane żołnierzyki wzno-

siły się do góry ostre, zielone miecze, i z żalem popatrzył na ogórki, na niepotrzebnie zmarnowaną długą grządkę. Małe krzaczki rozrosły się bujnie, długie, mocne pędy pokryte były żółtymi kwiatkami, na ziemi leżały dziwacznie powyginane wielkie, jasnozielone ogórki. Niektóre z nich osiągały nieprawdopodobne rozmiary, lecz nie można było ich wziąć do ust — były gorzkie jak chinina. Doktor do tej pory nie pojmował, jak mogą je jeść Uzbegy, ba, nawet z powodzeniem handlują nimi na bazarze. Za ogórkami, tworząc jakby żywy parkan w końcu ogrodu, wspaniale rozrósł się w maleńki gaj zagon kukurydzy.

Doktor przypomniał sobie, jak to w dzieciństwie lubił gryźć gorące kolby gotowanej kukurydzy, „pszenyczki”, jak ją nazywano na Połtawszczyźnie, i delikatnie pogłaskał bure włókna, zwisające z dojrzałej kolby. W pamięci wypływały obrazy z dzieciństwa. Oto jest małym chłopcem, gania na bosaka, w krótkich spodenkach, razem z dawno już zmarłym starszym bratem Kostkiem. Przyklejają sobie wąsy z włókien kukurydzy, pod czapki wtykają zrobione z włókien długie czupryny, które opadają im na oczy, i tak ucharakteryzowani idą do matki. Ta udaje, że nie poznaje synów, pyta, po co ci dziadkowie przyszli, a oni coraz więcej się cieszą ze swej maskarady, zmieniają głosy na grube, męskie, aż wreszcie któremuś odklejają się wąsy i mama ze zdziwieniem poznaje swego Olka czy Kostka... I wtedy zawsze im coś wetknie w rękę: gorący pierożek albo jabłko, a niekiedy i cukierek... Dzieciństwo!

— Ile to już lat minęło!... — westchnął.

— ...I Kostka też już nie ma...

Wzdrygnął się. Słowa te wypowiedział nie on, kontynuując swe myśli, lecz matka, która musiała stać gdzieś w pobliżu. Na chwilę wstrzymał oddech. Matka mówiła do kogoś szeptem:

— I Olek zrobił się teraz całkiem inny... To już nie ten chłopak, co dawniej...

Doktor stał chwilę nieruchomo. Potem ostrożnie, stąpając na palcach, przeszedł kilka kroków do przodu i drżącymi rękami rozsunał gładkie, jakby nakrochmalone liście kukurydzy. Na skraju grządki odwrócona do niego plecami siedziała matka. Przed nią leżała czarna suka, utkwiała w twarzy matki jedyne oko i uważnie słuchała. Poczawszy obcego człowieka zjeżyła się i podniosła na przednie łapy.

— Nie bój się, nie bój się, psino! Jej nie ma, wyjechała — głaskała matka psa po głowie. — A jak wróci, to lepiej nie przychodź...

Doktor poczuł, jak boleśnie ścisnęło się w nim serce, i jakaś gorycz podeszła mu do gardła.

„To przecież Czechowowska «Tęsknota»: «Komuż wypowiem smutek mój?»” — przemknęło mu przez myśl. Zapragnął nagle wyskoczyć z ukrycia, rzucić się do nóg matki i jak dawniej, w dzieciństwie, położyć głowę na jej kolanach, niczego nie widzieć i nie słyszeć, czuć matczyną ciepłą rękę, co delikatnie głaszcze po głowie, i słyszeć jej cichy głos: „Nie trzeba, Oleczku, nie trzeba tak, dziecinko...”

Zrobił nawet ruch do przodu, podświadomie ściskając w ręce pomięty liść kukurydzy, ale jego oczy mimo woli zatrzymały się na psie. Uspokojona słowami matki, suka znowu się położyła i oparła głowę na przednich łapach. Je-

dyne jej oko było skierowane prosto na doktora. Spoglądała spokojnie, ze smutkiem, jak gdyby wszystko rozumiała, tylko nie mogła czy nie chciała mówić. Postołowski nie wytrzymał psiego spojrzenia. Odwrócił się i szybko się oddalił.

A gołębie w sąsiedniej zagrodzie wciąż gruchały: „Mówiłem, nie chodzić! Mówiłem, nie robić! Mówiłem, nie budzić!...”

Doktor zatrzymał się na podwórzu, podszedł szybkimi krokami do stróża i powiedział:

— Izmaile, nie bij tego czarnego psa. Niech sobie chodzi.

Izmaił popatrzył na niego ospale, z lekka skłonił głowę i odpowiedział tym razem po rosyjsku:

— Nie będziemy, doktorze, wyganiać czarnego psa. Niech sobie chodzi...

VII

Doktor wypisał receptę i podał chorej.

— Trzy razy dziennie przed jedzeniem.

Niziotka pacjentka w krótkim zakieciku i białej chustce, spod której wyzierało pasmo jasnych włosów, pospiesznie wstała z krzesła, a jej żywe niebieskie oczy uśmiechnęły się kokieterycznie.

— Bardzo dziękuję. Chciałabym jeszcze... — Ale nie dokończyła.

— Słucham!

Doktor odłożył pióro i podniósł na nią wzrok.

— Chciałabym... — i znowu na jej bladej twarzy, ledwie zaróżowionej od gorącego południo-

wego słońca, pojawił się niewyraźny uśmiech. — To może ja już innym razem... Do widzenia. — I szybko wyszła z gabinetu.

Postołowski popatrzył za nią ze zdumieniem, a kiedy drzwi się zamknęły, spojrział pytająco na siostrę Taskirę.

— Kto to jest?

— Baranowa. Księgowa z oczyszczalni bawełny — odpowiedziała Taskira, uśmiechając się niezdecydowanie, bo nie była pewna, czy w pracy można się uśmiechać, czy też należy być zawsze poważną.

— Panna?

— Niezupełnie... — i uśmiech zniknął z jej twarzy.

— Jak to „niezupełnie”? — zdziwił się.

— Ona, panie doktorze, nie ma męża. I dzieci też...

— No i cóż z tego?

Taskira zaczerwieniła się, spuściła maleńkie, nieruchome jak guziki oczy i powiedziała szepcąc:

— Ona miała poronienie.

— To znaczy, że już nie panna — uśmiechnął się doktor.

— Nie, poronienie nastąpiło w drugim miesiącu — pospieszyła z wyjaśnieniem Taskira.

— Stąd wniosek, że mimo wszystko panna! — znowu uśmiechnął się Postołowski.

— Tak, prawie panna — przytaknęła Taskira mrugając oczyma i nie mogąc zrozumieć, z czego właściwie śmieje się doktor. Postołowski aż zarechotał.

Był w dobrym nastroju. Rozpoczęta poprzedniego dnia operacja likwidowania poletek

ryżowych na terenie kyszlaku przebiegała jak dotąd pomyślnie. Do pomocy ośrodkowi rejonowa stacja tropikalna przysłała dwóch doświadczonych bonifikatorów z agregatami. Zostało im jednak niewiele do zrobienia, gdyż już wcześniej przystąpiła do akcji brygada młodzieżowa i robotnicy z POM-u pod osobistym kierownictwem drugiego sekretarza komitetu rejonowego, Fiodorowa, który akurat pojawił się w kyszlaku na swym gaziku.

Dzisiejszego dnia doktor dopełnił dwie odmy opłucnowe, potem zeszył metalowymi klamerkami brzegi ciętej rany na czole młodego pastucha z odległego kyszlaku i wreszcie wyrwał dwa mocne trzonowe zęby staremu Uzbekowi. Ten ostatni zabieg najbardziej go usatysfakcjonował, gdyż jako internista niepewnie się czuł w roli dentysty. Unikał jednak posyłania chorych do rejonowej przychodni, bo po to przecież jest placówka lekarska w kyszlaku, żeby leczyć na miejscu, a wiejski lekarz musi być, jak to mówią, i szewcem, i kosiarzem, i na dudach grać!

Był więc Postołowski w dobrym humorze i miał ochotę trochę pożartować. Siostra Taskira przypominała mu kolegę z lat szkolnych, który słynął na całą szkołę z nedorzecznych odpowiedzi. Zapyta go, na przykład, nauczyciel geografii, wysłuchawszy wykutej na pamięć odpowiedzi o faunie Australii: „A czy słonie, Piotrusiu, są w Australii?” A Piotruś wzruszając ramionami, jakby był zdziwiony i zażenowany, że stawiają mu takie naiwne pytania, odpowiada: „Przecież ona jest taka malutka! Tam nie może być słoni...” Albo nauczyciel języka rosyjskiego, omawiając błędy w dyktandzie, spyta:

„Piotrusiu! Dlaczego «kurczęta» to u ciebie «ciplata» zamiast «cyplata?»” Piotruś bez namysłu odpowiada: „Przecież na kurki wołają: «cip, cip, cip»...”

Był więc dziś doktor w dobrym nastroju i miał wielką ochotę posłuchać zabawnych odpowiedzi siostry, dlatego zapytał ją z uśmiechem:

— A więc czego chce ode mnie ta „prawie panna”?

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi i do gabinetu weszła nieśmiało młoda kobieta, oglądając się do tyłu, zapewne na męża albo ojca. Spojrzała wstydliwie na lekarza spod opuszczonych długich rzęs i zaczęła coś szeptać do Taskiry.

— No, co tam? — wyczerpała się wreszcie cierpliwość doktora.

— Ona, panie doktorze, ma jakąś bolączkę na piersi.

— Bolączkę? — Doktor skrzywił się; nie lubił, kiedy jego pomocnica wyrażała się niefachowo. — Niech pokaże, rozbierze się.

Taskira i młoda pacjentka znowu poszeptały coś po uzbecku, potem Uzbeczka kategorycznie pokręciła głową.

— Ona nie chce. Wstydzi się i boi. Tam czeka jej mąż.

Doktora zaczęły drażnić te ceremonie, które często się tu powtarzały podczas przyjmowania chorych kobiet. Aby je przerwać, polecił Taskirze, by wezwała męża.

— Ja przez ubranie nie widzę. To jest szpital, tu nie ma się czego wstydzić! Należy się rozebrać i pokazać, gdzie boli — powiedział do młodego Uzbeka, który z zażenowaniem przestępo-

wał z nogi na nogę, spoglądając to na lekarza, to na siostrę. W końcu stanowczo obrócił się do żony, powiedział jej coś na ucho i stanął z boku, nawet odwrócił się twarzą do ściany, by nie patrzeć.

Młoda kobieta stała chwilę niezdecydowanie, nie mogąc przezwyciężyć wstydu, po czym nie rozbierając się, jednym ruchem gwałtownie rozchyliła koszulę, aż koszula pękła, i wyjęła pełne, nabrzmiałe piersi. Nie ruszyła się przy tym z miejsca, stała jak sparaliżowana, zwrócona twarzą nie do lekarza, lecz do Taskiry.

Doktor podniósł się ociężale i zbliżając się do chorej objął spojrzeniem obie piersi i szczupłą, mizerną twarz, która nagle skamieniała i nie objawiała już ani wstydu, ani strachu, ani protestu. Obmacał piersi i wyczuwszy wewnątrz wielki guz, zachmurzył się.

— *Mastitis*, panie doktorze? — spytała z boku siostra, która cały czas swoimi okrągłymi oczkami pilnie spoglądała na piersi chorej. Postołowski nic nie odpowiedział. Znowu lekko nacisnął chore miejsce i z bladoróżowej sutki wypłynęła różowa kropla.

— Boli? — zapytał po uzbecku.

Pacjentka nie podnosząc oczu pokręciła przecząco głową.

Jeszcze raz spojrzął na ziemistą twarz chorej, obmacał powiększone węzły pod pachą i powiedział sam do siebie: „Ta-a-ak. Bólów nie odczuwa, gruczoły pod pachą powiększone, ogólne wyniszczenie...”

Westchnął ciężko i zwrócił się do Taskiry:

— Nie, siostró, to nie jest zapalenie gruczołów mlecznych.

Taskira usiadła, oparła nogi o poprzeczki stołu, wzięła pióro i czekała, aż doktor podyktuje diagnozę, ale Postołowski zamyślił się i cicho powtórzył:

— To nie *mastitis*...

Podparł głowę ręką i w zamyśleniu patrzył w róg stołu, po chwili otrząsnął się i powiedział do Taskiry:

— Proszę zapytać, kiedy zaczęła się choroba... A właściwie kiedy chora zauważyła ten guz.

Uzbeczka w pośpiechu schowała piersi i starannie zapięła koszulę. Na wszystkie pytania Taskiry odpowiadała niezdecydowanie, ospale, aż mąż zaczął jej podpowiadać.

— Czy ma apetyt? — zwrócił się doktor wprost do męża.

— Nie chce nic jeść! Zabiję na przykład barana i matka ugotuje pilaw, to tylko skosztuje trochę ryżu...

— Proszę wypisać skierowanie do kliniki onkologicznej, naturalnie przez wydział zdrowia. Albo nawet bezpośrednio, byle prędzej — powiedział do siostry i znowu zwrócił się do mężczyzny.

— No cóż, żona jest bardzo chora, trzeba ją koniecznie zawieźć do Taszkontu. Nie można zwlekać! I to szybko — jutro, najpóźniej pojutrze.

Mąż chorej bezradnie rozłożył ręce.

— Dlaczego, doktorze? Ją nic nie boli, tylko w piersiach coś ma... Prawda, że nie je baraniny ani drobiu. Wciąż tylko piłaby herbatę, ale tak to nic... Po co do Taszkontu? Może i tutaj dałoby się coś zrobić?...

— Proszę wciągnąć pacjentkę do ewidencji

i po tygodniu sprawdzić, czy odwieziono ją do Taszkentu — polecił siostrze. — Koniecznie, siostrze Taskiro, proszę sprawdzić — powtórzył jeszcze raz i po namyśle dodał: — Proszę zanotować ich adres! — Po czym znowu zwrócił się do męża:

— Żona musi jechać do Taszkentu; jest ciężko chora, bardzo ciężko. Koniecznie do Taszkentu!

— A jaką diagnozę mam zapisać? — zapytała Taskira.

— Diagnoza? — zdziwił się, jakby zapytano go o rzecz dawno już wszystkim wiadomą i rozumiałą. — Jakaż może być diagnoza! Wszystko jasne, żadnej wątpliwości. Daj Boże tylko, żeby okazał się wczesny...

Jeszcze raz spojrzął na chorą i powiedział — zgodnie z etyką lekarską — po łacinie:

— *Carcinoma mammae.*

Zauważył, że siostra zmarszczyła czoło, usiłując sobie przypomnieć, co to znaczy, oderwał więc kawałek papieru i szybko napisał: „Rak sutka”. Znowu popatrzył na chorą i podsunął kartkę milczącej siostrze.

VIII

Rak!

Podstępna, złowroga choroba...

Cicho, zwykle bez bólu i widocznych objawów w pierwszym stadium choroby chwyta swymi pazurami jakiś organ ludzki i rujnuje go bez skrępowań. Ale na tym nie poprzestaje. W dą-

żeniu do zwycięstwa nad życiem chorego atakuje cały jego organizm, przerzucając się naczyniami chłonnymi z miejsca na miejsce.

Zdrowy dotychczas organizm, często u ludzi w sile wieku, nagle jak podcięta w korzeniu roślina — podcięta cicho, ukradkiem, gdzieś w głębi gruntu — zaczyna wędnąć i usychać. U chorego występuje ogólne osłabienie, znużenie, niedokrwistość; człowiek mizernieje, jego twarz przybiera nieprzyjemną, ziemistą barwę, marszczy się skóra... Tymczasem wewnątrz, w tkankach dotkniętego chorobą narządu, toczy się przerażający proces: guz rośnie, powiększa się, jego komórki, te mikroolbrzymy, gwałtownie się rozmnażają. Jak drapieźniki wdzierają się w sąsiednie szczeliny międzytkankowe, tam się zakorzeniają i niszczą nową tkankę; pokonują wszystkie przeszkody, nie znają litości dla biologicznie niezbędnych organów, dla samego życia.

Nagle guz rozpada się, pękają naczynia krwionośne, rozpoczyna się ciężki krwotok. Życie ludzkie zostaje wystawiona na ciężką próbę.

Choremu, osłabionemu wielką stratą krwi, może się na pewien czas nawet polepszyć; wydaje mu się, że nastąpiło przesilenie i niebawem powróci do zdrowia.

Złudne nadzieje!

To nie koniec choroby ani jej porażka czy nawet chwilowy, wymuszony odwrót, to jej pierwsze decydujące zwycięstwo! Organizm opanował już duch zagłady, naznaczył go piętnem śmierci i kto wie, czy nowa zmiana guzowata nie rośnie już nie w jednym, lecz w kilku miejscach... Kolejny rozpad, nowy krwotok, póki siły życia nie ustąpią ostatecznie przed potęgą śmierci.

Chociaż przyjęcia w ambulatorium dawno się już skończyły, doktor wciąż był myślami przy dzisiejszym przypadku raka. Naprędce zjadł obiad i by wieczorem mieć trochę wolnego czasu na napisanie miesięcznego sprawozdania z pracy ośrodka, od razu, nie czekając, aż ustąpi spiekota, poszedł z wizytą do chorego. Potem udał się w pole, by sprawdzić, czy w pobliskich arykach są jeszcze gambuzje, zawędrował dość daleko, aż do pól ryżowych, i dopiero stamtąd zawrócił do domu.

Wszystko było w porządku. U chorego stwierdził jedynie zwyczajny nawrót malarii, z czym mogłaby sobie poradzić nawet siostra Taskira, a w płytkiej wodzie aryków niemal co krok dostrzegał połyskujące srebrnym blaskiem małe gambuzje. Wracając wstąpił na wszelki wypadek do biura kołchozu i niespodziewanie trafił na zebranie zarządu. Z jego wizyty wszyscy się widocznie ucieszyli, bo w stronę doktora zewsząd wyciągały się opalone ręce, które trzeba było obowiązkowo uścisnąć. Jedynie Rachimbekow podejrzanie się nadąsał, ale gdy wsunął w lekarską dłoń swe krótkie palce, i on z grzeczności musiał się uśmiechnąć.

— Alejkum salam, doktorze!...

„Jaka odpowiednia chwila, by pomówić o izbie porodowej” — pomyślał Postołowski, ale nie był jeszcze zdecydowany, czy wysunąć konkretne propozycje, czy tylko, jak się to mówi, wysondować grunt. Poprosił o głos i zwracając się to do jednego, to do drugiego, nawiązał do niedawnej przeszłości, która wydawała się już bardzo odległą.

— Wszyscy pamiętacie, jak niechętnie szcze-

piono kiedyś dzieci przeciw ospie, a teraz, gdy tylko zaczną kwitnąć morele, wszyscy je zanoszą do doktorchony. A czy nie opłacało się szczepić dzieci przeciw dyfterytowi? Teraz sami się przekonałiście, że trzeba to robić, gdyż po tych „strasznych” zastrzykach dzieci przestały chorować i umierać.

Postołowski zauważył, że go chętnie słuchają, a nawet z aprobatą kiwiają głowami. Dobierając prostych, zrozumiałych słów, mówił dalej:

— A jak ociągali się ludzie, gdy im pobierano krew, by wykryć tych, co chociaż jeszcze nie zachorowali, już nosili we krwi zarazki malarii, a jak wypluwali ukradkiem gorzkie tabletki atebryny, które rozdawano co jakiś czas, aby zapobiec malarii!

Niektórzy z obecnych uśmiechali się pod nosem, ktoś głośno zachichotał i szturchnął łokciem swego sąsiada, wskazując na Rachimbekowa. Ten spuścił oczy i w milczeniu spoglądał na stół.

— Malaria ustąpiła, wypędziliśmy ją z naszego kyszłaku...

Gdy doktor wspomniał o malarii, która dała się we znaki prawie każdemu dechkanowi, wszyscy się poruszyli, odezwały się głosy aprobaty. Bo rzeczywiście, co tu ukrywać, ten dziwny młody Orys pokonał we wsi malarię. Nawet Rachimbekow — może z grzeczności, a może i szczerze — wyszeptał spod swoich czarnych, z lekka posrebrzonych, obwisłych wąsów:

— Jachszy! *

— Wszystko, co z waszą pomocą do tej pory zdziałaliśmy, okazało się słuszne — stwierdził

Jachszy (uzb.) — dobrze.

doktor i przeszedł do delikatnej sprawy izby porodowej.

Wprawdzie Rachimbekow nachmurzył się i nie mówił już więcej „jachszy”, ale inni, jakby urzeczni jego poprzednimi słowami, przyjaźnie się uśmiechali i kiwali głowami.

Doktor doszedł do wniosku, że trzeba kuć żelazo póki gorące, i zaproponował, żeby kołchoz zobowiązał się zbudować izbę porodową własnymi siłami.

Rachimbekow, człowiek ostrożny we wszystkich kwestiach, które zapowiadały wiele kłopotu i zmartwień, spodziewał się, że i tym razem wykręci się samą tylko rozmową, ogólnymi, nie wiążącymi obietnicami. Słowo to nie papier: można je powiedzieć i zapomnieć. Pieczętki nie da się na nim przyłożyć!

Postołowski, znając Rachimbekowa, zaproponował, aby już teraz, w lecie, rozpocząć zwózkę budulca, a po zakończeniu zbiorów bawełny, kiedy w kołchozie będzie mniej pracy, przystąpić do budowy.

Czy ich niespodziewanie zaskoczył, czy było im niezręcznie odmówić — dość że propozycja nie spotkała się z odmową. Widząc to poprosił, by ją od razu zaprotokołowano.

Z tego, jak twarz Rachimbekowa posmutniała, kiedy sekretarz zaczął naprędce pisać uchwałę, i całkowicie zasępiła się, kiedy ją skończył, Postołowski wywnioskował, że sprawę wygrał. Co piórem napisane — wołami nie wywieziesz! Rachimbekow myślał pewnie z goryczą: „Jeśli sprawa na papierze, wypadnie ją realizować. Z papierem nie ma żartów!”

Doktora zaskoczyła łatwość, z jaką udało mu

się przeforsować tę trudną i skomplikowaną sprawę. Uświadomił to sobie dopiero na ulicy. Kiedy indziej w drodze do domu długo by rozmyślał o przyszłym budynku, projektował w nim przestronne, słoneczne izby i obmyślał, jak i czym je wyposażyć. Jeszcze nie stracił młodzińskiego entuzjazmu i ogarnięty jakąś ideą nie potrafił oderwać myśli od rozpoczętej sprawy, póki nie doprowadził jej do końca.

Tym razem jednak wbrew jego woli myśli powracały ciągle do młodej Uzbeczki, u której wykrył dzisiaj raka. I jak zawsze, ilekroć zetknął się z tą chorobą, przeciw której nie wynaleziono jeszcze radykalnego środka, ogarnęło go uczucie goryczy.

...Rentgen, rad, operacje przy użyciu noża elektrycznego — a jednak rak pozostaje rakiem, chorobą ciężką, w skutkach często śmiertelną...

Uczyli nas — rozmyślał doktor — że wczesna operacja raka daje często dobre wyniki. W porządku! Ale jak zapewnić tę wczesną operację, uzależnioną od wczesnego rozpoznania choroby? Przecież sam chory nie odczuwa z początku ani bólu, ani innych nieprzyjemnych objawów i nie martwi się, nie spieszy do lekarza. A jeśli w końcu zwróci uwagę na swą bezbolesną dolegliwość, to... Oto zwróciłaby się dzisiejsza pacjentka do jakiejś siostry Taskiry w punkcie felcherskim w jakimś odległym kyszłaku i ta leczyłaby ją maścią ichtiolową, póki nie stałyby się zbyt liczne wszelkie zabiegi. A czyż i my, lekarze, potrafimy wcześniej rozpoznać raka? Mamy do dyspozycji wiedzę, mniejsze lub większe doświadczenie, rozporządzamy rentgenem, analizami, badaniem wycinków, i mimo to ileż pozostaje jeszcze

w naszej ambulatoryjnej praktyce nie rozpoznanych przypadków raka, zwłaszcza wczesnych przypadków!... Co my wiemy o raku? Właściwie niewiele. Wiemy tylko, że z jakiejś przyczyny pewna grupa komórek zaczyna rosnąć, mnożyć się i rozwijać w miejscu zdrowej tkanki. Ale jaka jest przyczyna tego nienormalnego rozwoju? Dlaczego właśnie ta grupa komórek, a nie jakaś inna przetwarza się w groźny początek złośliwego guza?... Znamy teorię mechanicznego drażnienia komórek, teorię wirusową i jeszcze kilka innych, traktujących o pochodzeniu raka, lecz na żadnej z nich nie można się oprzeć, żadna z nich nie daje wyczerpującej odpowiedzi. Albo co to jest, tak naprawdę, nowotworowe wyniszczenie? Wpływ guza złośliwego na przemianę materii? Zatrucie organizmu toksynami? Ale co to za toksyny? Jaki jest ich skład? W jaki sposób można z nimi walczyć?

Wszystko to jeszcze jest niejasne, mgliste. Wiemy tylko tyle, że rak to nie jest choroba jednego narządu, lecz całego organizmu człowieka, wiemy, że raka trzeba możliwie wcześnie rozpoznać i jak najszybciej operować. Operować trzeba radykalnie, wycinając bez skrupułów sąsiednią zdrową tkankę i pobliskie węzły chłonne. Ale czy to wystarczy? Czy można na tym poprzestać?

Zawsze, ilekroć się nad tym zastanawiał, ogarniało go niezadowolenie — z siebie, ze swej wiedzy i praktyki. Nie odpędzał tych myśli od siebie. To było, jak mawiali lekarze ziemscy, niezadowolenie święte i szlachetne, żarliwa potrzeba szukania nowych sposobów i metod, pragnienie pogłębienia wiedzy, wzbogacenia doświad-

czenia, odkrywania tajemnic tego czegoś niezrozumiałego i nieznanego, co hamowało leczenie, a niekiedy uniemożliwiało ratowanie życia ludzkiego...

Medycyna nie może poprzestać na smutnym stwierdzeniu, że rak wciąż pozostaje ciężką chorobą, na którą, poza wczesną operacją, nie ma jak dotąd lekarstwa. Ono będzie. Bezsprzecznie będzie! Ludzkość weszła już w nowy okres rozwoju, w wiek atomowy, i kto wie, czy teraz nie nastąpi doba pokonania raka... Może już za kilka lat będziemy go leczyć również łatwo, jak teraz na przykład kiłę, którą jeszcze nie tak dawno uważano za chorobę nieuleczalną.

Tymczasem, póki efekt leczenia zależy od wczesnej operacji, od wczesnego zgłoszenia się chorego do lekarza, należy wzmóc pracę uświadamiającą wśród ludności, trzeba wygłosić szereg pogadanek o raku, by zwrócić uwagę pacjentów na tę chorobę, zmusić ich do kontrolowania samych siebie. Wyłania się potrzeba profilaktycznych badań w wyznaczonych grupach, a więc Taskira i felczerzy z punktów medycznych muszą także umieć rozpoznawać raka.

O, jak wiele jeszcze jest to zrobienia! Jak mało dotąd w tej dziedzinie działał! Szczerze mówiąc — prawie nic.

IX

Pograżony w myślach doktor zbliżał się już do ośrodka, gdy nagle zobaczył przed sobą gromadę dzieci z kijami i kamieniami w rękach,

a przed bramą ambulatorium matkę w długiej, czarnej sukience.

„Taki żar bije z nieba, a ona wciąż w tej czarnej! Trzeba będzie coś dla niej kupić, jakieś płótno czy co...” — pomyślał i skrzywił w jej stronę. Matka coś mówiła do chłopców i groziła im palcem.

— Co się stało? — zapytał łagodnie, uważnie spoglądając na twarz matki. Znowu uderzyła go myśl, że matka bardzo zmizerniała. Taka się zrobiła chuda... Zupełnie staruszka nie znosi upału. Nie, koniecznie trzeba jej kupić jasną sukienkę, bo w tej wygląda jak zakonnica.

Matka podniosła na niego smutne, zmęczone oczy.

— Napadli na Żuczkę... I popatrz, jakie niedobre dzieci — z kijami i kamieniami.

Doktor dopiero teraz zauważył u nóg matki czarnego psa, który garnął się do niej, nie spuszczać jednocześnie wylekłego oka z doktora.

— Ty znowu z nią? Nawet już jej nadałaś imię — uśmiechając się pokiwał głową doktor. Przypomniało mu się, jak kiedyś, jeszcze za życia ojca, zapalonego myśliwego, matka nienawidziła fuzji i wszystkich tych toreb, brandek, spłonek, które zniewalały jej męża w każdym sezonie myśliwskim, tak że nieborak o bożym świecie zapominał. Matka, taka spokojna i łagodna, nie znosiła polowania i wszystkiego, co z nim związane, a szczególnie nieznośnej psiarni, tych wszystkich seterów, pointerów, chartów, całej tej zgrai, którą niczym jakiś dziedzic hodował ojciec, chociaż go nie było na to stać, bo był tylko sekretarzem gminnym... Matka nie mogła zrozumieć, jak można zabijać biedne

ptaszki i nieszczęsne, płochliwe zające. Mimo to skubała zabite kaczkę, bekasy, szpikowała słoniną zające, a pasztetami z zająca zdobyła sobie sławę wśród znajomych i sąsiadów. Sama jednak nigdy nie brała dziczyzny do ust twierdząc, że zawsze pachnie psem...

A teraz to przywiązanie, ba, nawet wzruszająca miłość do ohydnej, jednookiej suki! Skąd się to bierze?

— Te paskudne chłopaki po prostu żyć jej nie dają — powiedziała głaszcząc psa. — Nie bój się, Żuczko, teraz nic ci już nie robią.

Suka popatrzyła na staruszkę i delikatnie liznęła jej suchą, pomarszczoną rękę.

— Żu-uczka, moja Żuczka! — powtarzała matka cicho.

— Żuczka jok! Uzbek it! * — krzyknął z drugiej strony ulicy jakiś zuchwały łobuz, wysuwając się do przodu. Doktor od razu go poznał. Ten umorusany oberwaniec ze złodziejskimi, ruchliwymi oczami nieraz wbiegał na podwórze ośrodka, proponując sprzedaż jajek. „Byr sum! Byr sum! * — pokazywał palec i wyciągał zza pazuchy białe, ciepłe jajka. Doktor przepędzał go, matka też machała na niego ręką: „Idź stąd, wynoś się, ty mały diable!” Podejrzewała — i słusznie — że ten urwis kradnie jajka swojej matce. A Nina, nie zważając na jego zaniedbany i brudny wygląd, często targowała się z nim, kupując za rubla dwa lub trzy jajka, a później się przechwalała, jak to ona potrafi tanio kupić.

Żuczka jok! Uzbek it! (uzb.) — Nie Żuczka! Uzbecki pies!

Byr sum (uzb.) — jeden rubel.

— Ano, który to tam? — Postołowski podniósł głowę udając, że zamierza ruszyć na awanturników. Zuchwały chłopiec bezczelnie się roześmiał, cofnął się jednak i schował za plecami innych.

— Wszyscy ją biją, wszyscy się nad nią znęcają, a gdybyś wiedział, jaka ona mądra! — powiedziała matka i popatrzyła na psa, który nieśmiało ocierał pysk o jej nogę. — Ona nawet dzieli się z kimś swym jedzeniem — z dzieckiem, a może z matką. A sama nie dojada.

— No, to już chyba twoja fantazja, mamó! — nie uwierzył doktor.

— Nie wierzysz? To zaraz ci coś pokażę, jak będziemy na podwórku. Chodź!

Postołowski, idąc za matką, uśmiechał się pod nosem. Ledwie minęli bramę, z tyłu, z ulicy, podniósł się dziecięcy śmiech i krzyki:

— Żu-u-czka! Żu-czka! Cha! cha! cha!

Matka przyniosła z kuchni starą miskę ze specjalnie dla psa ugotowanymi kurzymi wnętrznościami i postawiła to przed Żuczka. (Nina nie powróciła jeszcze z Taszkentu i matka, jak widać, czuła się prawdziwą gospodynią.) Oszołomiona Żuczka łakomie wciągnęła powietrze, ale stała nieruchomo, ze zdziwieniem spoglądając to na miskę, to na staruszkę. W żaden sposób nie mogła uwierzyć, że to dobre jedzenie przeznaczone jest dla niej.

— Jedz, głuptasie! Czego ty?... — zachęcała ją matka podsuwając miskę. Suka nerwowo mermnęła zwichrzonym ogonem, liznęła z wdzięcznością powietrze i jeszcze raz nieufnie popatrzyła na doktora. Upewniwszy się, że i on nie ma względem niej złych zamiarów, ostrożnie podszła do miski, dokładnie obwąchała ją ze

wszystkich stron, potem na chwilę zamarła, jakby coś obmyślała, i raptownie chwyciła zębami poplątane kurze wnętrzności. Obrzuciła spojrzeniem doktora i jego matkę, jakby chciała podziękować, i uniósłszy do góry ogon raźnie pobiegła do ogrodu.

— Teraz pewnie je gdzieś zakopie, by później połasować — powiedział Aleksander bez przekonania, ale matka przecząco pokręciła głową.

— Nie, ona to komuś zaniósła... Popatrz, zabrała najlepszy kęs, który chętnie by sama zjadła!...

Doktora zaciekawilo, dokąd pobiegł pies ze swym łakomym kęskiem, i poszedł jego śladem.

Z początku szedł wolno, później przyspieszył kroku, nie zważając tym razem na krzaki pomidorów i leżące na ścieżce łodygi kandalaków. Żuczka na chwilę znikła mu z oczu, ale oto znowu czarny jej grzbiet mignął między liśćmi arbuźów — wyglądało to, jakby pies płynął i zanurzał się w zielonej rzece.

Przed duwałem, w miejscu, gdzie była wyrwa, Żuczka przystanęła, przysiadła na tylnych łapach i lekko go przeskoczyła. Potem ścieżką między grządkami pobiegła do chaty sąsiadów.

Doktor minął gęste drzewa moreli i brzoskwiń, okalające chatę, i zatrzymał się wśród krzewów winorośli. Poprzez liście dojrzał w kącie podwórza Żuczkę, jak biegła już z powrotem, z troską oglądając się na tłusciutkiego szczeniaka, który z rozkoszą szarpał zębami smaczne jedzenie.

X

Od tej pory suka dniem i nocą przebywała na podwórku ambulatorium. Nikt jej już nie przepędzał i wszyscy za przykładem matki doktora zaczęli nazywać ją Żuczka. Dziwiono się jedynie, że doktor trzyma koło siebie takie straszdyło, gdy z łatwością mógł sobie znaleźć lepszego psa. Siostra Taskira zaofiarowała się nawet, że przyniesie od księgowego POM-u ładne, puszyste szczenię, ale Postołowski ku jej zdumieniu nie zgodził się.

Żuczka znalazłszy sobie taką dobrą opiekunkę poczuła się pewniej i traktowała ośrodek jak swój „dom”. Zaczęła nawet szczekać i warczeć. Już nie odskakiwała jak szalona, kiedy ktoś podnosił na nią głos, wyraźnie się też poprawiła, tylko ocalałe oko zaczęło trochę ropieć. Pewnego razu doktor zauważył, jak matka wycierała je czystą szmatką. Pies stał cierpliwie, a po skończonym zabiegu z wdzięcznością liznął jej rękę.

Żuczka okazała się rzeczywiście nad wyraz rozumna. W dzień, kiedy w ambulatorium przyjmowano chorych i na podwórzu tłoczyli się obcy ludzie, rzadko można ją było tam spotkać. Ale ledwie doktor, a po nim Taskira i Saodat wychodzili z ambulatorium i dozorca Izmaïł zamykał drzwi, Żuczka pojawiała się na podwórku nie wiadomo skąd. Chociaż Izmaïł odnosił się teraz do niej zupełnie obojętnie, Żuczka wciąż nie mogła mu wybaczyć doznanych krzywd i obrażona odwracała od niego łeb, a gdy stróż uzbrajał się w długą miotłę i zaczynał zamiatać podwórze, kładła się przy drzwiach mieszkania

doktora, jakby chciała pokazać stróżowi, że teraz jest z nim na równych prawach.

Wyglądało to tak, jakby Żuczka rzeczywiście była na służbie: zjadała resztki obiadu, które przynosiła jej staruszka, i zostawała na swym posterunku na podwórzu aż do rana. Nawet doktor zauważył, że w pierwszej połowie dnia Żuczka nigdy nikogo nie zaczepiała. Ale gdy tylko drzwi przychodni zamknęły się, nikt obcy nie mógł już bezkarnie wejść na dziedziniec ambulatorium. Na widok intruza przy furtce szuka groźnie warczała, jeśli interesant usiłował iść dalej, unosiła się na przednie łapy i szczekała, a gdy i to nie pomogło i zuchwalec dobijał się do zamkniętych drzwi ambulatorium albo, nie daj Boże, szedł do mieszkania doktora, bojaźliwie spoglądając na psa i trzymając w pogotowiu kij, Żuczka szalała. Nie hamując swego gniewu, zrywała się z miejsca i z furią rzucała się na obcego: próbowała wyrwać mu kij, ugryźć w nogę lub złapać za poję czapanu. Nigdy nie rzucała się na obcych, którzy przechodzili w tym czasie w towarzystwie doktora, a zwłaszcza jego matki, jedynie z dezaprobatą spoglądała na nich swym jedynym okiem, jakby chciała powiedzieć: „Czy wam nie wstyd przychodzić o niewłaściwej porze, gdy ludzie chcą spokojnie się pożywić i odpocząć po pracy?”

Jeśli matka szła rankiem na bazar czy do sklepu, Żuczka uważała za swój święty obowiązek jej towarzyszyć, by w razie potrzeby bronić jej przed psami i wszelkim złem, które mogło jej się przydarzyć wśród obcych ludzi.

Teraz Żuczka nie była już zastraszona jak kiedyś, nie darowała żadnej krzywdy i groźnie

szczeakała na dzieci, które tak jak i dawniej nie dawały jej spokoju. Przestała się nawet bać doktora; pojmowała zapewne, kim on jest dla staruszki, i przyjaźnie merdała ogonem na jego widok. Ale gdy pewnego razu doktor rzucił jej kawałek chleba i chciał się do niej zbliżyć, Żuczka gwałtownie odskoczyła. Przesępowała z nogi na nogę, merdała ogonem, wysuwała język, ale nie podchodziła. A jej oko, spoglądające na doktora, zdawało się mówić: „Ty jak sobie chcesz, a ja ci w dalszym ciągu nie wierzę”.

Postołówski próbował ją przywołać, wyciągnął rękę, wabił nowym kawałkiem chleba, lecz Żuczka dreptała tylko w miejscu i nie chciała się zbliżyć.

„Niektórzy mówią — przypomniał sobie doktor — że psy i dzieci wyczuwają ludzi, odróżniając na pierwszy rzut oka dobrych od złych. Dziwne, dlaczego ona do mnie nie idzie?” — pomyślał dotknięty, odchodząc od psa. Zrobiło mu się przykro, jakby suka dostrzegła w nim coś takiego, czego sam w nawale pracy i różnych trosk nie zauważył.

XI

— Jakie smaczne dzisiaj mleko! — powiedział ze zdziwieniem doktor, który za mlekiem na ogół nie przepadał. Te niewiele znaczące słowa, wypowiedziane mimochodem, zapadły jednak w pamięć matki i nie wychodziły jej z głowy przez cały następny dzień.

Z mlekiem były wieczne kłopoty. Ponieważ

było drogie, kupowano je tylko dla Bazia i synowej. Babcia nie była brana pod uwagę, mimo że jej słaby organizm chętniej przyjmowałby teraz mleko niż jakiegokolwiek inne potrawy. Synowa nigdy o tym nie pomyślała i nawet teraz, kiedy Nina przebywała w Taszkencie, babcia Postołowska nie ważyła się tknąć mleka. Wszystko, czego nie wypił Bazio, dawała synowi albo odstawiała na kwaśne.

Dawniej, jeszcze w Perejaślawiu, miała swoją krowę i piła tego mleka do syta. Kiedy synowie zaczęli się uczyć w Kijowie i Moskwie, krowę trzeba było sprzedać. Mimo to od czasu do czasu pozwalała sobie na dzbanek parzonego kwaśnego mleka, a niekiedy i na śmietanę, ale o przeszłości lepiej nie wspominać...

Synowej, jak we wszystkim, tak i z mlekiem nie mogła dogodzić. A ile się musiała każdego dnia natrudzić, żeby je zdobyć! Zdarzało się, że mleko na bazarze bywało odciągane, rozcieńczone, pływały w nim włosy; ale cóż było robić — to przecież nie Ukraina! Teraz, mając swobodę w gospodarowaniu, zaczęła babcia Postołowska szukać stałego dostawcy i w końcu znalazła.

Chata, gdzie od kilku dni brała mleko, leżała na skraju wsi, dość daleko jak na jej słabe nogi, ale gdy wieczorem upał stawał się mniej dokuczliwy, a syn szedł do ambulatorium na wieczorne przyjęcia, z ochotą brała Bazia za rękę i w towarzystwie Żuczki powoli szła ocienioną stroną na daleką ulicę. Mieszkania nie zamykała, bo już zdążyła się przekonać, że wśród Uzbeków nie ma złodziei i nikt obcy nie przestąpi w uzbeckim

kyszłaku progu cudzej chaty, dopóki gospodarz nie odezwie się ze środka i nie zaprosi.

Staruszka zaczęła się już powoli przyzwyczajać do tego dziwnego kraju, gdzie w lecie piecze niemiłosiernie, a w zimie prawie wcale nie ma śniegu, gdzie z początku wszystko wydawało się jej takie dziwne i nieprzyjemne, bo było jej smutno wśród ludzi obcej mowy i odmiennych obyczajów.

Jednak, jak się z czasem przekonała, również i tutaj, w Uzbekistanie, ludzie byli dobrzy i dobre panowały zwyczaje. Szczególnie podobała się jej uzbecka grzeczność, a co do gościnności — to nawet na Ukrainie nie wszędzie się taką spotykało. Gdziekolwiek się wejdzie, wszędzie ugoszczą, poczęstują czym chata bogata. Bo takie tu panuje prawo z dziada-pradziada, taki jest obyczaj tego narodu.

Bardzo wzruszała babcie wdzięczność Uzbeków. Ileż to razy wyleczeni pacjenci przynosili do ich domu koszyki winogron, morele, dynie, niekiedy również i najcenniejszy dla nich produkt — ryż. Chociaż syn kategorycznie zabronił jej przyjmowania jakichkolwiek podarunków, staruszka, by nie urazić szczerych, wdzięcznych ludzi, tym razem ku zadowoleniu synowej — co tu ukrywać — po cichutku je przyjmowała.

Jedynie z mówieniem miała kłopot: do tej pory nie rozumiała, co do niej mówią, chyba że wytłumaczyli jej na migi, a i język jej jest zbyt oporny, by nagiąć się do gardłowych uzbeckich dźwięków. Ani porozmawiać, ani nawet słów podziękowania czy pozdrowienia wypowiedzieć! A taką miałaby ochotę! Och, jakby się czasem chciało porozmawiać z życzliwą duszą, usłyszeć

dobrze słowo i serce swoje przed kimś otworzyć!

Matka doktora wiedziała, że synowa nią pogardza; jeśli się do niej czasem zwracała, to tylko po to, żeby wydać polecenie albo zganić teściową. W ich domu nie zdarzało się, jak to wśród ludzi jest przyjęte, żeby przyjaźnie i spokojnie porozmawiać, poradzić się w różnych sprawach. Syn był wiecznie zajęty i nie miał czasu na rozmowy z matką. Poza tym, odkąd został lekarzem, o czym mogłaby ona, prosta kobieta, z nim rozmawiać? Wstydziała się nawet, szczególnie przy ludziach, nazywać go Olkiem. Wystarczyło jej, że popatrzy na niego z boku i nacieszy się myślą, jak to wysoko zaszedł jej maleńki niegdyś Olek...

Jednak z gospodarzami, u których brała mleko, znalazła wspólny język. W ich domu wszystko jej się podobało: i dwie chłodne izby z glinianymi podłogami, jak na Ukrainie, i schludne płócienne paszchony nad łózkami, i coś podobnego do ganku przed domem, tylko zamiast zewnętrznej ściany — gęsto rozrosłe bujne winorośle; a szczególnie podobali się babci gospodarze domu, ta niewielka uzbecka rodzina, która składała się z brata wdowca i dwóch starszych od niego niezamężnych sióstr.

Brata nie było w domu przez cały dzień, pracował na plantacji bawełny; dopiero wieczorem, kiedy przychodziła po mleko, wracał znużony i wycieńczony od upału, cały umorusany.

Trzeba było widzieć, jak obie siostry, ledwie brat przestąpił próg, rzucały gotowanie i troskliwie spieszyły, by mu podać świeżej wody do picia i umycia się, to ręcznik, to długą białą koszulę. „Krzążają się jak Marta i Maria koło Ła-

zarza” — myślała w duchu wzruszona, przyglądając się, jak zwawo drepcą w długich aż do pięt uzbeckich koszulach, a na plecach podnoszą im się i opadają przywiązane do warkoczy małe ciężarki. Babcia dziwiła się, że Uzbeczki chodzą w samych koszulach, ale właśnie te długie, patriarchalne szaty na tle białych ścian, winorośli i drzew brzoskwiniowych, i cały ten familijny, pokojowy nastrój domu przywodziły jej na myśl czasy, kiedy po ziemi chodził Jezus Chrystus, który widząc nieszczęście sióstr Marty i Marii, wskrzesił ich umarłego brata Łazarza...

Po umyciu się i przebraniu brat siadał do posiłku i chętnie zamieniał słowo z przybyłym gościem. Mówił trochę po rosyjsku i babcia rozumiała go piąte przez dziesiąte. Siostry nie znały ani słowa po rosyjsku, ale były tak życzliwe, że staruszka odnosiła wrażenie, jakby je mimo wszystko rozumiała. Zawsze, ilekroć przyszła, siostry nie wiedziały, gdzie ją posadzić, od razu częstowały mlekiem, przynosiły czereśnie, morele. Cały czas trajkotały po uzbecku i w tym potoku słów staruszka chwytiała jedynie poszczególne, jednak bardzo życzliwe słowa: „apa”, „nan”, i domyślała się, że ją, apę, czyli babcię, dobrzy ludzie częstują chlebem i świeżym mlekiem. Sama sobie tłumaczyła, nie myląc się, słowa uprzejmych Uzbeczek: „Toż wypijcie mleka i skosztujcie naszego chleba! Bardzo prosimy! Czym chata bogata, tym rada! Prosimy!”

Wzruszona chciała wtedy powiedzieć tym dobrym gospodarzom: „Moi drodzy! Jak dobrze jest żyć, gdy w domu panuje miłość i zgoda. Przecież wszyscy mogliby tak żyć. To tylko «zły nie

znajdzie w całym świecie domu radosnego...» * — jak mówi Taras Szewczenko”.

Staruszka nie umiała niestety wyrazić tego po uzbecku i ze smutkiem odpowiadała krótkim „dziękuję”, „czemu mnie tak częstujecie?”, „niech wam Bóg wynagrodzi!” Mówiła to w języku ojczystym, po ukraińsku, tak jak w Perejasławiu, gdyż nie wolno łamać języka i przekreślać słów, które płyną z serca.

Staruszka była daleka od porównywania, jak ją tutaj traktują obcy ludzie a synowa i syn w domu, ale za każdym razem, kiedy trzeba było poszukać Bazia, który bawił się na podwórku z kozłeciem, i pożegnać gościnnych gospodarzy, mimo woli wzdychała.

Jedno tylko martwiło babcię Postołowską: a gdyby tak ktoś z tych dobrych gospodarzy zaszedł kiedyś do jej domu! Najadłaby się tylko wstydu nie mając możliwości ani poczęstować, ani nawet odwdziaczyć się dobremu człowiekowi za jego serce...

Ale wczoraj nadarzyła się okazja, by pomóc tym ludziom. Gdy wieczorem przyszła po mleko, brat gościnnych sióstr leżał chory. Twarz miał zaczerwienioną i tak spuchniętą, że go nie poznała. Siostry kręciły się koło niego, coś szeptały, z czego zrozumiała dwa słowa: „Spyrawka kerak”. Potrzebne jest zaświadczenie. Zaświadczenie lekarskie, bez którego w tej gorącej letniej porze, gdy przy bawelnie jest huk pracy, chory mógłby mieć w kołchozie poważne przykrości.

Z tymi dziwnymi słowami zetknęła się po raz pierwszy pewnego dnia, kiedy do ich domu przy-

Thum. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski.

szedł zdrowy jak koń Uzbek z torbą ryżu i dwiema dyniami, położył to wszystko przed Olkiem i bezceremonialnie powiedział: „Spyrawka kerak!” Syn bardzo się rozgniewał i przepędził Uzbeka, nawet go nie badając. Od tej pory, ilekroć usłyszała gdzieś te słowa, przyjmowała je jako oznakę symulacji i łapownictwa.

Ten pracowity człowiek był jednak rzeczywiście chory i jego życzliwe siostry mówiły o zwolnieniu wcale nie po to, by oszukać doktora i zaproponować łapówkę. Ale jak to powiedzieć synowi? Dobrze wiedziała, że syn nie lubił, gdy do chorego wzywano go nie przez ambulatorium, a przez nią czy przez synową; zawsze w takich wypadkach podejrzliwie rozglądał się po mieszkaniu, czy nie pachnie schowanym gdzieś podarunkiem. A nuż — nie daj Boże — siostry chłapną przy nim swoje: „Spyrawka kerak”, a on się rozgniewa i wyjdzie, nie spojrzawszy nawet na chorego?

Kiedy po skończeniu wieczornych przyjęć syn wrócił do domu, matka niby przypadkowo powiedziała:

— Znalazłam dobre mleko, tylko strach je brać...

— Dlaczego? — bez specjalnego zaciekawienia, byleby coś powiedzieć, zapytał doktor.

— Właściwie to nic się nie stało, tylko gospodarz poważnie zachorował.

Doktor już miał na końcu języka: „To zamów mleko gdzie indziej”, ale jego stałe obawy, aby do rejonu nie dostały się przypadkiem choroby zakaźne, które nie zauważone w porę mogą wybuchnąć groźną epidemią, zmusiły go do zwrócenia baczniejszej uwagi na słowa matki.

— A co mu jest? — zapytał już innym tonem.

— A kto go tam wie. Twarz spuchnięta, gorączka. Wygląda na różę. W Perejasławiu dobrze odczyniała ją kiedyś babcia Motria...

Syn puścił mimo uszu matczyne przypuszczenia, ale przez głowę przemknęła mu trwoźna myśl: Ospa? Trąd? Zwyczajne zakażenie? Tyfus plamisty lub brzuszny?... Jedno nie ulegało wątpliwości — trzeba tam było koniecznie pójść.

Pozostawili Bazia pod opieką sanitariuszki Saodat, która kończyła sprzątać ambulatorium, i szybko, na ile tylko pozwalały słabe nogi staruszki, poszli do chorego Uzbeka.

Szli w milczeniu. Doktor zasepił się, gdyż coraz bardziej niepokoila go myśl: Co to będzie, jeśli do ciągłej walki z malarią dołączy się jeszcze epidemia tyfusu brzuszego! Zaczną się ponadplanowe masowe szczepienia, kłopoty z hospitalizacją, której unika większość Uzbeków, napływ papierków i instrukcji z wydziału zdrowia. Aż go korciło, żeby czym prędzej zobaczyć chorego i móc choćby w przybliżeniu ustalić rozpoznanie.

Matka również przyspieszała kroku. Nie spodziewała się, że syn tak łatwo da się złapać na jej niewymyślny podstęp; bała się tylko, żeby jego zapal nie ostygł, a siostry swą gadatliwością nie popsuły sprawy. W pobliżu chaty na wszelki wypadek zaczęła siostry wychwalać:

— A jak one troszczą się o swego brata, jak chodzą koło niego, całkiem jak... — tu staruszka nie wytrzymała i dokończyła głośno: — jak Marta i Maria koło swego brata Łazarza. Kiedyś, jeszcze jak chodziłam do szkoły parafialnej, ojciec Mikołaj o tym opowiadał... Tylko że teraz

tym siostrom oprócz ciebie nie ma kto pomóc — dodała, uśmiechając się nieporadnie ze swego żartu, a w myśli ganiąc siebie za nieumyślne bluźnierstwo, jakiego się dopuściła, żeby zmiękczyć nieczułe serce swego uczonego syna, który przy ostatnich słowach matki jeszcze bardziej się zachmurzył.

Tymczasem Postołowski był tak zajęty swoimi myślami, że słowa matki nie dotarły do niego. Uświadomił je sobie dopiero w chacie, kiedy uważnie obejrzał wysypkę na twarzy chorego, uspokoił się i z ulgą wypowiedział w myśli łacińską nazwę róży: *Erysipelas*.

Póki mierzył temperaturę i badał chorego, ze zdziwieniem zauważył, że matka czuje się tu bardziej swobodnie niż w domu, coś szepcze siostrom, gdy te próbują mu coś wytłumaczyć. Na starszą nawet łagodnie pomachała rękami: — Cicho, cicho! Lepiej nic nie mówić! — Matka obawiała się, żeby Uzbeczka nie powiedziała czegoś niepotrzebnego. Ale nic takiego się nie stało. Doktor powtórnie popatrzył na termometr, dokładnie obejrzał piersi i plecy chorego, jeszcze raz nacisnął z lekka obrzękły policzek i widząc, jak czerwona skóra powoli wyrównuje się, z uśmiechem zwrócił się do matki:

— Jednak masz rację, mamó, to róża, typowa róża! Widzę, że dobrze znasz się na chorobach. — Wypisał zwolnienie, które starsza siostra ostrożnie zaniósła do szafy, z zadowoleniem wpatrując się w świeżo odbitą pieczętkę.

Gdy wracali, nad arykami unosiły się już i brzęczały komary, a między gałęziami karagacza srebrzyła się tarcza księżycy. Rozchmurzony doktor powiedział:

— Rzeczywiście, ich dom przypomina obraz Siemiradzkiego „Chrystus u Marty i Marii”. Pamiętasz, kiedyś u nas w domu, jeszcze za życia ojca, wisiała taka litografia.

Matka szła radosna i szczęśliwa. Wszystko ją cieszyło: i to, że udało się jej odwdzińczyć dobrym ludziom, i że obok niej szedł syn, taki łagodny i dobry jak kiedyś w Perejasławiu... Jak to dobrze — pomyślała sobie — że w domu nie ma teraz synowej i nikt nie spojrzy na nią krzywym okiem, że pociągnęła syna nie wiadomo gdzie, prawie na koniec kyszłaku, do jakiegoś tam Uzbeka.

XII

Ostatni chory wyszedł z gabinetu i doktor wstał z za biurka, aby umyć ręce i zdjąć fartuch. W tym momencie za oknem zjawiała się jakaś postać, osłaniając dłonią oczy zajrzała do wnętrza doktorchony i zobaczywszy doktora, szybko skierowała do drzwi wejściowych.

Takie rzeczy zdarzały się i dawniej, szczególnie gdy jakiś dechkanin z odległego kyszłaku przyjeżdżał do ośrodka po raz pierwszy. Doktor nie znosił tego i już przygotował się, by porządnie zmyć natrętowi głowę. A co by było — powie mu — gdybyś tak zajrzał do doktorchony, a tam właśnie doktor badałby czyjąś rozebraną żonę? I co by na to powiedział mąż tej kobiety, że ją podglądasz przez okno?

Jakież było jego zdziwienie, gdy do pokoju, zastukawszy i nie czekając na odpowiedź, wszedł

nie jakiś tam dechkanin, a korpulentna Uzbekka. Swobodnym krokiem podeszła do stołu i pośpiesznie, jakby się bała, że doktor nie zechce jej wysłuchać, powiedziała:

— Dzień dobry, doktorze! Bądź łaskaw zobaczyć, dlaczego mi się nie goją te ranki? Siostra mnie leczyła, felczer mnie leczył, dawali mi różne wspaniałe maści, nic nie pomaga. Już sama nie wiem, co robić.

Zsunęła z nadgarstka prawej ręki rzemienną nahajkę i niedbale rzuciła ją na krzesło, potem spracowaną, o popękanych palcach ręką energicznie rozpięła bluzkę pod pomiętym, tanim żakietem i obnażyła pierś pokrytą owrzodzeniami. Musiała być otrzaskana z lekarzami, bo od razu, nie tracąc czasu, zwróciła się do siostry Tas-kiry:

— Proszę pisać: Nazira Babadżanowa, lat trzydzieści osiem. Rozwiedziona — męża przepędziłam, bo świętował urazę* i kradł kołchozowe barany. Miejsce zamieszkania — kyszłak Toda, rejon Chakuł-Abad. Jeśli trzeba, to napisz: członek partii od trzydziestego dziewiątego roku...

Wtargnięcie tej niezwykłej kobiety, jej swobodne zachowanie, brak właściwej tutejszym kobietom wstydlivości, która podczas przyjęć sprawiała tyle kłopotu, dość poprawny język rosyjski z charakterystycznym uzbeckim akcentem i tych kilka krótkich biograficznych danych — wszystko to tak zaskoczyło doktora, że zapomniał ją nawet zganić za zagłądanie przez okno

Uraza (uzb.) — muzułmańskie święto, obchodzone po okresie postu.

i tylko przelotnie rzucił okiem na zaczerwienione rany ropnych wykwitów na piersi. Całą jego uwagę przykuła atletyczna, męska sylwetka, niedbale zawiązana wypłowiała chustka, pokryta zmarszczkami, opalona, ruchliwa twarz — wprawdzie nie piękna, ale nadzwyczaj sympatyczna, i wreszcie — muskularne nogi w zabłoconych męskich butach.

Babadżanowa po swojemu zrozumiała niezdecydowane milczenie doktora, bo odezwała się:

— Ja, doktorze, nietutejsza, jestem z Tody, ale mnie przyjmij. Wszyscy mówią, że dobrze leczysz.

Postołowski z zasady przyjmował każdego, kto się do niego zgłaszał, nie zwracając uwagi na rejon. Tej kobiecie również chciał szczerze pomóc i uważnie obejrzał wilgotną skórę na piersiach pacjentki.

— Może masz jakąś dobrą maść, bo ranki przyklejają mi się do koszuli — ciężko mi chodzić, ciężko jeździć. Nieprawdopodobność! — powiedziała przyciszonym głosem, komicznie zniekształcając ostatnie słowo.

Doktor uśmiechnął się. Nawet ta zupełnie nietypowa Uzbeczka przekładała maść nad cały arsenał środków medycznych. Przypomniał mu się „współczesny Łazarz” chory na różę, do którego niedawno zaprowadziła go matka. Ten również ochoczo posmarował sobie twarz maścią ichtiową, od czego wyglądał jak prawdziwy Murzyn, lecz tabletek streptocidu nie tknął. Na pytanie doktora, dlaczego nie bierze wszystkich przepisanych lekarstw, chory spokojnie odpowiedział: „Boli mnie głowa, to ją smaruję; a białe lekarstwa po co łykać. One idą do żołądka, w głowie

się nie zatrzymują, żadnego pożytku z nich nie będzie”.

— Sama maść tu nie wystarczy — powiedział do pacjentki, nie przestając uśmiechać się przyjaźnie. — Trzeba brać zastrzyki.

— Zastrzyki? — powtórzyła Uzbeczka z radością, jakby wreszcie znalazła sposób na wyleczenie swej przewlekłej choroby.

— Tak, zastrzyki — potwierdził Postołowski, dziwiąc się mimo woli ślepej wierze we wszelkie zastrzyki, z którą tak często spotykał się w swej praktyce, i prawie ze śmiechem wyjaśnił:

— Gorące zastrzyki (tak nazywali tutejsi pacjenci dożylnie zastrzyki wapna).

— Dobrze, dobrze! Zrób, doktorze, gorący zastrzyk!

Kobieta w pośpiechu zdjęła żakiet, obrzuciła fachowym spojrzeniem gabinet i nie czekając na zaproszenie usiadła przy stoliku, na którym dostrzegła sterylizator z wygotowanymi strzykawkami.

— A będziesz przychodzić w wyznaczone dni?

— Choćby codziennie, doktorze. Ja mam konia. I dzisiaj przyjechałam do ciebie na koniu.

— A gdzie pracujesz? — zapytał ze zdziwieniem, dodając w myśli: pewnie jako listonosz albo kierownik magazynu.

— Jestem przewodniczącą rady gromadzkiej w Todzie.

Doktor uważnie spojrzął na pacjentkę. Do tej pory widywał tutaj sprzedawczynie, nauczycielki, artystki, w obwodowym wydziale zdrowia była nawet lekarka, ale kobieta na takim stanowisku w kyszłaku, Uzbeczka-administrator, która z pewnością nieźle sobie radziła, to było

dla niego zaskoczeniem. Dziennikarze mieliby o czym pisać, gdyby tu czasem zaglądali — pomyślał biorąc od siostry strzykawkę. Nachylił się nad ręką zaciśniętą opaską i porozumiewawczo mrugnął do pacjentki.

— Proszę się nie bać: będzie gorąco, ciepło rozplynie się po całym ciele — zapowiedział i pół żartem, pół serio, by chora rzeczywiście odczuła skuteczność leków, dodał: — Ten żar spali całą chorobę!

Gdy doktor wyciągnął z żyły igłę, a siostra Taskira przycisnęła miejsce ukłucia tampionem waty, zaczerwieniona z napięcia pacjentka z zadowoleniem przymknęła oczy i kiwnęła głową.

— Jachszy zastrzyk! Rachmet, doktor! — podziękowała po uzbecku.

Kiedy wyszli z ambulatorium, przewodnicząca z Tody obrzuciła gospodarskim okiem czyste podwórko, pobielone ściany ośrodka i mieszkanie doktora, z zachwytem zatrzymała wzrok na kwietniku, potem przeniosła spojrzenie na popękane ściany, ziejące pustymi otworami okien, i pokręciła głową:

— Doktor dobry, doktorchona dobra, a to co? Jaman! Jaman! Dżuda jaman! *

Wskazała ręką rudere i potrząsnęła nahajką:

— Trzeba budować! Wielki szpital trzeba budować!

Doktor westchnął.

— Bezsprzecznie trzeba. Gdybyż to w naszym kołchozie i radzie gromadzkiej siedzieli tacy jak ty, Naziro! — powiedział z goryczą, po raz

Jaman! Dżuda jaman! (uzb.) — Żle! Bardzo źle!

pierwszy zwracając się do swojej pacjentki po imieniu. Ta energiczna i stanowcza kobieta budziła w nim coraz większą sympatię. — Zbudowalibyśmy, Naziro, taką izbę porodową!... Niechby Uzbeki nie rodziły więcej po domach!

— To budujemy, doktorze! Na dwie gromady — waszą i naszą. Dlaczego mamy nie budować?

— Jest nawet uchwała zarządu kołchozu, którą obiecał poprzeć przewodniczący rady Chasnow, ale roboty nie widać. Pismo jest, a robota stoi.

— Bar ma kagas? * — powtórzyła, przechodząc bezwiednie na swój język ojczysty. Gdy doktor przyniósł z mieszkania kopię uchwały, pochwyciła zwinięty dokument jak kosztowną zdobycz i wetknęła głęboko za pazuchę.

— Wszystko w porządku! Jest pismo, to i budynek będzie!

Energicznie odwiązała konia od topoli, lekko, jak na swą korpulentną figurę, wskoczyła na siodło i chlasnęła konia nahajką po grzbiecie. Na ulicy podniósł się tuman kurzu, nad którym jak kozacki pióropusz powiewał koniec wypłowiałej chustki.

Postołowski długo spoglądał za nią, póki dziwny jeździec i koń nie zniknęli za zakrętem. Nie chciał mu się wierzyć, że z tego zapału niespodziewanej entuzjastki coś wyjdzie, ale rozumiał, że nieoczekiwanie znalazł wiernego pomocnika i sojusznika.

Gdy na drugi dzień Nazira przyjechała na kolejny zastrzyk, tuż za nią na podwórko am-

Bar ma kagas? (uzb.) — Jest pismo?

bulatorium wtoczyły się ze strasznym hurkotem i skrzypieniem dwie arby, załadowane drewnem budowlanym.

Nazira uroczyście położyła na biurku doktora umowę między sąsiednimi radami w sprawie budowy izby porodowej i zdejmując żakiet powiedziała:

— Jutro przywieziemy cegłę i cement, a łupkę dostanę z Chakuł-Abadu. Jeśli i tam nie będzie, pojedę do Namanganu. Komsomoł przyśle ci chłopców, a nasz POM dwóch cieśli i majstra. Powiesz im, doktorze, jak mają budować. Trzeba dobrze budować!

Doktor wciąż jeszcze nie wierzył i słowa Naziry przyjmował jak deklaratywną obietnicę wyborczą, ale hałas na podwórzu, trzask rozładowywanych arb i stukot zrzucanych na ziemię desek ostatecznie go przekonały. Szeroko otwartymi oczyma spoglądał w milczeniu na twarz Uzbeczki i z piersi wyrwało mu się tamowane wewnętrzne wzruszenie:

— Jak ci za to wszystko podziękować, Naziro!

Nieregularne, łukowate brwi Babadżanowej uniosły się do góry i pogłębiły zmarszczki na opalonym czole.

— Po co dziękować? Budujemy nie dla siebie, a dla wszystkich. Władza radziecka to du-użo ludzi, jak wszystkim podziękujesz?

XIII

Dzisiaj przed południem powróciła wreszcie z Taszkentu żona doktora. Dostrzegł ją z okna w momencie, gdy przechodziła przez podwórko, obładowana mniejszymi i większymi paczkami. Jedna z nich była nawet przywiązana do guzika nowego płaszcza o dziwnym fasonie, uszytego prawdopodobnie według najnowszej mody.

Za Niną podążała, również z pakunkami, drobna kobieta w kusym żakieciku, w której doktor ze zdumieniem rozpoznał dziwną pacjentkę „prawie pannę”, jak określiła ją siostra Taskira. „Kiedy zdążyły się zapoznać i skąd ta przyjaźń?” — pomyślał. Wiedział dobrze, że żona nie lubi damskiego towarzystwa, a jeśli już utrzymywała znajomość z kobietami, to tylko wtedy, kiedy widziała w tym jakąś korzyść. Do czego mogła być Ninie przydatna księgowa z oczyszczalni bawełny?

Z okazji przyjazdu żony Postołowski przyjął tylko ciężko chorych, resztę pacjentów pozostawiając siostrze, i wcześniej wyszedł do domu.

— No, nareszcie jesteś, Olku! Sto lat cię nie widziałam! — przywitała go radośnie żona. Podchodząc do niej doktor usiłował odgadnąć, na ile ta radość jest szczera. Od dawna bowiem wyczuwał podświadomie jakąś nienaturalność w jej kontaktach z ludźmi, nieszczerłość słów, za którymi czasem kryły się inne myśli i zamiary, a być może i prawdziwy, nie znany mu dotąd charakter. Żeby nie zaprzętać sobie głowy dodatkowym kłopotem, usiłował nie myśleć o tym,

chciał jedynie odgadnąć nastrój żony, wszystko inne kładąc na karb dziwactw ludzi sztuki, do których i ją zaliczał.

Nina gwałtownie podbiegła do męża, objęła go za szyję i mocno przycisnęła do siebie. Nawet nie zdołał się zorientować, czy żona pocałowała go we włosy, czy tylko zbliżyła swe usta z dwoma rzędami białych, krótkich zębów.

— Tak bardzo tęskniłam za tobą, tatku! Aż strach! — Jeszcze raz przytuliła go do siebie, nie zwracając uwagi na drobną kobietę w żakieciku, która stała z boku i nie wiedziała, czy wypada jej już odejść, czy powinna jeszcze zatrzymać się na chwilę.

Doktor grzecznie się jej uklonił, delikatnie uwalniając się z objęć żony. Nina też się zreфлекtowała. Przyjaźnie się uśmiechając, pokiwała jej głową jak dobrej znajomej.

— Niech się pani nie martwi. Wszystko będzie dobrze!

Kobieta w żakieciku skinęła głową, obrzuciła doktora krótkim, przenikliwym spojrzeniem i wyszła.

Zdziwiony doktor chciał się czegoś o niej dowiedzieć, ale Nina rzuciła się do pakunków.

— Zobacz, co ci przywiozłam, Oleczku!

Na podłodze koło łóżka siedział w nówiutkim marynarskim ubranku Bazio i obracał w rękę maleńką armatkę. Zapomniawszy o bożym świecie, oglądał zabawkę ze wszystkich stron. Nina prędko odwiązała sznurek, pomagając sobie zębami, i rozwinęła szorstki papier.

— Czyż nie piękny? — wykrzyknęła, podnosząc do szyi męża jedwabny krawat w pasy.

— Mamo, a jak ona strzela? — spytał z po-

dłogi Bazio. Matka spojrzała w dół i zachnęła się.

— W nowych spodniach na podłodze? Wstań natychmiast! Wstań, ty wstręciuchu!

Synek, nie wypuszczając z rąk zabawki, z trudem podniósł się i przykląkł na czworakach.

— A jak ci do twarzy, Oleczku! Do twych jasnych włosów ten niebieski kolor... Jasne prążki będą ożywiać ogólne tło. Po prostu cudownie! — zachwycała się Nina, odchylając do tyłu głowę.

Nie dając mu chwili na opamiętanie, rzuciła się do nowej paczki i wróciła z tiubetejką.

— A co powiesz na to? Dzieło z Buchar. Zupełnie jak fragment kilimu perskiego. No, co jak co, ale wyroby rękodzielnicze Uzbegy mają wspaniałe. Toż to arcydzieło! — powiedziała z przekonaniem i delikatnie włożyła tiubetejkę mężowi na głowę. — Spójrz tylko na siebie! — aż krzyknęła, popychając męża do kąta, gdzie na małym stoliku, zastawionym flakonikami, pudełeczkami i innymi toaletowymi drobiazgami, stało wielkie lustro.

Doktor, ociągając się, podszedł do lustra. Ani bucharska tiubetejka, ani tym bardziej krawat w prążki, który wydał mu się zbyt jaskrawy, nie zrobiły na nim większego wrażenia. W lecie nosił zwykłą cyklistówkę z dużym daszkiem, idealną w warunkach uzbeckiej spiekoty, a krawaty zakładał chyba tylko na jakieś oficjalne narady i zjazdy — w domu i w pracy przeszkadzały mu. Podświadomie naśladował w tym młodego profesora ftyzjatrę, którego wykłady słuchał półtora roku temu na kursach doskonalenia kadr lekarskich. Od niego przyswoił sobie styl gustownego, a zarazem skromnego ubiera-

nia się. Podobnie jak profesor, zaczął ku zdumieniu siostry Taskiry używać starego, prymitywnego drewnianego stetoskopu zamiast nowoczesnego fonendoskopu twierdząc, że ten ostatni swym dodatkowym dźwięczeniem zwiększa szумы i zgrzyty i nie daje rzeczywistego obrazu stanu serca i płuc. Na uroczyste okazje wkładał — tak samo jak profesor — ciemnoszary garnitur i skromny szary krawat. Nowy krawat wydał mu się zbyt krzykliwy — takie noszą tylko malarze, aktorzy albo filmowcy, i nie wypada, żeby nosił poważny, solidny lekarz. Ale to był prezent od żony, więc by jej nie urazić, posłusznie spojrział w lustro na wysoką bucharską tiubetijkę i przyłożył krawat do koszuli.

— Popatrzcie no, babciu, jak mu w tej krymce pięknie — zwróciła się Nina do teściowej, która w tym momencie wносиła obiad. Dzisiaj Nina czuła się zupełnie jak solenizantka i skłonna była tolerować obecność teściowej. Nawet się przyjaźnie do niej odezwała: — Prosiliście mnie, żebym kupiła napařtek i czarne nici. Proszę!

Aleksander odszedł od lustra, zdjął tiubetijkę i opuścił rękę z krawatem. Głos Niny wyrwał go z zamyślenia.

— A jak ci się podoba ta tkanina? To również uzbeckie rękodzieło.

Aleksander rzucił okiem na zieloną, błyszczącą kapę z jakimiś wyszytymi wizerunkami i wymamrotał pod nosem:

— No cóż, dobra rzecz, piękna... — Ale w myśli miał co innego... Napařtek i czarne nici! Na nic więcej nie było jej stać! Matka chodzi w te upały w czarnej sukni, w której przyjechała jeszcze z Ukrainy...

— Dziękuję, Nino, za naparstek i nici — powiedziała matka. — Szkoda tylko, że to sześćdziesiątka, a nie czterdziestka, o którą prosiłam.

— Wam, babciu, nigdy się nie dogodzi! Wiecznie jesteście niezadowoleni! Ja za tymi niciami cały Taszkent obleciałam!

Odświętny nastrój Niny zaczął się psuć. Bazio odsunął armatkę i posepnie spoglądał na babcię; staruszka pospiesznie wyszeptwała:

— Ależ nic nie szkodzi! Te się też przydadzą. Tylko że te się rwą.

— „Rwą się”!... Wszystkie nici się rwą — trochę już łagodniejszym tonem odpowiedziała Nina, beładnie zgarniając ze stołu nie rozpakowane jeszcze paczki. — No, ale co mi się udało kupić! — chwyciła z krzesła pakunek i rozwiniawszy go, uroczyście położyła na stole. — Wspaniała kiełbasa śniadaniowa! I wiesz, Olku, całkiem przypadkowo ją dostałam u rzeźnika koło dworca. A tak o nią trudno!

W przeciwieństwie do Niny Aleksander nie był smakoszem. Odnosił się do jedzenia obojętnie. Kiedyś nawet powiedział przy żonie, że według niego pokarm to jedynie paliwo potrzebne do tego, by organizm mógł pracować bez przerw. Ta bladoróżowa kiełbasa nie wywołała w nim entuzjazmu. Westchnął i pomyślał: „I kiełbasa, i niepotrzebna tiubetejka, i krawat, i uzbecka kapa, i nowy płaszcz, i jeszcze tam coś, a dla matki, która cały czas u nas pracuje, gotuje — nic. Jeśli już nie z miłości, której nie żywi, to choćby dla przyzwoitości kupiłaby jakąś bluzkę, chustkę na głowę czy co!”

Nina kroїła kiełbasę na cienkie plasterki. Znowu powracał jej dobry, „imieninowy” nastrój.

— Wiecie co, moi państwo, spróbujmy od razu, jak smakuje! — zaproponowała. Słowa te zabrzmiały bardzo naturalnie, prosto i szczerze. Tak się rozczuliła, że do rany przyłożyła. — Wiesz, Oleczku, dzisiaj możesz wypić kieliszek swojej wódki! Z tą kiełbasą będzie wyśmienita. — Sama napełniła kieliszek, czule spoglądając przy-
mrużonymi oczyma, i podała mężowi.

Doktor wypił wódkę bez zapachu i bez specjalnego apetytu zabrał się do kiełbasy, a tymczasem Nina nie ustawała w pochwałach:

— Ach! Ach, jaka smaczna! Palce lizać!

Mały Bazio siedział koło matki i z przejęciem wbijał widelec w kiełbasę, potem nagle zdjął z widelca plasterek rączką i szybko włożył do ust. Matka od razu to dostrzegła:

— Kiełbasę je się widelcem. Popraw serwetkę. A wy, babciu, co? Nie smakuje wam? Jedzcie, jedzcie — zachęcała.

— Dziękuję, jakoś nie mam ochoty.

— O co chodzi, mamó? — ze zdziwieniem spojrzął na matkę Aleksander, któremu jej odmowa wydała się zbyt demonstracyjna i niedorzeczna. — Spróbuj! Kiełbasa rzeczywiście jest bardzo smaczna. — Aby zatuszować matczyne nietakt, posunął w jej stronę talerz, ale było już za późno. Obrażona Nina odwróciła się od teściowej.

— To dlatego, że to ja przywiozłam tę kiełbasę. Teraz rozumiem! — Westchnęła ciężko. — No cóż, nie można być miłym na zawołanie!

Wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że ona zrobiła wszystko, by w domu był spokój. Wszystko! Ale co począć z takim prostackim cha-

rakterem? I już bez apetytu zabrała się do napoczętej kiełbasy.

Babcia Postołowska nagle się poruszyła. Nieśmiało wyciągnęła rękę i drżącymi palcami wzięła plasterek kiełbasy, starając się wybrać najmniejszy. Ninę aż korciło, by zwrócić teściowej uwagę, że należy używać widelca i nie pchać się z rękami, że nie ma co dłubać i przebierać, bo to nie bazar, ale widząc zachmurzoną twarz męża pohamowała się.

— Ja tylko troszeczkę — niepewnie, jakby przepraszająco, powiedziała babcia. — Coś mnie boli, jak przeżykam...

Tego obłudnego kręactwa Nina nie mogła już ścierpieć.

— Po co to mówić takie rzeczy! Proszę sobie wziąć tyle, na ile macie ochotę! Nie rozumiem, po co te ceregiele!

Postołowski jadł, nie podnosząc oczu znad talerza. Zastanawiał się, jak matka mogła tak postąpić. Najpierw wymawia się od zjedzenia kawałka kiełbasy tylko dlatego, że kupiła ją nie ona, lecz synowa, później jak dziecko zmienia zdanie i w końcu bierze. A to biadolenie: „Ja tylko troszeczkę”, jakby ktoś jej żałował i patrzył, ile weźmie!

Jednak nic nie powiedział. Od momentu, kiedy podsłuchiwał rozmowę matki z Żuczka, zaczął się jej uważnie przyglądać i łagodniej do niej odnosić. Było mu żal staruszki, której samotność i tęsknotę zauważył wtedy po raz pierwszy.

Przygnębiające milczenie, jakie zapanowało w pokoju, przerwał Bazio. Uporawszy się ze swoją porcją, którą nałożyła mu matka, i spodzie-

wając się, że dostanie może coś od babci, zaczął ją namawiać:

— Jedz, babciu! Jedz! Wszystko zjedz!

— Przestań! — groźnie upomniała go Nina.

Nagle babcia zakrztusiła się i z jej ust zaczęły się wydobywać spazmatyczne gardłowe dźwięki.

Bazylek wytrzeszczył oczy i krzyknął:

— Nie śmiej się, babciu!

Nina ze zdumienia i oburzenia aż wypuściła z rąk widelec.

— Udławiliście się czy co? — skrzywiła się z odrazą.

Matka kościstą ręką zakryła mocno usta, z których wciąż wydobywało się dziwne rżęzenie, i raptownie się podniosła.

Widelec stuknął o talerz, nóż upadł na podłogę, drgnął stół, aż zakołysała się zupa w wazie, i głośno zaskrzypiało odsuwane krzesło. Aleksander ze zdziwieniem popatrzył na matkę. Staruszka, płacząc się w długiej sukni i prawie się zataczając, szybko wyszła z pokoju.

— Wymiotuje. Pewnie coś zjadła — stwierdziła już trochę uspokojona Nina i wielkodusznie zabrała się do sprząwania resztek jedzenia teściowej. — I po cóż ona je przed obiadem! — dodała i znowu jak niewinna męczennica ciężko westchnęła.

Doktor uważnie popatrzył na drzwi, za którymi znikła matka, i w milczeniu zabrał się do zupy.

XIV

Ale Nina pomyliła się: teściowa przed obiadem nic nie jadła, bo w ogóle jeść nie mogła. Od pewnego czasu zauważyła, że z trudem przełyka chleb, mięso, smażone kartofle; później dolegliwości te pojawiły się także przy płynnych potrawach — wydawało się jej, że za chwilę zwróci całe jedzenie.

„Co to może być, że ciało nie przyjmuje pożywienia?” — pomyślała wtedy i zamierzała zapytać o to syna. Ale czyż on nie ma i tak dość kłopotów? Tyle chorych — ten się skaleczył, innego trzęsie febra, jeszcze innego boli brzuch, tam kobieta nie może sama urodzić, i wszyscy do niego. A każdy chce, by rany same się goiły, ból ustępował, by urodziło się żywe, zdrowe dziecko, a matka lekko zniosła poród. Gdzież tam jej, starej, zaprzętać mu głowę swoimi dolegliwościami! Czasem wraca z ambulatorium taki zmęczony, aż żal bierze patrzeć, a przecież i do chorych go wzywają, i musi tam pójść. Gdyby to chociaż w domu wypoczął i wyspał się jak należy! Ale gdzie tam, do tego potrzebna jest żona, która i posprząta, i zatroszczy się o męża, i dopilnuje wszystkiego, gdy ten się położy po pracy... A czy synowa pozwoli mu wypocząć? Dla figłów będzie go szarpać, kiedy śpi, pleść koszałki-opałki, kiedy pisze, a sama w domu nawet palcem nie kiwnie. A przy tym jaka przekorna, jaka charakterna — nie daj Panie Boże! Niech tam już ona, stara, nie ma przez nią życia! Niech tam! Ona przecież teściowa — tak już jest na tym świecie, że teściowe nie są lubiane.

Ale i Olkowi z nią niesłodko. Milczy, nic matce nie powie, ale matka wszystko widzi, wszystko czuje. Oj, nie kocha synowa jej dziecka, nie kocha Olka. I czym ona zjednała sobie jego serce? Przyjechało to do Moskwy z Kobelak, pomieszkało tam trochę i już nosa zadziera: ja moskwiaczka, ze stolicy, ja jestem pani, a wy — tylko ciemni, nieciosani chłopci z Perejasławia! A czy to takie ważne, gdzie kto mieszka — w Moskwie, w Perejasławiu czy w Podwarkach? Grunt, żeby był człowiekiem, wyczulonym na ludzkie nieszczęścia i biedę... Jak to się stało, że Olek mógł taką pokochać? Chyba nie wzięła go urodą — bo te pomalowane usta i brwi, jak u lekkomyślnej kobiety, którą wstyd nazwać po imieniu... Nie inaczej, tylko zaczarowała, urok rzuciła — jak mawiali kiedyś starzy ludzie w Perejasławiu. Cóż robić! Nie tak się stało, jak się myślało.

Staruszka już sobie wyobraża, ile kłopotu i przykrości przyczyniłaby biednemu synowi, gdyby zachciało się jej chorować, jakimi złymi oczami spojrzalaby na nią synowa, gdyby zamiast gotować obiad — leżała w łóżku i brała leki!

I matka nie odważyła się powiedzieć synowi o swych dolegliwościach. Jakoś tam będzie.

Pomylił się również Aleksander sądząc, iż matka dlatego nie wzięła kiełbasy, że przywiozła ją niekochana synowa. Matka zupełnie nie mogła jeść, od dawna już z trwogą siadała do stołu razem z synową i synem. Obawiała się, że zwróci na nią uwagę, jak je, i wszystko się wyda, ujawni się jej dziwna choroba. I kto wie — może się nawet zdarzyć, że syn, jej jedyny syn, zarzuci matce, że przez nią nie ma zgody i mi-

łości między nim a żoną. Dlatego jadła naprędce, byle szybciej pozbyć się tego ciężkiego obowiązku i czym prędzej udać się do kuchni, gdzie w samotności można swobodnie westchnąć i odpocząć.

Ale dzisiaj nie udało się staruszce uniknąć tej strasznej kielbasy. I oto, by w rodzinie nie było przez nią nowej burzy, nowych waśni, wzięła kawałek i usiłowała przełknąć.

Stało się to, czego tak się bała.

Mocno zakrywając usta, by nie wydostało się na zewnątrz coś, co bulgotało i rwało się gdzieś w środku, matka prawie biegiem skierowała się na dwór.

„Żeby chociaż na podwórku nikogo nie było!” — myślała spiesząc do ogrodu i czując, że siły ją opuszczają.

Na podwórzu był tylko stróż Izmał. Siedział na ganku ambulatorium i krzywym nożem majstrował coś z krótkiego patyka. Spojrzał spode łba na starą i od razu spuścił oczy — nic mu do tego, czego tu szuka ta nie jego kobieta.

Matka dowlokła się jakoś do swego ulubionego miejsca za grządką kukurydzy i z trudem usiadła. Wokół panowała cisza. Pochyliwszy nisko głowę, jedną ręką wsparła się o ziemię, a drugą przycisnęła do piersi...

...Przed oczami migały czarne koła, ziemia kręciła się pod nogami. Naraz poczuła w ustach smak czegoś słonego, a w piersiach ulgę. Ze zdumieniem mrugnęła oczami — ujrzała przed sobą krew. Nie wierząc własnym oczom cofnęła się, ale maleńka kałuża ciemnej, brudnawej krwi coraz bardziej się powiększała. Dopiero wtedy zrozumiała, że to jej krew. Pochyliła głowę

jeszcze niżej, ale poczuła się już lepiej; skurcze, które tak boleśnie szarpały gardło i piersi, przeszły, tylko krew wciąż napływała jej do ust i kapała na ziemię.

Skąd się to wzięło? Suchoty czy, jak to teraz mówią, gruźlica? Słyszała, że u chorych na tę chorobę płynie niekiedy krew gardłem, ale ona przecież nie miała kaszlu, jak to zawsze bywa u gruźlików. Chyba to coś innego. A może w środku coś się rozerwało, żyła jakaś albo co?

Z początku, kiedy zauważyła na ziemi swoją krew, wydało się jej, że to już koniec. Nagle przemknęło jej przez myśl: „A co będzie z Olkiem? Jak jemu biednemu będzie bez niej?” Później myśli się poplątały...

Przybiegła Żuczka. Lękliwie odwracając pysk od strugi krwi podeszła do swej opiekunki i liznęła ją w skroń i czoło. Staruszka otworzyła oczy i z wdzięcznością się uśmiechnęła. Pies zamierdał ogonem i niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę, jakby chciał powiedzieć: „Ocknij się! Ocknij! Ty nie możesz umierać, musisz żyć...”

— A po co, Żuczko? — wyszeptała staruszka, ze smutkiem patrząc na psa. — Nażyłam się już na tym świecie. Wszyscy moi — w ziemi.

„Nie, ty musisz żyć! — nerwowo pokręciła łbem Żuczka. — Ty będziesz żyła!”

Jeszcze raz liznęła jej skroń i by pokazać, że nie widzi już żadnego niebezpieczeństwa, odwróciła się bokiem i wysunęła ozór: niebezpieczeństwo minęło!

Zresztą staruszka sama poczuła, że śmierć tym razem od niej odstąpiła; krew przestała płynąć, zrobiło się jej lekko i zarazem tak dobrze... Tylko serce wciąż waliło jak u schwytanego ptaka,

czuła szum w głowie i słabość... To prawdopodobnie zła krew z niej wyszła, a z nią i choroba. Chyba wróci do zdrowia. Trzeba tylko nabrać sił. Och, gdyby tak ktoś przyniósł wody do picia; w ustach jej zaschło, męczyło pragnienie... Żeby to jeszcze była woda nietutejsza, mętna, a z rodzinnych stron — ze źródła albo z Trubajła, z Alty czy samego Dniepru! Piłaby tę wodę rodzinnej ziemi bez końca! Na pewno powróciłyby jej siły i zdrowie!

Gdzieś z oddali doszedł ją głos synowej:

— Babciu, babciu, gdzie jesteście?

Potem, też z daleka, usłyszała głos syna:

— Mamo, chodź do domu, odpocznij trochę!

Staruszka siedziała nieruchomo, nawet pogroziła Żuczce palcem: „Nie szczekaj! Cicho bądź!”

Żuczka podniosła się, ale usłyszawszy szept swej opiekunki, przysiadła na tylnych łapach i ciężko ziajała. Babcia z lękiem wsłuchiwała się, czy nikt nie idzie, a kiedy na podwórzu znowu zrobiło się cicho, pogłaskała psa po grzbiecie i powiedziała szeptem:

— Masz rację, Żuczko, nie wolno mi umierać. Któż zadba o Olka, jak mnie zabraknie? Kto ugotuje mu jeść, kto upierze bieliznę, poceruje skarpetki? Kto? Ona? Lepiej nie mówić!

Żuczka spoglądała uważnie i jak gdyby na znak zgody poruszała ogonem.

— Trzeba żyć!

Westchnęła ciężko i powoli się podniosła. — Trzeba żyć... — powtórzyła ze smutkiem już nie do psa, a do siebie, i pomalutku skierowała się w stronę aryka, żeby napić się wody i obmyć twarz.

Żuczka ze zwieszonym łbem szła za nią...

XV

Po obiedzie Postołowski otrzymał wezwanie do chorych z dalekiego kyszlaku i wrócił dopiero późnym wieczorem. Zachowanie się matki podczas obiadu trochę go zaniepokoiło, ale kiedy wrócił do domu, z ulgą dowiedział się, że matka śpi. Wszedł do gabinetu i wsłuchał się w panującą ciszę. Zza parawanu dochodził cichy, równomierny oddech. Uspokoiło go to. Jeśli matka śpi, to znaczy, że wszystko jest w porządku, a sen to też lekarstwo.

Usiadł przy biurku. Od kilku dni zajęty był przygotowaniem do druku pewnej rozprawy. W głębi ducha żywił nawet nadzieję, że praca ta będzie opublikowana nie tylko w „Medycynie Radzieckiej”, ale wyjdzie również w osobnym wydaniu książkowym. I kto wie, może po pewnym czasie umożliwi mu to uzyskanie stopnia naukowego?

Podobnie jak wielu lekarzy, którzy w swej praktyce przyzwyczaili się do używania utartych terminów i stereotypowych zwrotów, Postołowski nie był dobrym stylistą. Niełatwo było rozszyfrować jego tasiemcowe, suche zdania, obciążone mnóstwem zdań pobocznych, w których gubiła się myśl przewodnia, a niekiedy i sens. Częste powoływanie się na literaturę przedmiotu utrudniało lekturę i nie podobało się nawet samemu autorowi. Ale temat pracy nie pozwalał na przejście do prostego języka, uniemożliwiał wyrzucenie wymyślnych, chropowatych zdań. Nawet Czechow, gdyby go posadzić do pisania rozprawy o „Pewnych osobliwościach

przebiegu gruźlicy płuc w warunkach Azji Środkowej”, nie pisałby ich chyba językiem „Sali nr 6” czy, powiedzmy, „Chirurgii”!

W ciągu tych trzech lat pracy w Uzbekistanie Postołowski zebrał niemało obserwacji i trafnych porównań z dziedziny gruźlicy płuc. Opisał już kilka ciekawych przypadków, doszedł do pewnych samodzielnych uogólnień i właśnie dzisiaj miał przejść do wniosków. Ale szło mu to opornie. Znowu zaczął go drażnić przydługi, nieudolny tytuł. Rozważył jeszcze kilka możliwych wariantów: „Uwagi o przebiegu gruźlicy”, „Jeszcze o przebiegu gruźlicy”, „Pewne osobliwości gruźlicy”. Również i one go nie zadowalały. „Banalnie! Stereotypowo! Cudze, wyświechtane słowa! Że też przy takiej wiedzy i logicznym myśleniu nie potrafię się prosto i jasno wysłowić!” — strofował sam siebie i nerwowo przekreślił poprzedni tytuł. Pomyślał chwilę i napisał: „Gruźlica płuc w warunkach Uzbekistanu”.

Wprawdzie i ten tytuł go nie zadowolił, ale w porównaniu z poprzednimi był to już postęp i znów ogarnęła go chęć pisania...

Z tyłu podeszła na palcach Nina i swymi pachnącymi, delikatnymi dłońmi zakryła mężowi oczy. Oparła mu głowę na ramieniu i miękkie włosy musnęły jego skroń.

— Czas już spać, Oleczku! Jestem dziś taka znużona... — powiedziała kapryśnym tonem, jak podłotek. Odłożył pióro, delikatnie ujął jej dłoń i w zamyśleniu, nie odwracając oczu od papieru, pocałował je.

— Ty znowu nad swoją medycyną? — spojrzała na zapisane arkusze papieru. — Nie, skarbie,

tak nie można! Stanowczo za dużo pracujesz. Aż strach! Zupełnie mi się wykończysz!

Aleksander z przyjemnością słuchał miłego dla ucha głosu żony, pełnego współczucia i troski. Nawet nie próbował oceniać, jak to często dotychczas robił, czy jej głos brzmi szczerze, czy sztucznie, a jedynie wsłuchiwał się w jego intonację. Po tygodniu rozłąki stęsknił się za żoną, zaczęło mu jej brakować, chociaż w pierwszych dniach czuł się bez niej dobrze. Teraz, kiedy Nina weszła do pokoju i wniosła ze sobą nastrój domowego zacisza, od którego już się trochę odzwyczaił, jej obecność przynosiła ukojenie i napawała go czułością. Przypomniawszy sobie, jak taktownie zachowała się podczas obiadu; jak w milczeniu, bez słowa sprzątnęła ze stołu resztki jedzenia po matce, jak wyniosła jej szklanekę wody, kiedy matka odeszła od stołu, i nie znalazłszy jej na podwórku, zwróciła mu uwagę, by wreszcie zbadał matkę jak należy. Tak go to wszystko rozculiło, że wybaczył jej, iż w Taszkencie zapomniała o matce, wyrzucił z pamięci wszystkie dawne żale. i kiedy Nina szepnęła mu na ucho: „Już posłałam łóżko”, od razu się podniósł i poszedł za nią do sypialni.

Gdy ukojony jej pieścotami obrócił się na bok i zaczął myśleć o „Gruźlicy płuc w warunkach Uzbekistanu”, Nina nieoczekiwanie zapytała:

- Oleczku, czy spełnisz moją jedną prośbę?
- Jaką?
- Najpierw daj słowo, że spełnisz.
- No, co takiego? Mów!
- A jeśli ja ciebie bardzo poproszę?
- Nie targuj się, mów — odpowiedział już

całkiem poważnie i przewrócił się na wznak. — Słucham cię, kochanie.

Nina po chwili milczenia zaczęła mówić tonem rzeczowym:

— Chodzi o to, że trzeba komuś pomóc...

— Ale komu? — zaniepokoił się.

— Tej dziewczynie, która dzisiaj pomagała mi nieść paczki. Widzisz...

Usłyszawszy, że chodzi o tę „prawie pannę”, Aleksander stał się czujny. Tymczasem Nina mówiła cicho i z namysłem:

— Jej narzeczonego wzięli do wojska...

— No i co z tego? — przerwał jej chłodno, ale Nina albo rzeczywiście nie zwróciła na to uwagi, albo tylko udawała, gdyż ciągnęła dalej:

— I musiała akurat w ostatnich dniach zająć z nim w ciążę.

— Bardzo dobrze, urodzi dziecko — uprzedził, zaczynając się domyślać, do czego ta rozmowa zmierza.

— Ona nie może mieć dziecka — spokojnie, ale z przekonaniem oświadczyła Nina, lecz Aleksander pośpiesznie jej zaprzeczył:

— Przeciwnie! Jest ginekologicznie całkiem zdrowa i urodzi bez żadnych kłopotów.

— Ona nie może mieć dziecka — powtórzyła akcentując każde słowo, ale tym razem, ku jej zdumieniu, mąż obstawał przy swoim:

— A to czemu? Czemu nie może? Lekki niezbyt żołądka, który u niej stwierdziłem, zupełnie w tym nie przeszkadza.

— Nie o to chodzi — powiedziała tracąc cierpliwość. — Czy ty nie rozumiesz jej dwuznacznego położenia? Narzeczonego w wojsku i raptem dziecko!

— Narzeczony wróci, stanie się jej mężem i ojcem, jeśli to rzeczywiście narzeczony, a nie kochanek czy przypadkowy partner. Nic dwuznacznego tu nie widzę — burknął i założył ręce pod głowę, przygotowując się do długiej i żartej dyskusji. Ale Nina już straciła cierpliwość:

— Krótko mówiąc, proszę cię, byś zrobił jej zabieg. Ja bardzo proszę! — podkreśliła.

— Nie mogę tego zrobić — odrzekł i znowu ostry ton jego głosu bardzo Ninę zdziwił. „Co się z nim dzisiaj dzieje? Tego dawniej nie było. Czasami wybrzydzał, upierał się, ale jednak w końcu się poddawał. Po prostu go nie poznaję” — pomyślała i powiedziała już łagodniej:

— Ale ja cię bardzo proszę!

— Po pierwsze, to nie godzi się z moimi przekonaniem, po drugie, prawo tego zabrania, i po trzecie, jest to wcale niepotrzebne, a nawet szkodliwe dla jej zdrowia.

— I po pierwsze, i po drugie, i po trzecie — przedrzeźniła Nina. — Bzdury! Koszałki-opałki! „Przekonania”! — oburzyła się i aż usiadła. — Komu potrzebne są twoje przekonania? Mądrzy ludzie mają takie przekonania, by się w życiu lepiej urządzać, a różni fantaści, tacy jak ty, swoimi poglądami tylko zameczają siebie i bliższych!

„Ho, ho, ho! Do czego to już doszło!” — pomyślał Aleksander, odwrócił się twarzą do żony, podparł głowę ręką i spokojnie, jakby jej słowa nie zrobiły na nim żadnego wrażenia, spytał, usiłując dojrzeć w ciemności jej twarz:

— Powiedz mi, kochanie, po co ci właściwie to wszystko potrzebne?

Nina nie spodziewała się takiej łagodnej reakcji. Sądząc, że mąż zaczyna się poddawać, położyła dłoń na jego ręce i zupełnie innym tonem powiedziała:

— Po pierwsze, naprawdę mi jest jej żal. Jako kobieta bardziej ją rozumiem niż jakikolwiek mężczyzna. Poza tym... widzisz, Oleczku, to jest świetna krawcowa, do niej przyjeżdżają szyć nawet z rejonu (tylko dla oka, by nie przyczepił się do niej wydział finansowy, pracuje jako księgowka w oczyszczalni bawełny). Teraz jest w rozpacz, po prostu nie wie, co z sobą zrobić; bardzo się o nią boję. A zupełnie nie ma odwagi przyjść z tym wprost do ciebie i dlatego dzisiaj ze łzami w oczach prosiła mnie, bym z tobą pomówiła.

— Rozumiem — powiedział Aleksander, dla którego wszystko stało się aż nazbyt jasne. Uwolnił rękę spod jej dłoni. — A czy ty wiesz, że ryzykując zabieg przerwania ciąży narażam nie tylko swoją lekarską opinię, ale i swoją wolność? Za nielegalne poronienie grozi przecież więzienie!

— Głupstwo! Zapewniam cię, że ona nikomu nie powie.

— Pierwsza rozgłosi to po całym rejonie! — omal nie krzyknął. — Ale nie o to chodzi. Nie o to... — powtórzył odwracając się od niej. Nagle to, czego tak się bał i nie chciał w niej dostrzeżać, stanęło mu jasno przed oczyma. Trzpiotka! Czechowowska Trzpiotka, Olga Iwanowna, żona doktora Dymowa! — pomyślał z goryczą i odsunął się na brzeg łóżka. — Moje poglądy, moje przekonania, moje imię, ba, nawet moja wolność, to wszystko dla niej głupstwo! Wszystko to dla

niej bzdura! Na wszystko napluje, wszystko podepcze z powodu tych szmat...

Aleksander przeląkł się roli nieszczęsnego doktora Dymowa, którego literacki obraz nagle dostrzegł w samym sobie. Miał ochotę, jak lekarz Korostielow, przyjaciel Dymowa, zerwać prześcieradło, zmiąć je i cisnąć Ninie.

— Wykluczone! Nielegalnych zabiegów nie robiłem i nie będę robił!

— No to zrób jakoś tak, aby był legalny. — Nina uchwyciła się ostatniej iluzorycznej nadziei, ale Aleksander jej przerwał:

— Zrozum, nie mogę, bo nie ma podstaw.

— A czy dla mnie, dla mnie — powtórzyła prawie błagając — nie mógłbyś poświęcić się chociaż jeden raz?

— W tym wypadku nie! — odparł tak kategorycznie jak nigdy dotąd.

Łzy złości i obrazy zaszkliły się w jej oczach.

— Bezduzny sobek!... — krzyknęła oburzona, chwyciła poduszkę i z odrazą, jak przez jakiegoś gada, przestąpiła przez nogę męża. Z poduszką w ręku rzuciła się do gabinetu. Nie zważając na to, że spała tam teściowa, z trzaskiem wysunęła szufladę, wyjęła po omacku prześcieradło i położyła się na wąziutkiej kanapie koło parawanu.

W mieszkaniu zapanowała taka cisza, że przez zasłonięte gazą okno dolatywał szum liści z podwórka. Tylko matka, śpiąca za parawanem, często się przewracała z boku na bok — widocznie nie mogła spać. Długo, aż do świtu, nie mógł zasnąć również Postołowski; dopiero kiedy zajaśniało w oknach, zmęczony natrętnymi myślami pograżył się wreszcie w głębokim śnie. Zdaje się, że jakiś czas nie spała również Nina.

XVI

...Jasny lipcowy poranek.

Na niebie ani jednej chmurki, w powietrzu ciszsza. Słońce podnosi się coraz wyżej i złote promienie światła, zerwawszy zasłonę nocy, niepowstrzymaną falą wdzierają się w bezkresne przestworza.

Uśmiechają się do słońca krople rosy, odsłaniają swe płatki kwiaty stepowe, wspina się po łądydze czerwona biedronka w kropki, w krzakach dzikiej róży zaćwierkał ptak, wesoło witając dzień, narowisty koń uderzył kopytem o ziemię, aż echo poszło po stepie, donośnie zarżał i nastroszył uszy na wschód.

Do słońca wyciągnął ręce oczarowany Olek.

Jaki cudny jest świat, jak wspaniale jest żyć!

Żyć!

Żyć nie tylko dla siebie, ale i dla innych!

Chociaż jestem jak maleńka roślina na wielkiej arenie świata, nie chcę zniknąć bez śladu. Weź, słońce, me gorące serce, pełne miłości do ludzi, i ponieś bezpiecznie w nieznaną dal! Niech me krótkie życie na ziemi nie przeminie jako ten płonny kwiat!

Piersi jego rozpięta wola czynu, ręce chciałyby się co rychlej przemienić w lekkie, ale potężne skrzydła. Tylko... dlaczego do serca wkrada się tęsknota i jak czarna chmura przesłania jasny, błękitny widnokrąg?... Już wie, dlaczego! Widzi przed sobą nie tylko świetlany marsz w przyszłość, ale i ucieczkę. Ucieczkę od przeszłości... Stoi już na drugim brzegu wąskiego Trubieża i jego Rubikon jest przekroczony! Z tyłu,

za jego plecami, pozostał Perejasław, a z nim — dzieciństwo, młodość i Marysia. Jego pierwsza miłość.

Czyż musi to wszystko porzucić? Na zawsze, na wieki?

Ale powinien się spieszyć! Czas płynie, słońce podnosi się wyżej. Koń niecierpliwie bije kopytem o ziemię i gryzie wędzidła.

„Musisz!” — słyszy władczy głos; z zaciśniętymi ustami rzuca ostatnie spojrzenie do tyłu i wskakuje na konia.

Co sił pędzi na wschód. Nagle pojawił się wiatr, uderzył w twarz, rozwichrzył włosy, szarpie i rozrywa koszulę. Już zawrócił w kierunku Alty, do Dniepru, wijący się wśród zielonych łąk spokojny i swojski Trubież, coraz bardziej w tyle zostaje Perejasław, tylko Marysia jaśnieje wciąż przed oczyma i nie znika. Ona nigdy nie zniknie i nie zatrze się w pamięci!

Koń pędzi coraz prędzej, przechodzi w cwał, zdaje się, że nie dotyka już rodzinnej ziemi. Aleksandra oszałamia radosny pęd, ale równocześnie ściska serce piekący żal.

Pod kopytami rumaka błyszczą rosa, jakby drogę posypał ktoś perłami, na horyzoncie migają odległe wioski, gdzieś hen podąża do Morza Czarnego Dniepr, a z oczu Aleksandra pod wpływem wiatru czy radości, a może z żalu płyną łzy...

Perejasław pozostał w tyle. Tam, w tych cichych, starych murach ludzie śpią jeszcze twarzym snem, dla nich słońce jeszcze nie wzeszło; śpi i jego Marysia, a wraz z nią ciche i prawdziwe szczęście, które mogło być jego udziałem. Ale olśniony marzeniem porzuca ukochaną i nie

martwi się o przyszłość. Wie tylko jedno: że musi na zawsze porzucić wszystko, co było mu bliskie i drogie, gnać w nieznaną. Tak musi być.

Naprzód! Byle naprzód!

Konia i jeźdźca opanowuje szalona siła, ich pęd staje się coraz szybszy, szalony, obłąkany.

...Postołowski ze zdumieniem otworzył oczy. Serce biło mu trwożnie, głowa leżała obok poduszki, czuł ból w karku, ale zdawało mu się, że dopiero co ktoś zszadził go z oszalałego konia i że jeszcze dyszy ciężko po tym niesamowitym biegu.

Jaki dziwny sen!

W pokoju już jasno, drzwi do gabinetu są lekko uchylone — znak, że matka już wstała i krząta się gdzieś w kuchni. Leżąc z szeroko otwartymi oczyma, nie mógł uwierzyć, że to już jawa.

Zwykle raz na rok, a niekiedy i częściej, zniecka przychodziła do niego we śnie z dalekiej młodości Marysia. Marysia Chomenko. Jego pierwsza miłość. Zjawiała się zawsze taka sama, jaka była piętnaście lat temu, jako dziewczyna o czarnych oczach i ciemnych włosach. Ani razu się nie zdziwił, dlaczego to nieubłagany czas nie wyrzył na jej miłej twarzy żadnego piętna — pewnie dlatego, że sam we śnie był tym piętnastoletnim marzycielem, któremu perejasławskie niebo ucieleśniało cały świat, włącznie z górami lodowymi Arktyki i gorącymi piaskami pustyni Kara-Kum.

Marysia śniła mu się zawsze jakoś statycznie: bez sytuacji, bez fabuły i bez zakończenia. Jakby naraz zszedł ze starej, znajomej ramki ożywiony portret i potem nagle zniknął jak mara.

Chociaż doktor nie przywiązywał poważniejszego znaczenia do snów, z doświadczenia wiedział, że sny o Marysi przynosiły mu ukojenie i radość. Przez cały tydzień chodził natchniony tym urojonym spotkaniem i jakoś we wszystkim nadzwyczajnie mu się szczęściło. Nawet zmieniało mu się usposobienie — dla wszystkich stawał się miły i łagodny, a szczególnie dla Niny i Bazia. Jak gdyby to wszystko działało się za sprawą Marysi, tej Marysi, która przesłoniła mu kiedyś świat, ale jakoś nie zawiązała... Dlaczego?

I po raz pierwszy, odkąd na zawsze oderwał się od Perejaśławia, zatrzymał się nad tym pytaniem, i ku swemu zdumieniu nie mógł znaleźć na nie odpowiedzi. Rzeczywiście, dlaczego nie ożenił się z Marysią, którą tak mocno kochał pierwszą niewinną miłością, którą znała i kochała jego matka i żartem nazywała swoją „synową”, dlaczego zgubił swe prawdziwe szczęście, co tak ostro uświadomił sobie w dzisiejszym śnie, i rzucił się na poszukiwanie ideału, który ucieleśnił się w końcu w dzisiejszej Ninie?... Dlaczego?...

Odpowiedzi nie było.

W kuchni, przewyciężając straszną niemoc, krzątała się koło śniadania matka. Nogi uginały się pod nią, jakby je ktoś pod kolanami podbijał kijem. Usiadła na stołeczku i rozpałała ogień pod kuchnią, nakroiła chleba, ale i ręce poruszały się z trudem. Jak gdyby wytoczono z nich krew, a na jej miejsce napchano waty. Staruszka pocieszała się jednak: „Najważniejsze to się nie poddawać”. Wczoraj przecież wypłynęła z niej krew zepsuta, niedobra, i teraz wszystko pójdzie

ku lepszemu, aby tylko nie poddawać się niemo-
cy, przetrzymać jakoś chorobę.

Gdy zakipiał czajnik i jajka ugotowały się na miękko (na nic więcej nie miała siły), podeszła do drzwi sypialni i ostrożnie je uchyliła. Widząc, że syn jeszcze leży, zawróciła do kuchni. „Trzeba jeszcze poczekać” — pomyślała i przygasiła ogień, by nie zużywać na próżno opału.

Innym razem doktor poleżałby jeszcze w łóżku, rozważając w myśli wszystko, co go kiedyś rozłączyło z Marysią, ale gdy tylko zobaczył we drzwiach zakłopotaną matkę, od razu się pode-rwał. Mimo to myślami był wciąż przy Marysi i by nie wracać od razu do niewesołej rzeczywistości, natychmiast postanowił pojechać do rejonu. Prawdę mówiąc, nie było to konieczne — wszystkie sprawy mogła z powodzeniem załatwić siostra Taskira. Ale doktor nie chciał się tego dnia spotykać z żoną.

Zaniechawszy codziennej gimnastyki, naprędce się umył i by nie sprawiać matce kłopotu, poszedł do kuchni. Matki tam nie było. Na chybcika, bez apetytu wypił szklanekę herbaty, włożył na głowę cyklistówkę i na palcach wszedł do gabinetu po teczkę.

Żona, obrócona twarzą do ściany i zgięta w pół, jeszcze spała. Jej ciemne, puszyste włosy, które tak lubił, rozsypały się w nieładzie na poduszce i zwisały z kanapy. Spod koca wystawały nagie plecy. Wziął ze stołu teczkę i z ukosa spojrzął na żonę. Nie odczuwał do niej niechęci ani też żalu z powodu kłótni, jak zwykle w takich wypadkach, wydawało mu się, że na kanapce śpi całkiem mu obca, obojętna kobieta.

Tak samo na palcach, jakby się znajdował w obcym domu, wyszedł na podwórkę.

Słońce weszło już wysoko i złotymi strzałami przebijało się poprzez gęste liście starego karagacza, barwiąc na różowo białą ścianę ambulatorium. Od topoli, co stała obok mieszkania, rozciągał się na ziemi podłużny koronkowy cień. Dokoła panowała uroczysta cisza, jakby cała przyroda wsłuchiwała się w daleką, nieuchwytną dla ludzkiego ucha, wspaniałą symfonię wschodzącego słońca. Jedynie na topoli cicho szeptało drżące listowie, a na sąsiednim podwórzu gołębie wypominały komuś: „Mówiłem, nie chodzić!”, „Mówiłem, nie budzić!”

W głębi podwórza siedziała na stołeczku matka, gładziła Żuczkę po głowie i coś do niej mówiła, ale do uszu doktora dobiegało tylko śpiewne:

— Żu-uczko! Oj, Żu-uczko!...

Pies merdał ogonem, ze szczęścia wyginał się na wszystkie strony i z wdzięcznością lizał palce staruszki.

Czy od tej wzruszającej sceny miłości, wierności i zarazem żalu, czy też od pogody i spokoju, które tak hojnie rozlewał wokół jasny uzbecki poranek, doktorowi zrobiło się lżej na sercu. Podeszedł do matki i nagle uderzyła go straszna bladeść jej twarzy. „Jak ona ostatnio zmizerniała. Nie, dzisiaj jednak koniecznie muszę ją dokładnie zbadać” — przemknęło mu przez myśl, i powiedział:

— Jadę do rejonu, mateńko.

„Jak dawno nie zwracałem się do matki w ten sposób” — pomyślał wpatrując się w jej twarz, która od słowa „mateńka” od razu się rozjaśniła

i jakby odmłodziła; jej smutne oczy rozświetliły się takim łagodnym, kochającym spojrzeniem, że chciał podbiec do niej i, jak kiedyś w dzieciństwie, mocno ją objąć i ucałować. Ale na dziedzińcu ambulatorium pojawiła się siostra Taskira i doktor podszedł do niej. Chciał jej przypomnieć, żeby sprawdziła, czy młody Uzbek odwiózł chorą na raka żonę do Taszkentu. Wyszedł na drogę i pierwszym napotkanym samochodem zabrał się do rejonu.

XVII

Postołowski usiadł w szoferce. Tuż za kyszłakiem ukazała się panorama rozległych plantacji bawełny i dalekich gór. Krajobraz urodzajnej doliny co chwila się zmieniał i chociaż to wszystko było doktorowi od dawna znane, jednak ten malowniczy pejzaż absorbował, jak zawsze, jego uwagę i uspokajał myśli.

Po obu stronach szosy ciągnęły się dwa rzędy topoli i nieodłącznie towarzyszył im śpiewny szum liści; na lewo, wzdłuż łąnu dojrzałej pszenicy, biegła w stronę kyszłaku gromadka niskich, przystrzyżonych morw; dalej, jak okiem sięgnąć, rozpościerały się jasnozielone plantacje bawełny. Równe jak pod linijkę rzędy krzewów migwały przed oczyma, jakby się kręciły na olbrzymiej karuzeli w przeciwną stronę: jeden rząd za drugim, jeden rząd za drugim.

W dali, od strony północnej i południowej, wznosiły się pokryte wiecznymi śniegami góry. Na północy majaczyły one w niebieskawej mgle,

ciągnąc się potężnymi grzbietami aż do Kirgizji, zaś na południu ich białe, jarzące się w słońcu wierzchołki spieszyły gromadą, wyprzedzając się nawzajem, gdzieś dalej na południe, do Pamiru i Himalajów. Tego ranka wszystko wydawało się cudowne: i równe rzędy plantacji, i dziki chaos dalekich gór.

Góry te zbiegały się gdzieś na wschodzie, obejmując sławną Dolinę Fergańską w podkowie, i topniejącą wodą swych śniegów napełniały aryki i poły rodzącą ziemię. To dzięki tym odległym górcom tu, na tej ziemi, gdzie w lecie niemiłosiernie pali rozżarzone słońce i nie spadnie nawet kropla deszczu, można było uprawiać bawełnę, w dusznych oparach obficie rodziły ryż, dwa razy do roku dojrzewała pszenica i hojnie obdarzały hodowców plonem wspaniałe sady i ogrody.

Samochód, prawie nie zwalniając, wpadł w następny kyszlak i jak zwiastun nowego dnia pracy hurkotem motoru wdarł się w poranną ciszę zaspanej ulicy. Gdzieś w podwórzu zaszczekał pies, a na wysokim karagaczu koło drogi trwożnie zaszleściło listowie. Ciężarówka pomknęła wzdłuż monotonnego rzędu uzbeckich kibitek, po prawej stronie mignął pomnik Lenina, za pomnikiem zamigotały kolorowymi plamami klomby, błysnęły szyby w wysokich oknach budynku szkolnego, zostało w tyle boisko do siatkówki i jeszcze jakaś chata na uboczu. Kiedy wyjechali z kyszlaku, minęła ich jadąca w przeciwnym kierunku ciężarówka załadowana po brzegi cegłą. Na moment mignęła przed oczyma doktora znajoma wyblakła chu-

steczka i ogorzałe twarze kilku młodych chłopców w czarnych tiubetejkach na głowach.

„To pewnie Nazira ze swymi junakami” — pomyślał doktor. Chciał im nawet pomachać ręką, ale nie zdążył.

Przed nimi jechała wysoka dwukołowa arba, naładowana guzapają. Olbrzymie koła niezgrabnie zataczały ósemki i tak skrzypiały, że zdawały się zagłuszać potężny warkot silnika. Woźnica długo nie zbaczał ze środka jezdni, chociaż kierowca kilkakrotnie dawał krótkie, nerwowe sygnały, a kiedy wreszcie samochód zrównał się z arba i oburzony kierowca pogroził woźnicy ręką, flegmatyczny stary Uzbek nawet nie spojrział, jakby usłyszał tylko szum wiatru, a nie trzytonową ciężarówkę. Starzec jechał wierzchem, kołysząc się miarowo w siodle bez strzemion, a zgięte w kolanach nogi opierał na długich graniastych hołoblach. Tak zazwyczaj jeździ się w Uzbekistanie jednym koniem, i sprawia to wrażenie, jakby woźnica jechał równocześnie i wierzchem, i na arbie. Ale dzisiaj ten uzbecki woźnica ze swą starą, prymitywną arba nagle wydał się doktorowi zjawą sprzed tysiąca lat. Jakim cudem uchowała się ta patriarchalna arba w dobie silnika odrzutowego i energii atomowej?

Nie opodał szosy, po prawej stronie, wgryzała się w ziemię koparka. Jej długa, zadarta do góry jak u żyrafy szyja gwałtownie spuszczała do dołu czerpak, wzdrygała się całym żelaznym cielskiem, trochę się cofała i zwycięsko unosiła w górę, w białe, słoneczne niebo jasnoszarą ziemię. Powstawał nowy, szeroki aryk.

W miarę jak zbliżali się do miasta, spotykali

na trasie coraz więcej ludzi spieszących na bazar. W szerokich koszach, które wędrowcy nieśli na głowach, czerwieniły się soczyste pomidory, przyciągały oko żółte, aksamitne kulki suszonych moreli i zielone wiązki cebuli. Było dużo kobiet, ale tylko jedna szła w czarnej parandży. Doktorowi przypomniało się zdumienie matki, kiedy po raz pierwszy zobaczyła na ulicy kobietę w parandży. „O Boże, całkiem jak ta mara!...” — wyszeptala i długo oglądała się na zagadkową, tajemniczą postać. Nawet po przyjsciu do domu nie przestała wzdychać i mrużyć pod nosem, z dezaprobatą kręcąc głową.

Reszta kobiet szła z odkrytymi twarzami, jedynie stare kobiety narzuciły na głowę króciutkie dziecięce kurtki, i spotykając mężczyzn, z daleka zakrywały swe pomarszczone, nieciekawie twarze.

Ścieżką obok szosy z powagą jechał na osiołku stary Uzbek w białym turbanie i watowanym czapanie. Oczy miał przymknięte, zadarł do góry siwą, rzadką bródkę w klin, a jego długie, białe nogi prawie dotykały ziemi. Z tyłu za jeźdźcem przytroczone były do osiołka podłużne ciężkie kosze, nakryte kolorową płachtą, a z przodu okrakiem siedział chłopczyk z prętem w ręku. Osiołek przymrużywszy zobojętniałe oczy żwawo dreptał wzbijając kurz, i trudno było pojąć, skąd to małe pokorne stworzenie brało siły, by nieść na sobie taki ogromny ciężar.

Zza horyzontu wynurzyła się kępa drzew, która po kilku minutach rozrosła się w zieloną wstęgę, i niebawem można już było odróżnić wysokie karagacze i topole oraz pierwsze zabu-

dowania miasta. Jak dalekie nawoływanie dobiegał stamtąd dźwięk syreny z oczyszczalni bawełny.

Samochód zwolnił bieg i lekko wtoczył się w szeroką ulicę wysadzoną drzewami. Przejechał wzdłuż pustego dziedzińca komendy milicji, minął kwietnik przed piętrowym budynkiem rady narodowej, potem bank z zakratowanymi oknami i skręcił w centralną ulicę Aliszera Nawoi. Tu się zatrzymał i doktor, niepewnie stąpając ścierpniętymi nogami, zszedł na chodnik. Po szybkiej jeździe i nieustannym warkocie ulica wydała mu się zbyt cicha jak na tę porę dnia. Spojrzał na zegarek: była równo dziewiąta. Miejscowe urzędy, pracujące z przerwą na południową spiekotę, jeszcze były czynne. Z otwartego okna prokuratury dolatywało nerwowe klekotanie maszyny do pisania, w spółdzielni spożywców stukały liczydła, a koło otwartych drzwi komendy wojskowej stała grupka młodzieńców i ktoś ze środka głośno wyczytywał nazwiska.

Postołowski przeszedł przez mostek nad centralnym kanałem i skierował się w boczną ulicę, gdzie mieściła się stacja przeciwmalaryczna, nazywana tu potocznie stacją tropikalną.

W drzwiach natknął się na krótkowzroczną doktor Pisoczkinę, specjalistę od malarii, nadmiernie ruchliwą jak na swoje lata, i ta od razu obwieściła mu nowinę:

— Słyszeliście, kolego, Chodżajew do nas przyjeżdża!

Zadarty nos lekarki z lekko wywiniętymi nozdrzami zdradzał chroniczny katar, a poora-na zmarszczkami, niemłoda twarz nasuwała

myśl, że ten nos nawąchał się kiedyś obrzydliwości, przez co nabrał obrzydzenia do wszystkiego i bojaźliwie obwąchiwał każdą spotkaną osobę.

— Co tam słyhać w pańskim gospodarstwie? Nie boi się kolega? — Przymrużone oczy Pisoczkińskie niespokojnie biegały po twarzy doktora. — Miejcie się na baczności, kolego. On będzie myszkował wszędzie, i do was zajrzy.

— No cóż — rozłożył Postołowski ręce, leciutko się uśmiechając. — Jestem gotów w każdej chwili powitać go u siebie.

Pisoczkińska z niedowierzaniem wciągnęła nozdrzami powietrze.

— Mówią, że Chodźajew bardzo się różni od poprzednika, który cichutko sobie siedział w obwodzie i nigdzie nosa nie wtykał. Ten przeciwnie. Poza tym posiada wielki autorytet nie tylko w komitecie partii, ale także jako lekarz. Jest chirurgiem. Podobno po objęciu stanowiska kierownika obwodowego wydziału zdrowia w dalszym ciągu operuje. Wszyscy mówią, że jest niesłychanie wymagający i ostry. Istny piorun!

— A więc na naszym nieboskłonie uderzy grom z jasnego nieba — uśmiechnął się znowu Postołowski, spoglądając na zafrasowaną twarz Pisoczkińskiej.

— Tak, tak! U nas wszyscy po prostu potracili głowy! Malują szpital, przed stacją sanitarno-epidemiologiczną powiększają kwietnik, a w przychodni dziecięcej na gwałt wykańczają boksy. Co za pech! Ja sama w tej chwili biegnę po fartuchy. Pomyślcie: w całym ośrodku tylko dwa porządne fartuchy!

Doktor Pisoczkińska długo by jeszcze biadoliła i pociągała nosem, oczekując od rozmówcy współczujących i uspokajających słów, ale Po-
stołowski, pragnąc się jej pozbyć, podchwycił jej ostatnie słowa:

— No, to nie będę zatrzymywał. Na razie! —
Szybko uściśnął jej rękę i energicznie otworzył drzwi.

Gdy tylko otrzymał analizy krwi na malarię i szkiełka dla nowych preparatów, w pośpiechu opuścił stację, by nie natknąć się powtórnie na doktor Pisoczkińską, której towarzystwa na dłuższą metę nie znoślił.

Na ulicy Aliszera Nawoi zatrzymał się przy kiosku z wodą sodową, gdyż upał dawał się już we znaki, i udał się do apteki.

W aptece, nie zważając na obecność klientów, sprzątaczką myła podłogę, w oknach zawieszano nowe zasłony, a kierowniczką apteki, magister Sara Szarf, przecierała tamponem waty słoiki i przestawiała je na półkach szafy. Widać i tu na serio przygotowywano się na przyjęcie nowego zwierzchnika. Doktor zamaszystym krokiem stąpnął na wymytą część podłogi i podszedł do okienka.

— Czy można pani magister przeszkodzić?

Kierowniczką odwróciła się oburzona i już chciała skarcić niecierpliwego petenta, ale ujrawszy doktora, od razu do niego podeszła.

— A, to pan, doktorze? Chyba już pan słyszał? — Westchnęła i wzruszyła ramionami. — Sama nie wiem, co to za nowa moda: dopiero co wyznaczyli go na kierownika, a on już pędzi, by wszystkich besztać. W sąsiednim rejonie o mało nie usunął ze stanowiska kierownika apte-

ki tylko dlatego, że przez pomyłkę sprzedano u niego nadmanganian potasu o pięć kopiejek drożej...

Postołowski uznał, że z uprzejmości już wystarczająco długo jej słuchał, i poprosił o wydanie leków dla ambulatorium. Włożył do kieszeni ampułki z morfiną i strychniną, schował do teczki flakonik opium i skinąwszy głową rozczarowanej Szarf, która czekała na słowa współczucia, wyszedł z apteki. Miał zamiar pójść do parku, by odetchnąć od upału i побыć trochę w samotności, ale po chwili wahania przemógł się i skierował do wydziału zdrowia.

Nie lubił tam chodzić, gdyż urząd ten wydawał mu się czymś zbędnym w strukturze służby zdrowia. Czuł jednak, że powinien tam wstąpić — nie wypadało, będąc w rejonie, nie odwiedzić tego szacownego urzędu, a można było przynajmniej za jednym zamachem wziąć nowe dyrektywy i instrukcje oraz cały ten papierkowy bagaż, którym wydział tak chętnie obdzielał podległe sobie placówki.

Nie zastał jednak młodego kierownika wydziału, Achmetdżanowa. Widocznie i on gdzieś biegał, przygotowując się na przyjęcie surowego Chodżajewa. Sekretarka Hordijenko, kobieta koło czterdziestki, z wielkim dekoltem, bujną fryzurą i znudzonym spojrzeniem, od razu, gdy tylko doktor przestąpił próg, rzuciła się do niego:

— Jak to dobrze, że przyjechaliście! Wczoraj cały wieczór nie mogłam się do was dozwonić, a nie miałam kogo wysłać, wszyscy zapędzeni.

— A o co chodzi? — spytał z rezerwą Po-

stołowski, który nie lubił sekretarki za jej częste próby wchodzenia w kompetencje wydziału zdrowia i skłonność do plotek.

— Jak to? Jeszcze nie wiecie? — zdziwiła się. — Chodźajew do nas przyjeżdża!

— No i co z tego? Bardzo dobrze, że przyjeżdża.

— Ależ on nikogo nie ominie, będzie i u was!

— Jestem z tego bardzo zadowolony. Z chęcią go u siebie powitam.

Hordijenko z niedowierzaniem popatrzyła mu w oczy. Próbowwała zgadnąć, czy ten znany zarozumialec, antypatyczny wiejski lekarz szarżuje, czy też chce się na coś Chodźajewowi poskarżyć. Usiłowała sobie również przypomnieć, czy Postołowski otrzymał już pensję za maj (Hordijenko była równocześnie księgową w wydziale zdrowia).

— Ja jeszcze wczoraj próbowałam was uprzedzić, byście zrobili u siebie porządek, podciągnęli swoich.

— Ani mi się śni! — powiedział bez ogródek uważając, że sekretarka wtrąca się w nie swoje sprawy.

— Jak to? — wytrzeszczyła oczy kompletnie zaskoczona i skonstatowała w myśli: z pewnością będzie się, czort, skarżył, a głośno dodała: — Towarzysz Achmetdżanow bardzo się martwi, że was dotąd nie zawiadomiono.

— Całkiem niepotrzebnie! Nie muszę nikogo podciągać ani robić u siebie porządków.

— No wiecie!... A wszelkiego rodzaju braki, niedociągnięcia? Któż może się ich ustrzec?

Hordijenko zadarła do góry głowę i jeszcze raz uważnie spojrzała na Postołowskiego. Wciąż

męczyło ją pytanie: na co właściwie będzie się skarżył? Przypomniała sobie wreszcie, że pensję za maj jednak otrzymał, a nawet na remont coś mu tam przydzielili. Czyżby nie dostał pieniędzy na zakup drobnego sprzętu albo brak mu jakichś instrumentów?

Doktor przerwał jej myśli.

— Ośrodki służby zdrowia, towarzyszeko Hor-dijenko, powinny być zawsze w takim stanie i tak pracować, żeby nie musiały się wstydzić wobec zwierzchników — zauważył pouczająco i dodał: — Dla zasady nie będę nic zmieniał, niech zobaczy wszystko tak, jak jest w rzeczywistości.

— Nie wiem, nie wiem! — uśmiechnęła się zjadliwie, doszedłszy ostatecznie do wniosku, że złoży skargę, i to zapewne niejedną. — Wy, doktorze, jesteście zbyt pryncypialni!

— Otóż to! — burknął i aby położyć kres nieprzyjemnej rozmowie zapytał, czy jest jakaś poczta dla ośrodka.

— Proszę, to są wasze wszystkie dokomenty — odpowiedziała sekretarka, wydobywając z otwartej szafy plik papierów i jakąś zapieczętowaną kopertę. Przy słowie „dokomenty” Postołowski aż się wzdrygnął, niedbale włożył korespondencję do teczki i wyszedł bez pożegnania.

Sekretarka z nieukrywaną złością długo patrzyła za nim. „Co za niemożliwy charakter! — zżymała się. — I jak ta jego wspomniała żona może z nim wytrzymać?”

XVIII

Postołowski wolnym krokiem szedł w stronę parku i ponieważ czynił sobie wyrzuty: „Po co mi była ta cała scysja? Chyba się nawet z nią nie pożegnałem... Przecież wiadomo, że sekretarka Hordijenko to takie byle co, intrygantka i plotkarka. Gdyby to ode mnie zależało, dawno bym ją zwolnił... Nie będę nic zmieniał na przyjazd nowego szefa z obwodu, niech zobaczy wszystko tak, jak jest zawsze, bez upiększeń. Ale po co wdałem się z nią w tę rozmowę? Jeszcze powtórzy moje słowa Achmetdżanowowi, wypaczy ich sens i wykaże, że lekceważę sobie uwagi i wskazówki wydziału, ba, nawet gotów jestem zrobić jakieś świństwo... Wrażliwy i ambitny Achmetdżanow może się obrazić, wynikną nieporozumienia, przykrości. Dlaczego stałem się taki wybuchowy?”

I jak odpowiedź stanęła przed nim nocna rozmowa z żoną...

Perejasławska Marysia, która zjawiała mu się dzisiaj we śnie, przesłoniła tę przykrą rozmowę lekką, delikatną zasłoną. Jak starodawne ziele, przyłożone na rozjątrzoną ranę, wniosła niespodziewanie do jego serca równowagę i spokój. I w tej chwili już nie był taki skory do wyciągania radykalnych wniosków co do małżeństwa, na jakie gotów był w nocy. Ale tak czy inaczej, musi o tym dobrze pomyśleć, rozwikłać te węzły, które gmatwały jego życie. I zaczął rozważać w pamięci wszystko, co stało się w nocy, starając się na trzeźwo przeanalizować ostatnią kłótnię.

Właściwie to nic nowego się nie stało. W tej czy innej formie sprzeczki zdarzały się i dawniej, tyle że wczoraj, jak to się mówi, osiągnęły apogeum. Czy to była niespodzianka? Czy to nie mogło nadejść wcześniej — rok, dwa lata temu? Mogło! A czy w ogóle w całym ich życiu był taki okres, w którym by nie było sprzeczek?

Już bodaj na drugi dzień po tym, jak uśmiechnięci, mocno do siebie przytuleni wyszli z urzędu stanu cywilnego i w wąskim gronie przyjaciół uczcili swe studenckie wesele — rozpoczęły się nieporozumienia. A później te utarczki, konflikty i sprzeczki mnożyły się i narażały niemal w postępie geometrycznym, aż przybrały całkiem nieprzyzwoitą formę z chwilą przyjazdu matki Postołowskiego.

Paradoks polegał na tym, że ilekroć Aleksander, ochłonawszy po kolejnej sprzeczce, próbował znaleźć przyczynę, to albo jej zupełnie nie znajdował, albo była tak błaha, że nie chciało mu się wierzyć, by takie głupstwo mogło zatruć im życie na cały dzień.

A jednak zatruwało... W czym tkwiło zło? Może to matka?... Istotnie, matka skomplikowała ich wzajemne stosunki, ale czy mogłyby pozbawić ją dachu nad głową, wygnać z domu? Może na pewien czas zapewniłoby to spokój, ale czy na długo? Przecież sprzeczki były i przed przyjazdem matki... Nie, główną przyczyną sporów nie mogła być matka. Więc co lub kto? Czyżby on? Może. Cóż, zapewnił Ninie w miarę możliwości dobrobyt, stworzył warunki do malowania, które wypełniało jej cały dzień, i właściwie to sam zbudował między nimi mur obo-

jętności: ja mam medycynę, ty masz malarstwo, nie przeszkadzajmy sobie nawzajem, niech każde z nas zajmuje się swoją dziedziną. Ale czy Ninie potrzebne jest to malarstwo, czy spod jej pędzla wyjdzie kiedykolwiek coś, co będzie świadczyć nie o geniuszu, nawet nie o talencie, ale po prostu będzie godne uwagi, zadowoli kogoś prócz autora? Czy też Nina nigdy nie wznie się ponad te „futurystyczne ćwiczenia”? Nie zastanawiał się nad tym dotąd poważnie. Może warto by było zwrócić jej na to uwagę, a może z czasem, po gorzkich niepowodzeniach i rozczarowaniach, sama to zrozumie?

Zastanowiwszy się nad tym doszedł do wniosku, że może i zrozumie, ale nie będzie żałowała i nie wyrzeknie się tego! Bo malarstwo jest jej potrzebne głównie po to... I tu doktor dopowiedział sobie to, czego dawniej nawet nie śmiał pomyśleć: by zaspokoić własną próżność! Za tymi „kolorami”, „światłocieniami” i „kompozycjami” nic się nie kryje — pustka! I jeszcze tego jej mało, ona tę nicłość chciałaby rozciągnąć na niego, zniszczyć go i jako lekarza, i jako człowieka. Kiedyś przecież powiedziała coś takiego: „Sztuka leczenia polega na tym, żeby, jeśli leki nie pomagają, przekonać chorego, że wszystkiemu winien jest on sam i warunki, w jakich żyje, a nie lekarz i medycyna”. Dla niej ideałem lekarza jest sprytny znachor lub szarlatan z prywatną praktyką, który, omijając wydział finansowy i dobrze żyjąc z wydziałem zdrowia, cichaczem nabija kabzę z prywatnej praktyki. Nina tylko by przyklasnęła, ba, nawet czynnie by pomagała, gdyby chciał

się do tego zniżyć, gdyby zaczął handlować zaświadczeniami i zwolnieniami lekarskimi.

A więc cóż ich trzyma razem, na czym opiera się ich małżeństwo?

Pamięć podpowiedziała mu wyczytaną gdzieś sentencję: „Jedno ciało, a dwie dusze”. Tak było u nich od samego początku, tak jest teraz, i na nic innego się nie zanoszą. Niny nie można już przekonać, nie można wychować — ma charakter już ukształtowany.

A skoro tak, to jaka na to rada, jakie znaleźć wyjście?

Długo już chodził alejami parku, ale dopiero teraz zauważył, że idzie wąską, boczną alejką, obsadzoną krzewami mirtu. Z prawej strony, niczym górską, bystrą rzeką, płynęła woda w szerokim aryku. Wartki prąd unosił mętną wodę, przy brzegach tworzyły się niewielkie wiry. Pośrodku kanału pływało stado kaczek. Kręciły się w jednym miejscu, nieruchomymi cętkami maleńkich czarnych oczek bacznie szukały pożywienia, nurkowały. Jednostajny ruch ptaków wywoływał złudzenie, że zatrzymał się nurt wody i bieg czasu.

Postołowski patrzył na kaczki obojętnym wzrokiem. Raz jeszcze zadał sobie pytanie: — Jakie znaleźć wyjście? Czyżby rozwód?

Ujrzał przed oczami wydrukowaną *petitem* na czwartej stronie gazety formułę: „Aleksander Postołowski, syn Jana, zamieszkały tu a tu, wnosi sprawę rozwodową przeciw...” Zrobiło mu się nieprzyjemnie. A kiedy wyobraził sobie wyciągnięte do niego rączki i zapłakany głos Baza, którego zabiera z domu żona, poczuł, że na takie wyjście nigdy się nie zgodzi.

„Tato! Ta-tuu-siu!” — drgnął, jakby rzeczywiście zadźwięczał mu w uszach po raz ostatni dziecięcy krzyk.

Wszystko, byle nie to! Nie to!

Kaczki żwawo wiosłowały łapkami po mętnej wodzie. Fale rozbijały się o gliniasty brzeg.

Czoho woda kałamutna,
Czy ne chwyla zbyła?
Czoho diwka taka smutna...

Przypomniał sobie nagle urywek smutnej melodii z dalekich perejaśławskich dni, patrząc na ułamaną gałązkę, która wynurzyła się z wody, zawirowała i popłynęła gdzieś w nieznane. I znowu stanęła przed nim Marysia. Ciemnooka, skromniutka Marysia stoi poza czasem i wypowiada stare porzekadła ludowe: „Za żonę poj-mować, nie krowę kupcwać”, „Życie przeżyć, nie niwę przejść”. Od tej ludowej mądrości robi mu się na duszy lżej, jakby zatrzymał się po burzy w starej wiejskiej chacie gdzieś w okolicy Perejaśławia. W chacie panuje wieczorna cisza, na zapiecku cyka świerszcz, na ścianie cicho odmierzają czas zegary, a w półmroku na piecu przycupnęła starodawna bajka o tym, jak to kiedyś, przed laty...

Westchnął i powiedział do Marysi, w daleką przeszłość, która nigdy już nie wróci, zasłyszane jeszcze w szkole Turgieniewowskie słowa: „Życie to nie figle i nie rozrywka, życie to nawet nie przyjemność, życie to ciężka praca”. I nagle mu się wydało, że natrafił wreszcie na właściwy trop. Jeszcze trochę — i znajdzie rozwiązanie.

Teraz już za późno, by odgrzebywać wspomnienia przeszłości, kiedy w życie rodziny weszła nowa istota — dziecko, jego syn. O tym przede wszystkim trzeba pamiętać! Dziecko powinno być i z ojcem, i z matką; to jego naturalne prawo. I on nie skrzywdzi swego Bazylika! Ale dlaczego właściwie mały nosi takie imię, a nie na przykład Igor, Aleksander, Jarosław czy Eugeniusz, jak należałoby oczekiwać znając artystyczne upodobania żony? Dlaczego uparcie stała przy swoim, aby nazwać go Bazyliem? Znużona myśl Aleksandra po raz drugi zatrzymała się przy tej zagadce, jak kiedyś przed wypisaniem dziecku metryki w urzędzie stanu cywilnego. Ale wtedy, nie doczekawszy się odpowiedzi, zgodził się. Bazyli, niech będzie Bazyli! Zresztą nie imię decyduje o człowieku, lecz on sam swymi dziełami stwarza sobie imię. Może Bazyli to była jakaś pierwsza miłość Niny? W tej chwili było mu to całkowicie obojętne — i ten dawny, nieznany Bazyli, i obecna Nina. Dziecko jest najważniejsze.

Do normalnego rozwoju dziecka potrzebne są normalne, rodzinne warunki. Musi je zapewnić swojemu synowi! Ale nie wyrzeknie się swoich poglądów i nie zmieni swego stanowiska, nie będzie się zniżał do żalosnej funkcji potulnego wykonawcy zachcianek żony! A to oznacza nie kończące się spory i ciągłą udrękę...

Jakże ciężko, jak beznadziejnie ciężko jest tak żyć! Czy rzeczywiście nie można żyć inaczej? Przypomniały mu się wypowiedziane przez kogoś słowa: „Życie tak się niekiedy układa, że człowiek musi się zdecydować albo na przestępstwo, albo na bohaterstwo. Trzeciego wyj-

ścia nie ma". Pczostawić syna na pastwę żony, która zrobi z niego moralną kalekę — to zbrodnia; żyć z Niną dla dobra syna — to w istocie bohaterstwo. Nie ma nic pośredniego, bo „życie... to ciężka praca". Trzeba żyć razem i nieść to brzemie.

W pobliżu chrypiał na słupie głośnik, nadawano z Taszkentu koncert muzyki uzbeckiej. Słońce już dawno przetoczyło się przez zenit i za gęstym haftem listowia podążało na zachód. Upał zelżał. W oczyszczalni bawełny cieniutko zagwizdała syrena i doktor oprzytomniał. Trzeba się było zbierać. Poszedł główną aleją do wyjścia przysłuchując się, jak za krzakami jaśminu szemrze wąziutki aryk. U wylotu alei stał drewniany, pomalowany farbą łuk z czerwoną gwiazdą i wyblakłymi chorągiewkami. Po lewej stronie u wyjścia na ulicę usadowiła się czajchana. Zapachniało świeżym chlebem i smażonym olejem bawełnianym. Doktor poczuł głód i skreślił pod dach herbaciarni.

W czajchanie było tłoczno jak zawsze. Musiał chwilę zaczekać, aż zwolni się miejsce w rogu, przy stole, gdzie stary Uzbek z dwoma wnukami dopijał już herbatę. Postołowski z ulgą wyciągnął pod stolikiem zmęczone nogi i rozejrzał się dokoła. W obszernej czajchanie, tym swoim klubie, w którym gromadziła i jednoczyła najrozmaitszych ludzi miłość do herbaty, wrzało jak w ulu. Wokół stolików i na słomianych matach siedzieli ogorzali ludzie w watowanych czapanach, długich płóciennych koszulach, wyblakłych bluzach wojskowych i starannie uprasowanych garniturach z szewiotu. i wszyscy z jednakową przyjemnością sączyli

herbatę z małych piał. Porcelanowe czajniki błyskawicznie się opróżniały, dwaj młodzi kelnerzy uwijali się jak w ukropie. Gardłowa rozmowa mieszała się z hucznym, szczerym śmiechem, a koło wejścia gromadzili się wciąż nowi amatorzy i z zazdrością zaglądali do środka — goście czajchany siedzący nad ulubioną herbatą sprawiali wrażenie, jakby wcale nie mieli zamiaru tej uczy zakończyć.

Chociaż doktor starał się przyswoić sobie uzbeckie obyczaje, dotąd nie zdołał polubić zielonej herbaty bez cukru, toteż wypił tylko kilka łyków, aby ugasić pragnienie, i z apetytem zabrał się do pszennych placków.

Między stolikami zauważył ponurego, wąsatego jegomościa w szarej, pomiętej cyklistówce i upstrzonej słomą brudnej marynarce. Mężczyzna, wyraźnie odróżniający się od pozostałych gości, chodził od stolika do stolika niepewnymi krokami, zanosząc się czkawką, i bezceremonialnie gapił się na twarze siedzących, jakby kogoś szukał.

Siedzący naprzeciw Postołowskiego Uzbek wytarł połą czapanu spoconą twarz i dał wnukom znak, że odchodzi na chwilę od stolika. Chłopcy opuścili głowy i spoglądali na doktora spode łba. Młodszy był mniej więcej w tym wieku co Bazio. Na ostrzyżonej głowie miał pozostawione długie pasemko włosów, które wystawało spod małej krymki jak kitka. Pojawienie się koło stołu groźnego mężczyzny, od którego z daleka załatywało czymś nieprzyjemnym, przeraziło chłopców i bojaźliwie przytulili się do siebie.

Wąsaty mężczyzna nie zwrócił na nich żad-

nej uwagi i już miał odejść, gdy raptem jego mętne oczy zatrzymały się na twarzy Postołowskiego. Długie wasy pijanego aż zatańczyły od przyjaznego uśmiechu.

— Chwała Ci, Panie Boże! Wreszcie choć jednego naszego spotkałem! — głośno zabrzmiało w czajchanie.

Widocznie pijany ucieszył się, że będzie mógł uciąć sobie pogawędkę. Nie pytając o zgodę, zwałił się ciężko na wolne krzesło. Chłopcy z łękiem odsunęli się od niego.

— Gdziekolwiek zajdę, wszędzie Uzbeki popijają herbatę, a nasi, durnie, pracują — przybyły żałośnie pokiwał głową i ciężko westchnął. — A nasi pracują!

Doktor zachmurzył się. Towarzystwo pijanego durnia, którego zapewne spekulacyjne kombinacje rzuciły aż do Uzbekistanu, drażniło go; zrobiło mu się żal chłopców, szczególnie młodszego, który wcisnął się w krzesło, jakby czekał na niechybną zgubę.

— Idźcie spać! — powiedział rozkazującym tonem. Nieznajomy ze zdziwieniem zamrugał oczami.

— Jak to? Toż gdy się zastanowić, to co wychodzi: Uzbeki po herbaciarniach...

— Spać! — jeszcze bardziej stanowczo powtórzył Postołowski i lekko uderzył palcami w blat stołu.

To poskutkowało.

— Przepraszam! — pijak energicznie się podniósł i z jego twarzy znikł niedawny przyjacielski uśmiech. A gdy zobaczył na kolanach doktora teczkę, zupełnie zbladł myśląc, że natrafił na jakiegoś naczelnika.

— Teraz każdy naród zaczął się szanować. Uzbeki na przykład też... Przepraszam! — czknął nieprzyjemnie i szybko się oddalił.

Chłopcy poruszyli się i z wdzięcznością spojrzeli na doktora.

— Jaman urtak *? — uśmiechając się zagadnął doktor młodszego. Malec opuścił wstydliwie oczy, a starszy nieśmiało odpowiedział za niego:

— Jaman...

Po chwili dzieci ożywiły się. Młodszy chłopiec przeniósł wzrok na czajnik Postołowskiego i aż westchnął. Zaniepokoiło go, że taki napój stygnie i marnuje się. Doktor spostrzegł to smętne spojrzenie ciemnych jak czereśnie dziecięcych oczu, nalał chłopcom pełne piały i mruknąwszy do młodszego, podał im po kawałku placka. Starszy przez chwilę się wahał, a młodszy od razu chwycił rączkami piałę i zapomniawszy o bożym świecie z rozkoszą zaczął pić.

Doktor spoglądał na małego z uśmiechem. Jego Bazio tak samo obejmuje rączkami kubek i przymykając oczy pije swoje ulubione „mlecko”. Biała szyjka z błękitnymi żyłkami, cieniutkie nóżki w sandałkach, którymi beztróska macha pod stołem, i cała ta maleńka, taka bliska i droga, nieporadna istota...

„Czyż mógłbym go stracić? — z nagłą trwogą, jakby mu to rzeczywiście groziło, pomyślał Postołowski, podniósł się i w pośpiechu opuścił czajchanę.

Jaman urtak (uzb.) — zły człowiek.

XIX

Przy szosie wyjazdowej z miasta jakoś długo nie było widać samochodów, którymi najczęściej zabierali się przygodni pasażerowie. Aby zabić nudny czas oczekiwania, doktor wydobył z kieszeni zapieczętowaną kopertę, na którą przy odbiorze z rąk sekretarki Hordijenko nawet nie spojrział. Spodziewał się, że będą to kolejne przepisy i instrukcje, ale kiedy zerwał brzeg koperty, w środku znalazł list z dziwnym adresem: „Uzb. S.R.R., Wydział Zdrowia, Namangan, dla doktora wiejskiego Aleksandra Postołowskiego”.

„Od kogo to może być?” — pomyślał ze zdziwieniem, przeglądając po kolei stronicę w poszukiwaniu podpisu. Widząc zamaszyste, kobiece pismo i jakieś cytaty z wierszy czy piosenek, nieoczekiwanie stropił się. Przebiegł nerwowo oczami stroniczki, aż u dołu czwartej strony natrafił na słowa: „Ta sama i nie ta sama — Maria Chomenko”.

Zaparło mu dech, opuścił rękę z listem i szeroko rozwartymi oczami patrzył nieruchomo przed siebie. Jaki zadziwiający zbieg okoliczności: dzisiejszy sen i ten niespodziewany list od Marysi! Jak gdyby ona, mimo dzielącej ich odległości, po piętnastu latach od ostatniego ich spotkania wyczuła, że jest mu ciężko, współczuła mu jak dawniej, a tę jej troskę o niego dziwnym sposobem odebrała podświadomość Postołowskiego. Opuściło go poczucie czasu i przestrzeni. Przed nim, już nie w dalekich wspo-

mnieniach, a niemal twarzą w twarz stała Marysia Chomenko.

Oprzytomniawszy trochę, zabrał się do czytania. Nie od razu natrafił na początek, gdyż list nie miał ani nagłówka, ani daty.

„Nie wiem, jak mam się do Ciebie teraz zwracać, bo od czasu, kiedy byłeś dla mnie po prostu Olkiem, tyle wody upłynęło! Później, gdybym nawet chciała nazywać Cię inaczej, nie udało mi się Ciebie więcej spotkać; dlatego w mojej pamięci pozostałeś tym Olkiem, jakiego kiedyś znałam w Perejasławiu. Znałam i...”

Następne słowo było przekreślone, ale Aleksander bez trudu domyślił się, że mogło nim być tylko: „kochałam”.

„Dlatego list mój nie ma nagłówka. Wybierz sobie sam taki nagłówek, jaki Ci najbardziej teraz odpowiada, a ja z góry zgadzam się na wszystko...”

...Niedawno byłam w Moskwie na wszechzwiązkowej naradzie pracowników rolnictwa i tam przypadkowo spotkałam Piotrka Krawczenkę, który podobnie jak ja przyjechał na tę naradę jako agronom. Tylko że on z Zachodniej Ukrainy, a ja — z Dalekiego Wschodu, aż spod Sowieckiej Gawani. Pamiętasz go? To ten wstydlivy blondynek, którego przedrzeźnialiśmy w szkole: «Istny czart ten Piotruś nasz — jasny wąsik, ciemna twarz». On do tej pory utrzymuje kontakty z Perejasławiem, był tam nawet w zeszłym roku. Ponieważ od sześciu lat nie byłam w ojczyźnie, przyczepiłam się do niego podczas zwiedzania Wystawy Osiągnięć Gospodarczych i cały wieczór go nie odstępowałam. Obgadaliśmy całe nasze dzieciństwo i młodość,

wspominaliśmy perejasławskich i kijowskich przyjaciół (w tym samym roku ukończyliśmy w Kijowie studia); wspominaliśmy naturalnie i Ciebie — szkoda tylko, żeś Ty nie naszego rodu ptak. To właśnie od niego dowiedziałam się, że leczysz w Uzbekistanie, gdzieś w obwodzie namangańskim. Niestety, nie znał Twego dokładnego adresu; wiedział tylko, że dwa lata temu pojechała do Ciebie Twoja matka. (Pamiętasz, jak ona żartem nazywała mnie «synową», a ja w swej naiwności trochę się jej bałam jako przyszłej teściowej?...) Dlatego niech Cię nie dziwi ten fantastyczny adres na kopercie, bo piszę tak, jak to się kiedyś śpiewało w młodzieżowej piosence: «Napisz dokądkolwiek».

Nie jestem pewna, czy ten list do Ciebie dojdzie, czy się odezwiesz, nie wiem nawet, czy warto pisać. Wiem tylko, że muszę.

Nie pisałam i nie mogłam pisać do Ciebie, kiedy wyjechałeś na studia bez pożegnania się ze mną, tym bardziej że gdy przyjechałeś do matki na kilka dni, nawet mnie nie odwiedziłeś. A teraz — muszę! «Dlaczego? po co?» — zapytasz, tak jak ja pytam sama siebie. Czy ja wiem? Chciałam to uczynić jeszcze w Moskwie, gdy spacerowałam ulicami i rozmyślałam: «Gdzieś tutaj chodził Olek, kiedy studiował», a dzisiaj osobliwie mnie korci, aby z Tobą porozmawiać.

W tej chwili ściemnia się. Jest koniec kwietnia. W Perejasławskiem z pewnością już sieją, a tu za oknami taka zamieć, że nie widać pobliskich wzgórz ani nawet cieplarni w moim sowchozie. Wichura wścieka się, szaleje, a ja chodzę po pokoju i śpiewam. (Nie bez powodu

przezwno mnie w Perejasławiu śpiewającą Marysią!) Śpiewam tę starą piosenkę, której nauczyłam się od babci i którą nieraz nuce, kiedy myślę o Tobie. Celowo podaję Ci jej słowa, byś przypomniał sobie daleki Perejasław, te dawne czasy, kiedyśmy jako naiwne nastolatki biegali na Most Trojecki, na Łąkę Łazankową; chcę, byś znówu usłyszał, jak szumi na Browarkach wierzba, pod którą po raz pierwszy nieśmiało i bojaźliwie pocałowałeś mnie w policzek... Byś przypomniał sobie wszystko, wszystko! Tak też odczytaj mój śpiew przez okrutną odległość czasu i przestrzeni, która nas dzieli.

Nałetiły siri husy
Na staw żyruwały,
Najichały czumaczeńky
W seło zymuwały.

Żyruwały siri husy
Zniałyś, połetiły.
Zymuwały czumaczeńky,
Zniałyś, pojichały.

Czom ty mene, moja mamo,
Rano ne zbudyła,
Jak otiji czumaczeńky
Z seła wyjizdyły?

Tym ja tebe, moja doniu,
Rano ne zbudyła,
Szczu twij czumak wpered piszow,
Szczob ty ne tużyła...

Śpiewam i zdaje mi się, że Ty rzeczywiście mnie słyszysz. Jesteś przecież, jak to się mówi

w wierszu Szczipaczowa — «tu, na tej samej planecie, gdzie, jak wiadomo, drogi się schodzą!» Szkoda tylko, że nasze drogi już się nigdy nie zejdą. Choćby tylko po to, żeby spotkać się i znowu rozejść, i serce biedne zasmucić... (Był taki romans do słów bodaj że Ołesia, a może Woronego.)

Teraz kilka słów o mnie, bo na pewno jesteś zdziwiony, jakie лихо przyniosło mnie tutaj, aż na koniec świata. Znałeś mnie przecież jako potulną Marysię, która mieszkała sobie w Perejaślawiu, a poza nim innego świata nie widziała. Mnie rzeczywiście kiedyś się wydawało, że świat się kończy na Perejaślawiu. Nawet wybierając się do Kijowa na studia marzyłam, by czym prędzej powrócić do domu i zdobytą wiedzę służyć naszemu miastu. Ale nasze pokolenie to niespokojne plemię i żadna siła nie jest w stanie utrzymać nas w rodzinnych kątach. Żądza ruchu i wiedzy gna nas do wielkich miast, kuszą nas niezmiernie przestronie całego kraju, pociąga Arktyka i Antarktyda, niebawem będzie nam ciasno i nudno na naszej starej planecie. Z pewnością i Ty nie udałeś się do Uzbekistanu w pogoni za forszą, lecz w ciekawszym celu.

I tak oto po drodze w nieznane znalazłam się w sowchozie wśród tajgi na północ od Sowieckiej Gawani.

Co tutaj porabiam? Powiem szczerze: nad biegunem północnym jeszcze nie latałam, atomu nie rozszczepiam, nawet nie wymyśliłam jarowizacji pszenicy. W moim gospodarstwie nie rosną na brzożach i modrzewiach, jak u Miczurina, jabłka i gruszki, zadowolam się ogórkami,

rzodkiewką i pomidorami, i to tylko z ciepłarni. Słowem, prowadzę ciągłą walkę z klimatem i tajgą. Czy mi to wystarcza? Z pewnością tak. Każdy powinien sobie wyznaczyć miejsce w społeczeństwie, znaleźć tę dziedzinę, w której może być pożyteczny nie tylko dla siebie. Ja znalazłam ją w agronomii. Pewnie powiesz, że to mało... Skromne ambicje, niewysokie wymagania! Niech i tak będzie. Jestem zwykłą śmiertelniczką, a nie kimś wyjątkowym, obdarzonym talentem i popularnością. Troskę o miejsce w historii pozostawiam utalentowanym i sławnym, mnie wystarcza to, co mam. Ale i mnie udało się «przejsć do historii» z «kimś wyjątkowym». Muszę ci się przyznać, że przywiodła mnie tutaj, do Chabarowskiego Kraju, nie tylko żądza ciekawej pracy i nienasycony głód poznania, lecz również sprawy osobiste.

Kiedy byłam na ostatnim roku studiów, wydało mi się, że znowu się zakochałam. Piszę «wydało mi się», bo po uczuciu, jakie żywiłam do Ciebie, nie przypuszczałam, że coś podobnego może się kiedyś powtórzyć. (Ty chyba nigdy nie zdawałeś sobie sprawy z tego, jak ja Ciebie, Olku, kochałam!) Po tym, jak moja dziewczęca duma została urażona, kiedy zerwałeś ze mną bez żadnej przyczyny i nie napisałeś nawet, dlaczego, długo przebywałam w stanie wewnętrznego odrętwienia, o którym tak cudownie wyraził się Puszkina w swoim „Eugeniszu Onieginie”:

A dla mnie — wszystko było jedno,
Już nie czekałam szczęsnych zmian.*

Tłum. Leo Belmont.

I oto nieoczekiwanie kapryśny los zetknął mnie z pewnym kompozytorem. Dość przyjemna prezencja, sława twórcy piosenek, którego imię raz po raz pojawiało się na afiszach, w gazetach i tygodnikach — wyobrażasz sobie, jak to wszystko wpłynęło na mnie, dziewczynę z prowincji, do tego tak lubiącą śpiew! Wydał mi się czarodziejem, który podniósł przede mną kurtynę w powabny świat melodii i barw. Uwierzyłam nawet, że swoimi starymi pieśniami pomagam mu tworzyć, że jestem dla niego pomostem do ludu, od którego oderwał go stołeczny wir życia...

Nie ukrywam, że w zbliżeniu z nim było coś z zadawnionego pragnienia, aby zemścić się na Tobie...

W rok później — była właśnie gorąca pora egzaminów — przypadkowo dowiedziałam się, że mój twórca posiada dodatkowe «źródła natchnienia» (to jego własne słowa, którymi starał się usprawiedliwić najzwyczajszą nikczemność).

Pragnęłam mieć dziecko, a podsuwano mi grube pieniądze na zabieg, pragnęłam muzyki i odrobinę bajki, a proponowano mi rozpustę i cynizm. Z moich perejasławskich marzeń nie zostało nic.

Odeszłam od niego. Może dlatego, że już raz w życiu zaznałam «zdrady» i wytworzyła się we mnie — jak to wy, lekarze, nazywacie — odporność, sama się sobie dziwiąc, lekko przeżyłam ten dramat. Na przekór wszystkiemu złożyłam egzamin dyplomowy. Ale na myśl o muzyce i śpiewie czułam ból w sercu. Dotąd nie mogę pojąć, jak w takich plugawych duszach

mogą powstawać przepiękne melodie? Czyżby talent był czymś większym niż jego posiadacz, czymś niezależnym od człowieka? Przykro mi, jeśli tak jest istotnie.

Teraz rozumiesz, jak chętnie wzięłam skierowanie do pracy na Daleki Wschód i wyjechałam z Kijowa «na kraj świata».

Chciałabym, żebyś mnie dobrze zrozumiał i ani przez moment nie sądził, że pragnę czegoś niemożliwego, że usiłuję przywrócić to, co bezpowrotnie minęło. Wiem, że jesteś żonaty i masz dziecko; uwierz mi, że w najmniejszym stopniu nie chcę naruszyć spokoju twojej rodziny. Po prostu cieszę się, że żyjesz «na tej samej planecie...» Moje uczucia do Ciebie są teraz zupełnie inne. Jak w tej piosence, którą Ci kiedyś śpiewałam w Perejasławiu nie zastanawiając się nad jej słowami:

Bud szczęśliwyj iz tijeju, kotru ty kochajesz,
A nad mene wirniszoji na switi ne znajdesz.
Budu Boha ja prosyty, szczob ty buw
szczęśliwyj,
Czy zi mnoju, czy z druhoju — powik meni
myłyj.”

Dalej był podpis i krótkie *post scriptum*: „Jeśli kiedykolwiek zechcesz napisać, napisz na następujący adres...”

Ale adresu Postołowski nie przeczytał. Opuścił rękę z listem i nie widzącymi oczyma spoglądał przed siebie. Nie opodał zatrzymało się już kilka ciężarówek, na które pospiesznie wsiedali ludzie, ale on tego nie zauważył, stał jak skamieniały.

Do rzeczywistości przywołał go okrzyk znajomego kierowcy z POM-u:

— Doktorze! Panie doktorze! Proszę wsiadać, podwożę pana.

Postołowski wzdrygnął się jak zbudzony ze snu, potarł czoło, schował list i powoli wsiadł do kabiny.

Gadatliwy kierowca uzalał się, że nie udało mu się kupić jakichś tam części zamiennych, opowiedział śmieszny wypadek z frontu, mówił, że był u nich drugi sekretarz komitetu rejonowego, który wyłajał dyrektora i zagroził naganą. Postołowski w milczeniu kiwał głową udając, że słucha, ale rozmyślał o czymś innym. List Marysi wzbudził w nim tyle wspomnień i refleksji, że nie mógł zebrać myśli. Jakieś obrazy napływały chaotycznie do głowy, mógł je tylko śledzić i kontemplować. Oto zjawił się przed nim cyniczny kompozytor, którego nigdy nie znał, a obok niego Nina z paletą i pędzlami. „Całkiem odpowiednia para” — zauważył bez ironii i zazdrości, jak postronna osoba. Zjawia się, jakby ze starego filmu, kilka wyblakłych kadrów: jego wyjazd z Perejasławia do Moskwy, a gdzieś poza ekranem słychać żalony śpiew Marysi.

Czom ty mene, moja mamo,
Rano ne zbudyła,
Jak otiji czumaczeńky
Z seła wyjizdyły?

Pamięć podsunęła mu obraz Niechludowa ze „Zmartwychwstania” Tolstoja i Kati Masłowej. Doktor bezsilnie zaprzecza: Nic podobnego, nie

jestem Niechludowem ani Marysia Katią...” Ale głos wewnętrzny go nie słucha i wypomina: „Porzucił taką dobrą dziewczynę! Zamienił kukkę na jastrzębia!...” I Aleksander nie zaprzecza. Głos nie cichnie, przenika w głąb duszy: „Marysia jako macocha byłaby dla twego syna sto razy lepsza niż Nina...” Nie zaprzecza, zgadza się z tym, nawet wyciąga logiczny wniosek: „Więc czemu się waham? Po cóż męczyć się dłużej? Jeszcze dzisiaj powinienem napisać list, porozumieć się, dyskretnie wziąć urlop i pojechać... Wszystko się od razu rozstrzygnie: będzie naprawiona dawna krzywda i skończy się ten nikomu niepotrzebny, męczący stan...” Lecz znowu słyszy smutne słowa Marysi: „Moje uczucia do ciebie są teraz zupełnie inne... w najmniejszym stopniu nie chcę naruszyć spokoju twojej rodziny...” W tym momencie rozszuszczona Nina odciąga od niego Bazia, chłopiec wyrywa się, wyciąga ręce i woła: „Tato! Tatusiu! Ja chcę z tobą...”

Wzdrygnął się cały, aż kierowca ze zdumieniem obrócił głowę w jego stronę:

— A może pan doktor jest chory? Czy to czasem nie malaria? Chorowałem dwa lata temu, też mnie tak trzęsło.

— Nie, po prostu jestem przemęczony — odpowiedział cicho i rzeczywiście odczuwał w tej chwili straszne znużenie.

Wyjął list Marysi, po raz ostatni popatrzył ze smutkiem na zamaszyste rzędy liter i zaczął go powoli drzeć. Jeszcze raz spojrzął na strzępy papieru, ścisnął rękę i wysunął ją za okno. Palce powoli się rozwarły i białe skrawki pochwycił silny podmuch wiatru. Postołow-

ski w duchu westchnął: „Niech myśli, że list nie doszedł. A teraz — czym prędzej powrócić do domu i zasnąć...”

XX

Ale w domu nie udało mu się odpocząć.

Już z daleka spostrzegł, że koło bramy ośrodka stoją dwa przywiązane do drzewa zajeżdżone konie, i domyślił się, że to po niego. Jak na ironię losu!

Pragnął chociaż na chwilę usiąść na kanapie, pobawić się z synem, miał zamiar wreszcie zbadać dokładnie matkę, a tu na jego widok podniósł się już z ziemi młodzieniec w wojskowej bluzie. Doktor poznał w nim niedawnego pacjenta, którego leczył na zapalenie węzłów chłonnych. Pochodził on z odległego kołchozu „Komintern”. Wizyta, jak ze smutkiem sobie w duchu obliczył, potrwa przynajmniej ze trzy godziny. „A może by wysłać Taskirę, a w razie czego sam pojedę jutro?...” — myślał szukając wykrętu, żeby pozostać w domu.

— Panie doktorze! Żona księgowego bardzo krzyczy.

Młody mężczyzna został niedawno zwolniony z wojska i umiał mówić po rosyjsku.

— Chora?

— Rodzi.

Postołowski zatrwożył się — jeśli uzbecki dechkanin wzywa lekarza do porodu, to musi być bardzo źle.

— Czy już urodziła?

— Nie może urodzić. Księgowy bardzo prosi, aby pan doktor przyjechał.

Po tych wyjaśnieniach Postołowski już wiedział, że musi sam pojechać. Co prawda, księgowy jako kulturalny człowiek może chcieć po prostu, żeby jego żonie udzielono fachowej pomocy, ale wszyscy wiedzą, że na sto błahych wizyt, przy których wystarczyłaby sama siostra, a nawet obyłoby się bez niej, może się zdarzyć taki wypadek, że natychmiastowa pomoc lekarza jest nieodzowna.

— Zaraz jedziemy. Zaczekaj tutaj — polecił młodemu człowiekowi i szybkim krokiem minął bramę.

Żuczka już stróżowała na podwórku. Przybiegła do doktora i odprowadziła go do drzwi mieszkania.

Bazio wybiegł z pokoju z nowiną:

— Tatusiu, koniki do nas przyjechały!

Pochwycił syna na ręce, pocałował w czoło i mocno przytulił do siebie. Mały objął ojca za szyję i zaglądając mu w oczy dopytywał się:

— Pojedziesz? Na koniku pojedziesz?

Nina szkicowała coś na płótnie węglem. Na odgłos kroków wyszła zza sztalugi i przywitała męża tak, jakby ubiegłej nocy nic nie zaszło.

— Ach, jaka szkoda, że cię znowu wzywają. Może byś jednak coś zjadł i odpoczął trochę? — powiedziała zmartwiona.

— Muszę jechać natychmiast — odrzekł ze smutkiem, pocałował Bazia w policzek i ostrożnie postawił go na podłodze. — A jak się matka czuje? — zapytał, aby coś powiedzieć.

— W porządku, teraz odpoczywa. Ale zjedz choć trochę! Zaraz coś przyniosę.

Doktor przecząco pokręcił głową.

— Niestety, nie mogę.

— Czy ty kiedyś posłuchasz... — westchnęła.

— Przewieź mnie na koniku, przewieź, tato! — zaczął prosić syn, przechylając na bok główkę.

— Później, synku, później.

Pospiesznie pogładził syna po głowie i żeby nie ulec pokusie, szybko pobiegł do ambulatorium po torbę lekarską.

Postołowski nigdy nie zdradzał talentu do jazdy konnej, ale tutaj, w Uzbekistanie, gdzie kołchozy jeszcze nie mogły zapewnić lekarzom wygodniejszych środków lokomocji, nieraz musiał dosiadać konia. Wolał to niż jazdę arba, na której pasażer siedzi jak zwierzę w klatce. Wprawdzie daleko mu było do tego, żeby mknąć na koniu jak na skrzydłach, jak śnił czasem, ale przynajmniej nie chwycił już ręką za siodło i jako tako potrafił unosić się w strzemionach, kiedy koń przechodził w galop.

Jednak kiedy ruszyli kłusem, chłopak, który z grzeczności został w tyle, nie mógł powstrzymać się od uśmiechu obserwując, jak doktor niezdarnie podskakuje w siodle. „Jak to może być — myślał — żeby człowiek, który leczy ludzi, nie potrafił jeździć na zwyczajnym koniu?”

Koło cmentarza muzułmańskiego koń doktora zwolnił bieg, zezując na niskie nagrobki, wśród których miejscami, jak rozżarzone węgielki, czerwieniały dzikie tulipany. Kamienne słupki powykrzywiały się w różne strony i sprawiały

wrażenie, że to skamieniałe głowy nieboszczyków usiłują wyrwać się z ciężącej im ziemi.

Cmentarze zawsze budziły w Postołowskim dziwny niepokój. Chciał czym prędzej ominąć to miejsce wiecznego smutku i szarpnął za lejce. Koń uskoczył w bok, ale kiedy chłopak gwizdnął i krzyknął coś po uzbecku, od razu się uspokoił i ruszył kłusem.

Po obu stronach drogi rozciągały się plantacje bawełny. Pokryte kurzem krzaki zaczynały już gdzieniegdzie kwitnąć. Wśród krzewów uwijali się dechkanie. Pogłębiali rowki doprowadzające wodę, plewili chwasty, niszczyli szkodniki. W oddali, ukryty do połowy w zieleni, posapywał traktor.

Ziemia, taka martwa przy cmentarzu, tu, zraszana wodą z aryków, bujnie rodziła. Wymagała jednak od wczesnej wiosny do później jesieni wytrwałej pracy ludzi i maszyn. Nawet w zimie, jeśli nie spadł śnieg, na polach trwała praca — przekopywano nowe kanały lub czyszczono stare. Teraz nadchodziła gorąca pora i wszyscy byli w polu. Aż do samego kyszłaku jeźdźcy nie spotkali na drodze żywej duszy.

Kiedy zsiadli z koni, chłopak wziął lejce w rękę i mocno zastukał do furtki z maleńkim okienkiem.

— Ibrahimie! Hej, Ibrahimie! — zaczął nawoływać w stronę zagrody.

— Co się stało? Zamknięte czy mają złego psa? — zapytał doktor, który chciał czym prędzej obejrzyć położnicę.

— Psa nie ma. W chacie jest kobieta — niechętnie odpowiedział młodzieniec i znowu energicznie zastukał do furtki: — Hej, Ibrahimie!

— To dlaczego stoimy? Prowadź! — powiedział doktor.

— Nie mogę, nie wypada. Powinien nas gospodarz wprowadzić.

Furtka zaskrzypiała i ukazał się w niej smukły, przystojny mężczyzna w ładnym, podpasanym chustką czapanie. Uprzejmie zaprosił ich do środka. Był to gospodarz, księgowy z kołchozu. Na jego niemłodej twarzy ukazał się przyjazny uśmiech; nie widać było na niej ani strachu, ani trwogi.

— Żona już urodziła? — zapytał doktor witając się.

Twarz gospodarza pociemniała.

— Nie, męczy się...

W trzeciej, ostatniej izbie głośno jęczała kobieta. Położnica siedziała w kucki, a koło niej tak samo w kucki krzątała się jakaś drobna stara kobieta. Na widok obcego mężczyzny babina poderwała się i zasłaniając twarz ręką, cicho jak myszka czmychnęła. Gospodarz zatrzymał się w progu. Położnica odrzuciła głowę do tyłu i od strasznego bólu aż wyłamywała palce u rąk. Lekarz włożył biały fartuch, polecił jej, aby wstała i przeszła na łóżko, i chora zrobiła to, aczkolwiek niechętnie.

Odsłonił koszulę i zbladł, ujrawszy wyraźną wypukłość w poprzek brzucha.

— Położenie poprzeczne?!

Nacisnął w kilku miejscach naciągniętą skórę i za każdym dotknięciem palców utwierdzał się w groźnym przypuszczeniu. Zaczął przystawiać w różnych miejscach drewniany lejek stetoskopu ginekologicznego. Nieco powyżej wypukłego pępka usłyszał niewyraźne kołatanie dziecięcego

serca. „Dziecko jeszcze żywe — powiedział sam do siebie — ale położenie jest rzeczywiście poprzeczne”.

— Wody odeszły? — nie odwracając się zapytał męża chorej.

— Su? * — nie mógł zrozumieć gospodarz i wybiegł na dwór po chłopaka, by ten przetłumaczył. Doktor odszedł od łóżka i naciągając na rękę gumową rękawiczkę rzucił okiem na podłogę — wilgotna, niedawno wytarta plama w tym miejscu, gdzie siedziała położnica, była dla niego wystarczającą odpowiedzią. Wody odeszły... W tym stanie chora nie może sama urodzić.

Takiego wypadku Postołowski w swojej praktyce jeszcze nie notował. Kiedy był studentem, widział w klinice poród z poprzecznym położeniem płodu, ale ciężarną kobietę zawczasu umieszczono w lecznicy, wszystko było przygotowane, lekarz położnik, w porę przebiwszy pęcherz płodowy z wodami — położnica spała pod narkozą — wprawnie obrócił noworodka na nóżkę, i po kilku minutach jak czarodziej pokazał im nowo narodzone dziecko. Ale to było w warunkach szpitalnych, a tutaj...

„A ja już chciałem posłać siostrę Taskirę!” — zganił siebie w myśli i szybko zaczął przecierać spirytusem cienką, błyszczącą rękawiczkę.

Od progu dobiegł cichy głos gospodarza.

— Gotowanej wody? Jest przegotowana.

— Który to poród? — zapytał doktor.

— Piąty.

Su (uzb.) — woda.

To również potwierdzało diagnozę — poprzeczne położenie płodu zdarza się najczęściej u wieloródek. Przystąpił do badania wewnętrznego. Palce natrafiły w pochwie na wysuniętą z macicy drobniutką, śliską rączkę... Teraz nie miał już żadnych wątpliwości.

Stan był bardzo groźny... Nad życiem matki i jej nie narodzonego dziecka zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo. Trzeba było działać. Odwrócił się do drzwi.

— Kiedy?... — zabrakło mu słów i nerwowo pokazał ręką dużą plamę na podłodze. — To, to — kiedy?

Księgowy znikł za drzwiami i po chwili krzyczał z drugiego pokoju:

— Godzina... — I już na progu cicho powtórzył: — Jakąś godzinę temu...

Wody odeszły godzinę temu. Ale czy rzeczywiście godzinę?... Tak czy inaczej przypadek należy uważać za przedawniony. Trzeba albo skierować na cesarskie cięcie do szpitala, albo odważyć się samemu zrobić obrót płodu. Ale to ryzyko. Wielkie ryzyko! Skrócone od długotrwałych, daremnych skurczów, słabe i miejscami bardzo delikatne ścianki macicy mogą podczas obrotu płodu nie wytrzymać nowego nacisku. A wtedy — pęknięcie macicy, okropny krwotok, zejście śmiertelne... Już wyobraził sobie skwaszoną minę doktora Hrynkiewicza, ginekologa z rejonowego szpitala, jego uniesione wysoko nad okularami brwi i śpiewny głos: „Rozumiecie, kolego, he-he-he... Ja bym na waszym miejscu nie szedł na tak wielkie ryzyko. Taka patologia, tym bardziej, he-he-he, w prymitywnych warunkach!... Po co wam zawy-

żona śmiertelność w statystyce? Skierowalibyście ją do nas — i kłopot z głowy!”

Rzeczywiście — oprzytomniał Postołowski — skieruję ją do szpitala. Lekarz wiejskiego ośrodka nie powinien brać na siebie odpowiedzialności za tak skomplikowany przypadek. Po co sobie psuć opinię, narażać się na złośliwe plotki kolegów: „Polazł na cudze podwórko, zarozumiały dyletant, i zgubił kobietę, a w szpitalu by ją uratowali...” W dodatku — spostrzegł się — nie mam możliwości dania narkozy, a specjaliści przy takich zabiegach usilnie ją zalecają.

Już miał powiedzieć gospodarzowi, żeby szukał samochodu, ale zawahał się, gdy popatrzył na jego twarz. W przejmującym spojrzeniu tych czarnych oczu było tyle trwogi i zarazem niezachwianej wiary w niego, że dopiero teraz zrozumiał — ten uśmiech na twarzy mężczyzny przy powitaniu był wymuszony. Gospodarz uśmiechał się, bo wymagała tego uzbecka gościnność. I znowu się zawahał. Szukać samochodu! Gdzie go znaleźć o tej porze, kiedy wszystkie są w polu? A czy doktor Hrynkiewicz będzie teraz w szpitalu? Może i jego przyjdzie szukać... Czas płynie — niebezpieczeństwo rośnie. Minie godzina, półtorej i katastrofa stanie się nieunikniona.

Nowa potężna fala skurczów aż podrzuciła kobietę na łóżku. Położnica rozpaczliwie krzyknęła i błagalnie wyciągnęła ręce do lekarza.

Wtedy się zdecydował.

— Ciepłej wody! Mydła! Szybko!... Ulokować położnicę w poprzek łóżka!... Trzymać ramiona i głowę! — energicznie jak dowódca podczas

ataku rzucał rozkazy osłupiałemu gospodarzowi i babinie, która znowu zjawiała się w izbie.

Jeszcze raz naprędcie obmacał rozdęty brzuch, mamrocząc pod nosem:

— Pozycja druga, przednia... Dolny odcinek macicy chyba jeszcze niedostatecznie rozwarły... Już! Rzykujemy!

Starannie posmarował jodyną odsłoniętą do łokcia rękę i głęboko nabrał w płuca powietrza.

Położnica na chwilę zamilkła i w izbie zapanaowała pełna napięcia cisza.

Ostrożnie przesuwając wzdłuż wysuniętej dziecięcej rączki złożone razem palce, namacał ramiona, następnie piersi. Po chwili dwoma palcami pchnął lekko śliskie ciało — cofnęło się. „A więc ruchliwość płodu jeszcze nie utraczona” — pomyślał z zadowoleniem i posunął rękę dalej. Chora stęknęła. Pod palcami doktora rytmicznie zapulsowała pępowina. „Jest tętno! Dziecko żywe! Teraz śmiało...”

Rodząca nieostrożnie się poruszyła i wijąc się z bólu, zaczęła krzyczeć.

Doktor starając się nie słuchać tego niesamowitego wrzasku, który, zdawało się, wstrząsnął całym mieszkaniem, szybko dotarł do delikatnej stópki, uchwycił ją środkowym i wskazującym palcem. Teraz jeden ruch! Albo ratunek, albo... Odetchnął i podniósł głowę. Wprost na niego był skierowany otepiały wzrok wytrzeszczonych oczu położnicy — w jego rękę zawisło jej życie i śmierć.

— Bądź dzielna! Jeszcze trochę! — powiedział do niej łagodnie i pociągnął za nóżkę.

Nieludzki krzyk rozdarł powietrze. Twarz gospodarza zbielała. Stojąca obok babina trzęsła

się jak liść osiki. Doktorowi zapało dech. Pęknięcie?... Nie, ręka w macicy tego nie wyczuwa. Po prostu — wielki ból; bez żadnego znieczulenia... Teraz bez zwłoki! Szybko! I już nie zważając na krzyki i szamotanie kobiety, zdecydowanie pociągnął nóżkę, popychając jednocześnie drugą ręką do góry twardą wypukłość brzucha. Byстрыm spojrzeniem przebiegł jego nierówną powierzchnię, szukając z trwogą groźnego zarysu klepsydry, tej widocznej oznaki pęknięcia macicy. Ale nie, wyducie brzucha nabiera normalnego podłużnego wyglądu. Pęknięcia nie ma! Jeszcze trochę i...

Spojrzał na wykrzywioną z bólu twarz kobiety i rzucił szeptem:

— Jeszcze trochę! Jeszcze trochę!

Ręka doktora z bladą dziecięcą stópką wysuwa się na zewnątrz...

— Jeszcze chwilę, jeszcze chwilę... — mówił po rosyjsku, nie zdając sobie sprawy, że Uzbeczka go nie rozumie. Ale wielki instynkt życia sam jej tłumaczył słowa doktora, zaczęła rozumieć, że śmierć od niej odstępuje. Uniosła się na łokciach, ściskając w rękę pogniecione prześcieradło, uważnie patrzyła na usta lekarza i ściśle wykonywała jego polecenia...

— Nie oddychaj! Napręż się! Jeszcze trochę... Silniej!

Przebrzmiał ostatni krzyk. Na ręce doktora leży wiotkie sine ciało z bezwładnie opuszczoną główką... Zamartwica. Sina zamartwica.

Doktor rytmicznie klepie dziecko po pośladkach, rozglądając się za strzykawką. I nagle rozlega się w izbie cieniutki płacz...

Gospodarz otwiera szeroko oczy, nie wierzy,

że wszystko jest w porządku; płożnica z otwartymi ustami uważnie przysłuchuje się nowym dźwiękom i na jej bladym obliczu zjawia się uśmiech. Krzyczy — a więc jest żywe! Żywe!... Nawet wylękniona babcia zaczyna coś mówić, z wdzięcznością patrząc na doktora Orysa, który uratował jej synową, i nie zakrywa już twarzy ręką.

Uporawszy się z pępowiną, doktor przekazał małego krzykacza babci i porozumiewawczo mrugnął do stojącego wciąż jeszcze nieruchomo gospodarza:

— Bała! *

— Jachszy bała! — wyszeptała babcia wynosząc dziecko. Gospodarz radośnie się uśmiechnął.

Postołowski otarł rękawem fartucha pot z czoła i ociężale usiadł na krześle. Ogarnęło go takie zmęczenie, że nie miał siły zdjąć fartucha ani nawet umyć zabrudzonych, lepkich rąk. Chciało mu się pić. Cichym głosem poprosił o wodę i gospodarz wraz z babcią rzucili się do niego z garnuszkiem, miedzianą miednicą i dzbankiem.

Łykał niesmaczną wodę z aryka, gdy naraz kobieta w łóżku cicho jęknęła. Wetknął babinie garnuszek i podszedł do łóżka. Położnica z zacisniętymi zębami kręciła rozczochraną głową, i raptem westchnęła z ulgą. Na zakrwawionej pościeli leżało dopiero co wydalone łożysko. Uważnie popatrzył na lśniącą powierzchnię łożyska, z zadowoleniem stwierdził jego prawidłowość i podszedł do chorej.

Wszystko w porządku: krwotok niewielki, tę-

Bała (uzb.) — syn.

no prawidłowe, dobrze napięte, temperatura 37,2 — w granicach normy, w dodatku przy takich bólach...

Po raz ostatni popatrzył na jej twarz, chciał na pożegnanie powiedzieć jakieś miłe słowo — i spotkał się z błagalnym spojrzeniem, które milcząco przywoływało go do siebie. Nie zrozumiał i schylił się, aby zapytać; co boli. Ale kobieta uśmiechnęła się przez łyzy i cicho powiedziała:

— Rachmet... *

Skinał tylko głową, bo słowa uwięzły mu w gardle. Znów przypomniały mu się Turgieniewowskie słowa: „Życie to nie figle i nie rozrywka; życie to nawet nie przyjemność; życie to ciężka praca...” Wydało mu się, że z daleka usłyszał śpiewny głos Marysi: „Czy zi mnoju, czy z druhoju — powik meni myłyj...” Z uczuciem ulgi spojrział w okno, do którego zaglądało ciemne, już wieczorne niebo, i uśmiechnął się.

Z sąsiedniej izby dobiegał odgłos kroków i przyciszonej rozmowy. Kiedy spakował swoje instrumenty, uszczęśliwiony gospodarz szerokim gestem zaprosił go na wieczerzę. Chociaż Postołowski nie lubił tłustego pilawu i pilno mu było do domu, jednak, by nie obrazić gospodarza, pozostał.

W sąsiedniej izbie wokół niskiego stolika siedzieli po turecku na kilimie czterej dechkanie. Postołowski przyłączył się do nich.

Do stołu podawał gospodarz. Lekkim jak na swój wiek krokiem biegał do trzeciej izby, przynosząc stamtąd to miskę smażonej baraniny, to

Rachmet (uzb.) — dziękuję.

wielką tacę z ryżem. Przedtem jednak przyniósł miednicę i dzbanek z wodą. Po kolei, rozpoczynając od staruszka z białą brodą, stawiał przed każdym z gości miednicę i polewał mu ręce. Procedura ta nie ominęła również doktora, chociaż dopiero co umył ręce w sąsiednim pokoju. Wieczerzy przewodniczył starzec. Dobył zza pasa krzywy nóż, uroczyście pokroił mięso na sześć równych części i z powagą rozdał je biesiadnikom (jako pierwszy w dowód szacunku otrzymał swoją porcję lekarz). Potem wziął z tacy ręką garść ryżu i tak samo uroczyście, jakby uczestniczył w jakimś obrzędzie, zaczął poruszać bezzębnymi szczękami. Za jego przykładem zaczęli jeść i pozostali goście. Lekarzowi, jako Orysowi, podali łyżkę metalową, więc dla uszanowania zwyczaju nałożył sobie trochę ryżu.

Wszyscy jedli w milczeniu, tylko od czasu do czasu chwalili wyborny, niezrównany pilaw. Przez cały czas w izbie ani razu nie pojawiła się kobieta. Kiedy dziadek zaspokoił głód i położył ręce na udach, przerwali jedzenie również pozostali biesiadnicy. W trakcie sprząwania ze stołu dziadek, oblizując językiem tłuste wargi, z nieukrywaną ciekawością przyglądał się doktorowi. Był to teść gospodarza. Sam jeszcze nigdy nie był w doktorchonie. Po cóż prawowierny miałby tam chodzić? Jeśli go skosi z nóg malaria albo przydarzy się jakieś nieszczęście, może udać się do mułły, który zawsze zaradzi chorobie, a jeśli taka będzie wola Allacha, chory umrze i w domu, i w szpitalu. Nie przystoi prawowiernym udawać się do lekarzy, a tym bardziej do niewiernych Orysów, którzy jedzą

wieprzowinę i wyrzekli się swej religii. Dzisiaj, kiedy usłyszał o nieszczęściu córki, radził Ibrahimowi poprosić mułłę, ale on, idąc widać z duchem czasu, wolał lekarza. I stary nie mógł tego zabronić — przestał być panem swej córki, odkąd zięć wziął ją za żonę.

Kiedy przyjechał doktor Orys, stary siedział na podwórku i z trwogą przysłuchiwał się jękowi i krzykom swej córki. Urodziła już Ibrahimowi czworo dzieci i nie zaznała podobnej męki... Nie, doprawdy źle postąpił Ibrahim, kalamając ostatnie jej chwile na ziemi obecnością Orysa!... Słaba ludzka ręka nie jest godna odwrócić woli wszechmocnego Allacha...

I pomyśleć tylko — Orys uratował życie jego córki, kiedy na jej czoło padł już cień śmierci!...

Przyglądając się doktorowi staruszek nie mógł wyjść z podziwu, czemu to Allah obdarzył tego młodego człowieka tak wielką siłą? Co prawda, na oko to niczego sobie mężczyzna, ale przecież należy do niewiernych, którym sam szatan służy za współnika!

Kiedy gospodarz odniósł resztę pilawu do pierwszej izby, do kobiet, i przyniósł herbatę, staruszek z grzeczności spytał doktora, czy rosną w jego ojczyźnie winne latorośle. Otrzymawszy twierdzącą odpowiedź, kiwnął głową i zbliżył do ust piałę.

Wszyscy zaczęli pić herbatę. Gospodarz kilkakrotnie wychodził do pierwszej izby, skąd przynosił suszone morele, figi i w końcu nawet zeszłoroczną dynię. Wszystko stawiał w pobliżu doktora, dając w ten sposób do zrozumienia, że dzisiaj on jest tu honorowym gościem.

Postołowski czuł, że siedzenie po turecku co-

raz bardziej daje mu się we znaki (poboлеwał krzyż i cierpły nogi), i zaczął obmyślać, jak by tu, nie obrażając gospodarza, wykręcić się od przeciągającej się uczyty. Skosztował jeszcze twardoskórej jak arbuз dyni, podziękował gospodarzowi za kolację, przeprosił, że musi już jechać, i z ulgą wstał. Od razu podniósł się również jego sąsiad, który dotychczas siedział w milczeniu i z wielkim apetytem zjadał wszystko, co podawano na stół. Był to kierowca z kołchozu; zaproszono go specjalnie na pilaw, by potem odwiózł doktora do domu.

Przechodząc przez pierwszą izbę doktor spostrzegł w kącie kobiety. Jadły na stojąco i o czymś szeptem rozmawiały. Gdy ujrzały lekarza, odwróciły się do niego plecami. Na widok tych kobiet jakby zapędzonych do kąta, gdzie dojadały resztki jedzenia, dobry nastrój doktora przysł.

Gospodarz odprowadził lekarza na ulicę, kładąc dziękczynnie dłonie na piersiach i powtarzając bez końca: „Rachmet! Rachmet!” Ujął go pod łokieć, pomógł mu wsiąść do szoferki, nisko się uklonił i jeszcze raz złożył ręce na piersiach.

Samochód ruszył i po dwudziestu minutach stanął przed bramą ośrodka.

XXI

Panował już zmrok. Po bezchmurnym, ciemnoniebieskim niebie majestatycznie sunął księżyc w pełni. W domu panowała nocna cisza.

Bazio już spał, matka też usnęła, tylko Nina jeszcze siedziała i przeglądała stare numery „Krokodyla”. Usłyszawszy skrzyp otwieranych drzwi, odłożyła gazety i uważnie popatrzyła na męża. „Jak on się przez tę dobę zestarzał — pomyślała — możliwe, że to ja wczoraj trochę przeholowałam”.

W rozmowie z mężem Nina zwykła używać — nie zawsze poprawnie — terminów medycznych. W jej słownictwie dawno już ropowica skóry zastąpiła zwyczajne pęcherze, dureń stał się debilem, a głupota zyskała miano oligofrenii; teraz na widok męża też przyszedł jej na myśl odpowiedni termin. „Reakcja nerwicowa” — skonstatowała w myśli, uchwyciwszy na moment jego zimne spojrzenie. Obmyślając, jaką zastosować taktykę, doszła do wniosku, że pocałunki i objęcia, które dawniej w takich wypadkach pomagały, teraz mogą okazać się niebezpieczne. Przydałoby się więcej kropli walerianowych w słowach i coś takiego, co neutralizowałoby cierpki smak nocnej rozmowy!

— Pewnie niepotrzebnie jeździłeś? Chyba nie wydarzyło się nic szczególnego? — zapytała, umiejętnie nadając swemu głosowi intonację żalu i współczucia.

— Przeciwnie, ciężki poród. Z poprzecznym położeniem... — odparł cicho, szukając na wieszaku wolnego miejsca na czapkę.

— U tych Uzbeków zawsze wszystko na opak! A to nogi na prostej drodze łamią, to znów dziecko nie wiadomo czemu rodzi się w poprzek... Ciekawy naród! — westchnęła. — Ale nawet słowiki nie żyją samym śpiewem — zreflektowała się po chwili i wstała z krzesła.

— Właściwie to ja już jadłem...

— A czymże ciebie karmili? Na pewno pilawem, którego nie znosisz — westchnęła i szybkim krokiem wyszła do kuchni.

Postołowski rozejrzał się po pokoju. Wszystko było zwyczajne, jak zawsze: lustro, dwuosobowe łóżko, szafa, sztaluga, obrazy żony na ścianie. A jednak nie mógł wyzbyć się dziwnego uczucia, że nie jest w swoim domu, a u obcych ludzi, do których zaszedł z nienacka o późnej porze. Teraz, kiedy Nina wyszła, musi zastanowić się, jak postępować dalej...

Śpiący Bazio zamamrotał coś przez sen. Aleksander podszedł na palcach do łóżeczka i poprzez naciągniętą na poręczach gazę spojrzął na synka. Mały obrócił się, odrzucił rączkę w bok i uśmiechnął się otwartymi ustami. Może we śnie widział swego tatę? Albo przypomniało mu się babcine „groszek-boberek”? Bez troski, spokojny sen dziecka przywrócił mu poczucie własnego domu. I kiedy Nina przyniosła z kuchni patelnię przykrytą talerzem, wyjęła sztucce, poczuł wreszcie, że istotnie jest w domu.

— Przygotowałyśmy dla ciebie dzisiaj faszerowane pomidory — odezwała się Nina wiedząc, że chociaż mąż odnosi się do spraw kulinarnych obojętnie, to jednak tę potrawę wyróżnia spośród innych.

Naturalne zachowanie żony, pozbawione sztucznej czułości, której z doświadczenia mógł się spodziewać, wpływało na niego uspokajająco. Poczuł się tak, jakby wcale nie było ani przykrew wczorajszej rozmowy, ani dzisiejszych przygnębiających rozmyślań. I ku swemu zdu-

mieniu z apetytem zjadł polane śmietaną pieczone pomidory.

Powoli rozgadał się, opowiedział, że w najbliższych dniach spodziewają się w rejonie wizyty nowego kierownika obwodowego wydziału zdrowia, który prawdopodobnie zawita i do nich. Nina uklękła na krześle i opierając się łokciami o stół, uważnie słuchała.

— A czy to Rosjanin, czy Uzbek? — zapytała z ciekawością.

— Sądząc z nazwiska, Uzbek. Chodźajew.

— No, to znaczy, że taki sam debil jak Achmetdżanow!

— Przeciwnie. Achmetdżanow to jedynie felczer, a ten jest chirurgiem. I mówią, że niezłym. Mimo że został kierownikiem wydziału zdrowia, nie porzucił chirurgii — w dalszym ciągu operuje.

— No, czego jak czego, ale Uzbeka-lekarza, a w dodatku chirurga albo ginekologa, to ja sobie po prostu nie wyobrażam.

— A dlaczego? — zdziwił się. — Wśród Uzbeków są również dobrzy lekarze, inżynierowie, agronomowie.

— Bo widzisz, każdy naród ma jakąś własną, odrębną cechę: Chińczycy na przykład uprawiają herbatę, Cyganie wróżą, Żydzi handlują...

— Co też ty mówisz! — przerwał jej, starając się to jednak zrobić delikatnie. — Rozumujesz jak autor pewnej książki dla dzieci, zdaje się, że czytałem o tym u Gorkiego... Otóż ów autor tak pisał: „W Chinach wszyscy ludzie są Chińczykami, a nawet i sam cesarz jest Chińczykiem!” Widzisz, Nino, ty powinnaś...

— Trzeba na świat patrzeć realnie, a nie poprzez książki i gazety — przerwała mu. — Potrafię sobie wyobrazić wśród nich, no, powiedzmy, nauczyciela, aktora, nawet poetę (choć mówią, że piszą nudnie), ale lekarza, inżyniera, malarza — nigdy! I ja miałabym powierzyć swoje zdrowie Uzbekowi? W żadnym wypadku! To po prostu do nich nie pasuje!

Chciał krzyknąć: „Bzdura!”, bo widział, że im dalej, tym gorzej, ale zrobiło mu się żal tej pozornej zgody, i tylko powiedział cicho:

— To jest bardzo naiwne, co mówisz.

Nina wstała z krzesła i już miała odeprzeć zarzut, ale w tym momencie z podwórza doleciało wycie psa.

— Brr, jak złowieszczo wyje! — wzdrygnęła się. — Aż mnie strach obleciał... Że też trzyma się u nas tego potwora!

Doktor podszedł do okna. Na środku podwórza dostrzegł Żuczkę, która wyciągała pysk do księżycy i wyła. Nina z bojaźnią popatrzyła na męża i wsłuchując się w skowyczenie psa, powiedziała szeptem:

— To, zdaje się, wróży coś niedobrego...

— Nonsens! — odrzekł, chociaż i on poczuł się nieswojo. Żeby rozwiać przygnębiające wrażenie, które jak przecucie nieszczęścia coraz silniej ich ogarniało, roześmiał się z przymusem:

— Wyje na przyjazd Chodźajewa. Dostanie mi się po uszach!

Ale to nie uspokoiło Niny. Pokręciła z niedowierzaniem głową i głośno odezwała się w stronę drugiego pokoju, gdzie spała teściowa:

— Co to znaczy, babciu, kiedy pies tak wyje?

Widocznie staruszka też wsłuchiwała się w przejmujące wycie Żuczki, bo od razu odpowiedziała:

— To na nieszczęście — pożar albo czyjaś śmierć...

— A widzisz! — powiedziała Nina, tym razem całkowicie się z teściową zgadzając. — Tak mi jakoś strasznie, Oleczku... — wyszeptała, bojaźliwie tuląc się do niego.

— Naiwne przesady! — odrzekł naumyślnie głośno, by przerwać martwą ciszę, w której tak wyraźnie rozlegało się rozpaczliwe psie wycie. — Zaraz ją przegonię! — zapowiedział i energicznym krokiem wyszedł z pokoju.

Żuczka stała na środku podwórka z żałośnie podwiniętym ogonem, była cała skulona, jakby trzęsły ją dreszcze, i smutno wyła do księżyca.

— Pójdiesz ty stąd! Ja ci dam!...

Postołowski nachylił się do ziemi, jakby miał zamiar podnieść jakiś kij, ale Żuczka nie odchodziła. Przestała jednak skowyczeć i odwróciła do niego pysk. W świetle księżyca dokładnie widział całą jej nienaturalnie wygiętą sylwetkę i wydawało mu się, że w oku psa tli się głęboki, prawie ludzki smutek.

Żuczka powoli obróciła łeb w jedną, potem w drugą stronę, jakby jeszcze raz próbowała odnaleźć w ostrym nocnym powietrzu coś, co utraciła na zawsze, i cicho się oddaliła.

XXII

Przyjęcia w ambulatorium dobiegały końca. Jako ostatni wszedł do gabinetu mirab* ze swym dwunastoletnim synem. Ostrożnie zamknął drzwi i z szacunkiem się uklonił.

— Salam alejkum!

— Alejkum salam — odpowiedział Postołowski i momentalnie się zachmurzył.

Mirab już drugi miesiąc naprzykrzał mu się ze swym synem, u którego oprócz anemii po nawrocie malarii doktor absolutnie nic nie stwierdzał. Ale chłopiec ubzdurał sobie, że gdy usnął kiedyś przy pasaniu krów nad brzegiem Kara-Darii, do ust weszła mu żmija; zawędrowała do brzucha i tam się na dobre zagnieździła. I oto dla chłopca skończyło się życie. Od tego właśnie dnia — jak zapewnia ojciec — mały zaczął chudnąć i niknąć w oczach.

Rzeczywiście, ilekroć chłopiec przychodził do ośrodka, jego wygląd zawsze budził litość. Chłopiec nic prawie nie jadł i żadne preparaty arsenu i żelaza, które przepisywał doktor, nie pomagały. „Bo syn — mówił ojciec — nie jest chory, jego nic nie boli, tylko ta żmija, co zagnieździła się w brzuchu, ssie go i nie daje spokoju. Czy nie można by jej stamtąd jakoś wypędzić albo zabić?”

Doktor długo i cierpliwie przekonywał ojca, że to zwykłe złudzenie i żadnej żmii w brzuchu nie ma, ale na próżno. Mirab rozkładał ręce

Mirab (uzb.) — pracownik odpowiedzialny za rozdział wody z aryków.

i z rezygnacją opuszczał je na kolana. Na chłopcu słowa doktora nie robiły żadnego wrażenia. Słuchał w milczeniu, wlepiając swe wielkie, czarne oczy w ziemię, a kiedy Postołowskiemu zaczynało się wydawać, że już przełamał chorobliwą psychozę — chłopiec ciężko wzdychał i pokazywał palcem na brzuch:

— Iłan bar. *

Lekarza zaczynała drażnić nie tyle strata czasu i energii, których już tyle poświęcił dla małego pacjenta, co bezsilność wobec niezwykłego maniaka. Ale nie miał serca go przepędzić, gdyż chłopca należało traktować jak chorego. Możliwe, że była to psychoza na tle malarii, jaką zaobserwował kiedyś u starej Uzbeczki. Ale co zrobić z chłopcem? Jakim sposobem wybić mu z głowy te dziwne urojenie? Psychiatria radzi w takich przypadkach nie tolerować manii chorego i rozwiewać ją różnymi sposobami. Ale jak tu ją rozwiązać, kiedy wszystkie słowa trafiają w próżnię?

I oto podczas ostatniej wizyty, gdy mirab przyprowadził swego syna po raz piąty czy szósty z nikłą już nadzieją otrzymania pomocy, doktorowi zaświtała pewna myśl. Wyjął z szafki czerwony streptocid, podszedł do wycieńczonego, zobojętniałego na wszystko oprócz urojonej żmii chłopca i powiedział: „Jeśli rzeczywiście weszła ci do brzucha żmija, to połknij te lekarstwa — one zabiją żmiję. Uważaj, jak będziesz robił siusiu: jeżeli zobaczysz czerwony kolor, to znaczy, że żmija zabita i wychodzi z ciebie jej krew. Zrozumiałeś?”

Iłan bar (uzb.) — jest żmija.

Pomysł doktora opierał się na prostym założeniu, że czerwony streptocid silnie zabarwi mocz, co powinno wywrzeć na chłopcu wrażenie i wyleczyć go z jego manii.

Mały bez przekonania, ale posłusznie wziął leki w drobniutką dłoń i schował za pazuchę.

Dzisiaj młody maniak sprawiał zupełnie inne wrażenie: był weselszy, wstydliwie się uśmiechał, a nawet, jak wydało się doktorowi, trochę się poprawił na twarzy. Usiadł na stołku naprzeciw lekarza i uroczyście oświadczył:

— Iłan jok! *

A stojący za nim mirab z wdzięcznością spoglądał na lekarza, kiwał głową i szeptał:

— Jachszy! Dżuda jachszy! Rachmet!... *

— Sam widziałem — ciągnął chłopak — dużo, bardzo dużo krwi wyszło: wielka żmija była!

Z ulicy przez otwarte okno doleciał warkot motoru i po chwili ucichł. Siostra Taskira wstała z łękiem od stołu i rzuciła się do okna.

— Panie doktorze, do nas! Prawdopodobnie Chodżajew, komisja... — powiedziała szeptem i zbladła. Taskira była w niedzielę w mieście i już zdążyła się nasłuchać różnych bajek o nowym kierowniku wydziału zdrowia.

W chwili gdy doktor pisał adnotację w karcie choroby, drzwi się otworzyły i do gabinetu sprężystym, zdecydowanym krokiem wszedł mężczyzna w zwykłej płóciennej marynarce i takich samych spodniach oraz kaszkiecie. Za nim weszła doktor Pisoczkina, pociągając jak zwykle nosem.

Iłan jok! (uzb.) — żmii nie ma!

Jachszy! Dżuda jachszy! Rachmet! (uzb.) — Dobrze, bardzo dobrze, dziękuję.

— Poznajmy się, kolego. Jestem nowym kierownikiem wydziału zdrowia — z ledwie zauważalnym wschodnim akcentem powiedział Chodźajew, zdjął czapkę i podał Postołowskiemu dużą, mocną dłoń. — A to zapewne... — obrócił się do siostry Taskiry, która stała nieruchomo i z wrażenia zrobiła się czerwona jak piwonia.

— Siostra Taskira — przedstawił Postołowski swą zupełnie onieśmiałą pomocnicę. — Siostra prowadzi również punkt zapobiegania i leczenia chorób tropikalnych.

— Czyli rozwija profilaktykę? Dobrze! To bardzo ważna sprawa! — powiedział z uśmiechem Chodźajew, ściskając drobniutką rękę Taskiry, którą ta niezdecydowanie i jakoś nieśmiało podała groźnemu kierownikowi.

Siostra spodziewała się hucznej pompy, najazdu wielkiej komisji, całego zastępu lekarzy i sekretarzy; gdy zamiast tego zobaczyła nie tak znowu groźnego mężczyznę w towarzystwie tylko jednej, znajomej już doktor Pisoczki, tak się spieszyła, że na powitanie gościa ni stąd, ni zowąd wycedziła „dziękuję” i jeszcze bardziej poczerwieniała.

— Wizytuję rejony, chcę się przekonać, jak wyglądają w tym roku przygotowania do kampanii zbioru bawełny — zaczął Chodźajew.

Usiadł na krześle, które mu skwapliwie podsunęła doktor Pisoczki, podziękował jej i ciągnął dalej, jakby informował dawnego znajomego:

— Sierpień za pasem, rozpoczyna się zbiór bawełny, kiedy to notuje się najwięcej przypadków malarii...

Postołowski słuchał nowego zwierzchnika

i uważnie przyglądał się jego twarzy. Rzeczywiście była surowa: szeroki, lekko wysunięty do przodu podbródek świadczył o energii i stanowczości; dwie głębokie zmarszczki, biegnące od nosa do kącików ust, i zaciśnięte wargi były oznaką niezależnego i stanowczego charakteru; czarne, gęste, nachmurzone brwi potwierdzały ogólne wrażenie surowego, a może nawet gwałtownego usposobienia. Tylko czarne oczy, osadzone trochę w głębi, wydawały się doktorowi łagodne i dość wesołe.

„Prawdziwy komunista! — przemknęło Postołowskiemu przez myśl. — Tacy ludzie, mimo dzielących ich zewnętrznych cech narodowych, są wszędzie jednakowi. I w Uzbekistanie, i na Ukrainie, i w Rosji”.

— Pani Mario — zwrócił się Chodźajew do doktor Pisoczki — może przejrzy pani dzienniki rozdziału atebryny oraz sprawozdania bonifikatorów, a my w tym czasie trochę porozmawiamy.

Gdy Chodźajew odwrócił swą uwagę od siostry Taskiry, otrząsnęła się ona ze zmieszania i wydobyła z szuflady dzienniki. Doktor Pisoczka pochyliła nisko głowę i z zapalem zaczęła przeglądać kolejne stronic.

— A co to za chory? — zwrócił Chodźajew uwagę na chłopca, który ciągle jeszcze stał z ojcem w gabinecie, gdzie zatrzymało go przybycie nieznanego kierownika.

— Ten chory to ciekawy przypadek może nie tyle choroby, co efektu oryginalnego leczenia — uśmiechając się powiedział Postołowski.

— Proszę opowiedzieć — zainteresował się gość i przysunął do stołu.

Postołowski w skrócie zreferował historię ze „żmiją”. Kiedy Chodźajew usłyszał o czerwonym streptocidzie i „krwi żmii”, w jego oczach zabłyśły wesołe ogniki, a kąciki ust uniosły do góry, odsłaniając równy rząd białych, zdrowych zębów.

— Szarlataneria? — uśmiechając się pod nosem powiedział Postołowski, gdyż zdążył w przeciągu tych kilku minut wizyty nabrać pewności siebie i rozmawiał z Chodźajewem jak lekarz z lekarzem, a nie jak z groźnym zwierzchnikiem.

— Ależ skąd! — zaprzeczył Chodźajew. — Psychoterapia. Podejrzewam bardzo ciekawy objaw psychozy na tle malarii — *idée fixe*. To się zdarza. A jeśli chodzi o czerwony streptocid... — Chodźajew uśmiechnął się. — Nie jestem psychiatrą i nie podjąłbym się leczenia chorób psychicznych. Jednak uważam, że nie ma co potępiać tego czy innego sposobu, jeśli daje dobre rezultaty. Streptocid — niech będzie streptocid! Chociaż wycofaliśmy czerwony z użycia, powiem szczerze: podoba mi się, że kolega eksperymentuje, szuka metod, ryzykuje. Jestem pewien, że wielu z nas grzesznych, a może nawet i nasza przemiła doktor Maria — po prostu przepędziłoby chłopca z ambulatorium: nie zawracaj nam, że tak powiem, głowy swoimi urojeniami i nie przeszkadzaj w pracy! I basta! Nieprawdaż, pani doktor? — odwrócił się ze śmiechem do Pisoczki i nie czekając na odpowiedź dodał: — Bezsprzecznie przepędzilibyśmy! A to przecież choroba.

I zwrócił się do chłopca po uzbecku:

— To nie ma już, powiadasz, żmii w brzuchu?

— Nie, teraz już nie ma — poważnie i z przekonaniem odpowiedział chłopak.

— No to świetnie! — poklepał go po plecach. — Podziękuj panu doktorowi i idź do domu.

Mirab kłaniając się z wdzięcznością wyszedł, a Chodźajew od razu zagłębił się w lekturze dziennika ambulatoryjnego. Przeglądał rubryki z diagnozami i opisem metod leczenia.

— Kiedy do was szedłem, zobaczyłem młody sad. Kto go sadił? — zapytał z ciekawością, odrywając na chwilę oczy od dziennika.

— My sami. Własnymi siłami.

— Wspaniale, wspaniale! — pochwalił i powrócił do dziennika. Ale po chwili znów podniósł głowę i zapytał:

— A cegła i drewno na podwórku to pewnie na remont? Achmetdżanow pomógł?

— Nie, to materiał kolchoźników z dwóch gromad. Budujemy izbę porodową w ramach zobowiązań społecznych.

— Podjęliście zobowiązanie? — powtórzył ze zdumieniem i jednocześnie z podziwem. — Ależ to wspaniale! I jest uchwała?

— Jest — odpowiedział Postołowski, leciutko się uśmiechając.

Chodźajew uśmiechnął się również.

— Uchwała to wielkie słowo. U nas, w Uzbekistanie, najważniejsza rzecz, by była „kagas bar” — papier dla wielu ludzi ma niekiedy wręcz hipnotyzującą siłę, chociaż u nas też potrafią przeciągać sprawę i zwlekać. Wielcy specjaliści od zwlekania! — zaśmiał się z błyskiem wesołych iskierek w oczach. — Ale proszę opowiedzieć, jak się to koledze udało?

Postołowski krótko opowiedział, jak przefor-

sował uchwałę w sprawie budowy izby porodowej na posiedzeniu zarządu kołchozu, jak niespodziewanie znalazł poparcie ze strony Naziry Babadżanowej, i Chodżajew aż podskoczył na krześle.

— Oddział położniczy czy, jak pan to nazwał, „izba porodowa” w kyszłaku to nowość w Uzbekistanie! Czy kolega pisał o tym do gazety?

— Nie, ze mnie kiepski dziennikarz.

— Rozumiem — kiwnął głową Chodżajew — skromność nie pozwala koledze pisać o sobie. Ale bywają takie sprawy, gdy skromność jest przesadą, gdy trzeba się jej wyzbyć... W porządku! Ja sam napiszę o tym i do gazet republikańskich, i do „Pracownika Służby Zdrowia”. — I znowu się pochylił nad stronicami dziennika.

Przy drugim stole Taskira szeptem wyjaśniała różne sprawy doktor Pisoczkinie. W pewnym momencie niezdecydowanie odwróciła głowę do Postołowskiego.

— Potrzebny nam jest dziennik malarii, panie doktorze.

— A ja chciałbym jeszcze zajrzeć do dziennika zwolnień — wtrącił Chodżajew.

— Są u mnie w domu; wczoraj robiłem miesięczne sprawozdanie i zabrałem ze sobą. — Postołowski kiwnął głową do Taskiry: — Może siostra zechce je przynieść. Leżą na moim biurku po prawej stronie.

Po kilku minutach pielęgniarka przyniosła dzienniki, ale Chodżajew nie zdążył nawet przejrzeć pierwszej strony, gdy w drzwiach zjawiła się żona Postołowskiego.

— Dlaczegoż to, Aleksandrze, nie zapraszasz gości? Obiad już stygnie.

— Poznajcie się, proszę, moja żona — zwrócił się Postołowski do Chodźajewa, mimo woli dziwiąc się w duchu, kiedy to Nina zdążyła się dowiedzieć o przyjeździe gości, przebrać, a nawet podmalować trochę usta.

— Kto jak kto, ale pani doktor powinna się ucieszyć z zaproszenia — zażartował Chodźajew, dobrodusznie uśmiechając się do Pisoczki. — Od szóstej rano morzę ją głodem. Byliśmy już w dwóch ośrodkach i trzech punktach felczer-skich.

— No to wspaniale! — uśmiechnęła się Nina, z ciekawością i jednocześnie dyskretnie przyglądając się twarzy Chodźajewa. — Ale proszę wybaczyć: obiad będzie bardzo skromny, tutaj trudno coś dostać.

— No cóż! Jeśli gospodyni zaprasza, to trzeba ustąpić — Chodźajew zamknął dziennik, wziął czapkę i ruszył za Niną.

Żuczka już była na podwórku i czekała tylko, aż stary Izmań zamknie drzwi ambulatorium. Zjawienie się tu obcych ludzi, którzy szli sobie śmiało jak u siebie w domu, nie zwracając na nią uwagi, zmusiło ją do czujności. Zbita z tropu, nastroszyła uszy, ale widząc, że idą razem z doktorem, uspokoiła się. Popatrzyła uważnie na Chodźajewa, wciągnęła powietrze w nozdrza i pojąwszy po swojemu ważność obcego mężczyzny i jego prawo do swobodnego poruszania się po podwórku o niewłaściwej porze, opuściła ogon, obejrzała się i poszła swoją drogą.

W pobliżu drzwi do kuchni stała przy misce z resztkami jedzenia matka doktora i ze smutkiem spoglądała za Żuczką.

— Kogo to babunia karmi? — zapytał grzecz-

nie Chodźajew. — Nie widzę jakoś ani gęsi, ani kaczek.

— Nie, to dla psa, ale nie wiadomo czemu już trzeci dzień nic nie chce jeść.

Nina na widok psiej miski jęknęła w duchu. „Naumyślnie! Na pewno ta stara jędza wystawiła ją z kuchni naumyślnie” — powiedziała do siebie i by teściowa nie skompromitowała ich jeszcze jakimś prostackim odezwaniem się, szybkim krokiem podeszła do drzwi. Jednak Chodźajew zatrzymał się i pytająco popatrzył na Postołowskiego.

— Moja matka — powiedział Aleksander, który w tym momencie również krzywym okiem patrzył na miskę.

Chodźajew uklonił się i z szacunkiem uścisnął suchą, kościstą rękę, którą staruszka przed podaniem gościowi na wszelki wypadek wytarła jeszcze o fartuch.

Gość spodobał się babci Postołowskiej. Wiedziała już od synowej, że do Olka przyjechała władza zwierzchnia z obwodu. Choć była jeszcze słaba i niezdolna do wysiłku, zatroszczyła się jak mogła o kuchnię, by przełożeni syna byli zadowoleni. Naczelnik okazał się nie takim znowu pyszałkiem, jak można się było spodziewać. Uspokoiała się na myśl, że z takim naczelnikiem wszystko pójdzie Olkowi dobrze.

Chodźajew, ujrzawszy przy oknie Bazia, który nie mógł oczu oderwać od przykrytego brezentem gazika za bramą, od razu podszedł do niego.

— No, przywitasz się ze mną?

Bazio podejrzliwie popatrzył na obcego mężczyznę o smagłej twarzy i naburmuszył się.

— A kto ty jesteś — lekarz, inżynier czy może lotnik? — przybyły kucnął przed chłopcem i podał mu swą szeroką, opaloną dłoń. — No, podaj mi łapkę!

Chłopczyk bojaźliwie spojrział na owłosioną rękę i ze strachem zapytał:

— Ty jesteś babaj? *

— Babaj? — powtórzył ze zdziwieniem Chodźajew. — Dlaczego jestem babaj?

Ale już podeszła do nich Nina, by skarcić Bazia.

— Jak ci nie wstyd? Co za wstrętne chłopczysko!... — I w obawie, żeby gość nie obraził się za „dziada”, szybko zaczęła się usprawiedliwiać:

— Wie pan, to babcia go tak straszy, kiedy nie słuca, że dziad do torby zabierze...

Nina mówiła nieprawdę: to nie teściowa, a właśnie ona groziła tak chłopcu, kiedy zanadto psocił.

Chodźajew głośno się roześmiał:

— Proszę, jaki babaj do was przyjechał!... — I chwycił Bazia na ręce. — Tak, masz rację, ja jestem babaj! Bardzo zły babaj! Wszystkie dzieci, które nie słuchają babci i mamy, wsadzam do samochodu i zabieram ze sobą.

— Mnie też! — poprosił Bazio, któremu zaczął się podobać wesoły, dziwny „babaj”, ale matka pociągnęła go i zaprowadziła na podwórko, pod opiekę siostry Taskiry, by nie przeszkadzał podczas obiadu.

Kiedy zasiedli do stołu, Nina naląła wszystkim zupę i raz po raz zachęcała Chodźajewa do

Babaj (uzb.) — dziad.

jedzenia, pozostawiając pieczę nad Pisoczkiną mężowi i teściowej.

Staruszcze zrobiło się żal, że nie jej przypadła rola częstowania tak miłego gościa. Jednak, siedząc koło niego, skrętnie wykorzystywała niewielkie możliwości, jakie jej zostały, i troskliwie podsuwała mu to chleb, to sól, a kiedy uświadomiła sobie, że jest Uzbekiem i zapewne, jak wszyscy jego rodacy, lubi potrawy pieprzne, szybkoitko poszła do kuchni po pieprz. Nawet się ożywiła i rozgadała przy gościu, aż Nina kilka razy próbowała swoim butem znaleźć pod stołem stare kapcie teściowej, by dać jej znak, żeby głupstwami nie przeszkadzała gościowi w jedzeniu. Ale na przeszkodzie stały nogi Chodźajewa siedzącego naprzeciw, więc z kipiącą, ale bezsilną złością słuchała, jak teściowa, zominając o swoim miejscu w towarzystwie, bez skrępowania wypytywała Chodźajewa:

— A czy jadł pan kiedy nasz barszcz ukraiński?

Aby oderwać uwagę gościa od natrętnej teściowej, Nina, mimo że miał pełny talerz, wyciągnęła rękę i ujmująco się uśmiechnęła:

— Może jeszcze panu dolać?

— Nie, nie, na razie dziękuję — odpowiedział odruchowo i znów zwrócił się do staruszki:

— W restauracjach niekiedy podają. Bardzo mi smakuje barszcz ukraiński.

— O-o, w restauracjach! — babcia machnęła ręką. — Czy to tam potrafią ugotować? Czy to jest barszcz?!... Jeśli kiedyś będzie się pan do nas wybierał, to niech pan uprzedzi, tylko żebym czerwonych buraków gdzieś dostała, bo bez buraków to nie jest barszcz. Wtedy poczęstuję

pana prawdziwym barszczem! I pierogami z serem i śmietaną. Bo w tych restauracjach to co? Tylko pieniądze biorą!

— Jak widzę, pani mnie chce po prostu utuczyć! A dlaczego sama pani nic nie je? Powinna pani dużo jeść — proszę tylko popatrzeć na siebie.

— Ja nie mogę...

— Dlaczego? — zdziwił się gość.

— Trudno mi przełykać.

— A mówiła pani o tym synowi? — spojrzał na nią z uwagą.

Staruszka wytarła czubkiem palca ślinę, która zebrała się w kącikach ust, i przecząco pokręciła głową.

— Nie. Syn i tak ma dosyć kłopotów...

— Jak to? Ma pani syna lekarza i...

— Ostatnio mi się trochę poprawiło, ale teraz znów... Dawniej to tylko twardego nie mogłam jeść, a teraz to i kaszę ledwo przełykam. Za to wodę wypiłabym chyba ze wszystkich studni...

— Takie silne pragnienie? — zdziwił się Chodźajew, przerwał jedzenie i cały obrócił się do rozmówczynie.

— O tak, tak, czasem tak chce się pić...

Nina nie wytrzymała:

— Niech babcia nie przeszkadza gościowi jeść. Może przyniosłaby babcia drugie danie.

— Chwileczkę — opryskliwie przerwał jej Chodźajew, unosząc rękę nad stołem, i znowu zwrócił się do staruszki:

— Niech pani powie, czy boli panią, kiedy pani je? — i uważnie zaczął się przyglądać jej twarzy, rękoma i całej żalostnej, wychudzonej postaci.

— Teraz boli.

— A gdzie?

— Tutaj — staruszka dotknęła palcem górnej części klatki piersiowej.

— A jak dawno to się zaczęło?

— Chyba już z pół roku temu, a może i trochę więcej.

Twarz gościa zachmurzyła się, gęste brwi zbiegły się nad nosem i powstała między nimi głęboka, surowa zmarszczka.

Nina, która przez cały czas nie spuszczała z Chodźajewa oczu, widząc tę nagłą zmianę zmartwiła się, czy teściowa nie palnęła czasem z głupoty czegoś takiego, co obraziło gościa. Ona przecież jest taka nietaktowna!

Postołowski chciał również porozmawiać z Chodźajewem, ale uniemożliwiła mu to jego sąsiadka Pisoczkina, która drobiazgowo wypytywała go o ostatni przypadek śpiączki malarycznej w miejscowym kyszłaku. Odpowiadając jej zauważył tylko, że Chodźajew coś za długo rozmawia z matką. Gdy Pisoczkina wyczerpała wreszcie wszystkie pytania i zabrała się do zupy, usłyszał ostatnie słowa:

— Dobrze, proszę pani, jeszcze o tym porozmawiamy po obiedzie.

— A o czym to państwo rozmawiają? — wtrącił się.

Chodźajew rzucił na niego krótkie, pytające spojrzenie.

— Czy pan nie słyszał, co przed chwilą powiedziała pańska matka?

— Nie. A o co chodzi? — zdziwił się, gdyż nie rozumiał powodu gwałtownej zmiany, jaka zaszła na twarzy Chodźajewa. Ten westchnął i —

jak wydało się Postołówskiemu — popatrzył na niego z lekceważeniem. Potem zwrócił się do matki:

— Może pani zechce powtórzyć swoje skargi.

Nina przy słowie „skargi” popatrzyła na teściową z nienawiścią i przeniosła oburzony wzrok na męża, jakby chciała powiedzieć: „A cóż to za zuchwałość!”

Postołowski, nic nie rozumiejąc, patrzył na matkę ze zdziwieniem. Pisoczkińska odsunęła od siebie pusty talerz i skierowała nos w stronę Chodźajewa.

Matka widząc, że raptem stała się ośrodkiem zainteresowania, przestraszyła się i tak spieszyła, że raczej wolałaby żywcem położyć się do trumny niż powtórzyć wszystko to, co tak nierozważnie wypaplała gościowi. Synowa patrzyła na nią z nieukrywaną wrogością i odrazą.

— Ależ ja... ależ ja nic takiego nie powiedziałam...

I znowu zaczęła wycierać ślinę z ust, która dzisiaj jak na złość ciągle jej się zbierała na wargach.

— Niech babcia wreszcie powie, jeśli już zaczęła! — powiedziała Nina tonem sędziego, który wyrobił sobie o złoczyńcy nieomylny sąd i przygotował mu odpowiedni wyrok.

Chodźajew pytająco popatrzył na Ninę, następnie na Postołowskiego, westchnął i widocznie domyślając się, jaka jest pozycja matki w tej rodzinie, powiedział cicho:

— Dobrze. Pomówimy o tym później.

Dalsza część obiadu minęła w atmosferze prawie przygnębiającej. Chodźajew stał się milczący i więcej dłużał widelcem w talerzu, niż jadł.

Postołowski, chcąc jakoś przerwać nieprzyjemne milczenie, zaczął głośno opowiadać Pisoczkinie o drugim wypadku malarycznej śpiączki, ale ta słuchała nieuważnie i czujnie poruszała nozdrzami; nawet Ninie, mimo całej umiejętności i starań, nie udało się zachować pozorów, że nic szczególnego się nie wydarzyło.

Wstając od stołu, Chodźajew sucho podziękował Ninie za obiad, od razu wziął Postołowskiego pod rękę i poprowadził go w kąt pokoju.

— Czy kolega nigdy nie badał swej matki?

Postołowski nie oczekiwał takiego pytania i na moment wstrzymał się z odpowiedzią.

— Ja pana rozumiem; my, lekarze, lecząc innych nie zwracamy uwagi na własne dolegliwości i choroby naszych bliskich. Często nawet świadomie unikamy leczenia swych krewnych, szczególnie jeśli podejrzewamy coś poważnego, ale jednak... Czy pańska matka nigdy się nie skarżyła na swoje dolegliwości? Czy kolega sam nie zauważył, że z nią jest coś nie w porządku?

— Właściwie to często stwierdzałem u matki nawroty malarii, które według mnie powodowały ostrą anemię... — niezdecydowanie, jakby się usprawiedliwiając, zaczął Postołowski, wciąż jeszcze nie rozumiejąc, do czego tamten zmierza, ale Chodźajew mu przerwał:

— Tak, tak, rzeczywiście... To także jest możliwe. Może porozmawiamy jednak z matką.

Doktor, oszołomiony i zaskoczony, podszedł z Chodźajewem do matki, która sprzątała ze stołu, i z trwogą popatrzył na nią. Po raz pierwszy tak jaskrawo rzuciła mu się w oczy jej straszna chudość. Ze zdziwieniem, jakby mu

ktoś zamienił normalny obraz matki, oglądał jej kościste, żółte jak wosk ręce, pomarszczoną szyję, ziemiste policzki.

Matka słysząc, że znów o niej mówią, uśmiechnęła się, ale jej uśmiech był tak żalospny, jakby za chwilę miała się rozplakać. To wrażenie pogłębiał jeszcze fakt, że ciągle podnosiła do ust rękę i wycierała wilgotne wargi...

— Co ci jest, mammo? — spytał cicho, wyczuwając bardziej jako syn aniżeli jako lekarz, że matka rzeczywiście źle się czuje.

— Czemuś, sama nie wiem, cały czas leci mi ślina z ust... Po prostu aż nijako! — powiedziała pospiesznie, by jej więcej nie pytano, ale Chodźajew uchwycił ten moment i szeptem zauważył:

— To również jeden z symptomów.... — I do staruszki głośno: — Proszę powiedzieć, czy występują zaparcia?

Łagodny głos i dobroduszne, serdeczne spojrzenie zwierzchnika Olka zachęcały ją do odpowiedzi.

— Tak, bywają! — aż poweselała, jakby się ucieszyła, że ma zaparcia, o które dopytuje się taki życzliwy gość. — Zdarza się, że dwa i trzy dni...

— Jeszcze jeden objaw — spojrzał znacząco na Postołowskiego.

— Proszę jeszcze raz pokazać miejsce, gdzie boli podczas przełykania — zwrócił się powtórnie do staruszki.

Babcia skwapliwie rozchyliła sukienkę przy kołnierzyku i pokazała na mostek, który wyraźnie rysował się pod cienką, suchą skórą.

— Tutaj.

Chodźajew postukał we wskazane miejsce zgiętym palcem.

— Boli? — spytał.

— Boli... — cicho odpowiedziała matka.

— A teraz — kontynuował — gdy do tego dodamy jeszcze trudności w połykaniu, ból za mostkiem, następnie pragnienie, ślinotok i wreszcie ogólny stan wyniszczenia...

— Co pan podejrzewa? — spytał szeptem bladej Postołowski, już domyślając się diagnozy, i strach chwycił go za gardło.

— Czy koledze nie przychodzi na myśl w tym przypadku... — Zniżył głos, odprowadził go trochę na bok i cicho dokończył — możliwość istnienia *carcinoma oesophagi*?

Postołowskiemu zaparło dech; szeroko otwartymi, pełnymi przerażenia oczami patrzył na Chodźajewa. Ten wziął go delikatnie pod rękę i obaj bez słowa przeszli do gabinetu.

Kilka chwil stali w milczeniu. Patrząc w zamysłeniu w okno i starając się opanować wzburzenie Chodźajew mówił:

— Naturalnie, dopóki nie posiadamy rentgenogramów, nie zrobiliśmy sondowania, nie możemy wyciągać ostatecznych wniosków. Jest to tylko hipoteza, jeden z wariantów... Ponadto trzeba by wykluczyć możliwość czynnościowego nieżytu przełyku, możliwość nowotworu klatki piersiowej czy nawet tętniaka aorty... Ale kolega rozumie... — popatrzył współczująco na Postołowskiego i przytłumionym głosem dokończył: — objawy bardzo wyraźne...

Gdyby to był ktoś inny, a nie jego matka, byłoby mu przykro, że chorobę rozpoznał nie on, a inny lekarz, byłoby mu nieprzyjemnie i wstyd przed zwierchnikiem, że przeoczył u chorej raka, gdy symptomy były tak wyraźne, iż przypadek można by nazwać „klasycznym”, łatwym do rozpoznania nawet dla niedoświadczonego studenta medycyny. Ale to była jego matka, matka, która z nim mieszkała, którą widział codziennie, matka, która na jego oczach mizerniała, więdła, gasła. A on nic nie zauważył! Nie zauważył — i jako lekarz, i jako syn... Jak to się mogło stać?...

W pamięci odżyło wspomnienie, jak matka nie tak dawno wymawiała się od kiełbasy, po skosztowaniu której zrobiło się jej niedobrze, przypomniał sobie jeszcze wiele innych szczegółów, które dawniej mechanicznie notował w pamięci, nie przywiązując do nich szczególnej wagi, a teraz dopiero wszystkie z nieubłaganym obiektywizmem potwierdzały rozpoznanie.

Jak to się mogło stać?

Wszystko, co się teraz działo wokół niego, było przysłonięte jakby gęstą zasłoną. Słyszał, jak Chodżajew mówił, iż trzeba możliwie szybko zrobić rentgenografię klatki piersiowej, jak raźnił mu niezwłocznie wziąć urlop; uświadomił sobie, że o chorobie wiedzą już inni, bo Pisoczkina namawiała matkę, aby pojechała nazajutrz do rejonu, i nawet obiecała przysłać podwodę ze stacji tropikalnej; słyszał, jak żona szeptem pytała Pisoczkinę: „Czy to nie jest zakaźne?” Ale wszystko to przyjmował obojętnie, jakby odbywało się gdzieś na scenie w jakimś wstrząsającym dramacie, w którym on już odegrał

swoją rolę, podczas gdy inni jeszcze nadal grali.

Do jego mózgu docierały słowa, ale nie rozumiał ich znaczenia i niedbale odsuwał je na bok, bo w jego myślach utkwilo nagie, straszne w swej prawdzie stwierdzenie: matka jest chora na raka przełyku, jedną z najcięższych, a w stadium późniejszym beznadziejną postać raka.

I znów uporczywie stawało przed nim pytanie, na które nie mógł znaleźć odpowiedzi: jak to się mogło stać?

XXIII

Pościelono mu w gabinecie, jak o to prosił, ale nie mógł zasnąć. Za parawanem spała, a może udawała, że śpi, jego matka. Wyteżał słuch, by usłyszeć oddech, lecz za parawanem było cicho.

Matka pożyje jeszcze pewien czas, dwa-trzy miesiące, może pół roku, a może i dłużej, jest jednak skazana na śmierć. W jej organizmie powoli, ale nieustannie toczy się przerażający proces, którego nic prócz użytego w porę noża chirurgicznego nie jest w stanie powstrzymać. Ale tylko w porę!... Rak przełyku w pierwszym stadium choroby nie jest odczuwalny, a pierwsze objawy, pierwsze skargi chorego pojawiają się zwykle dopiero wtedy, kiedy choroba zajdzie już za daleko. Matka nigdy się nie skarżyła, a dzisiaj nawet nie zapytała, jaką chorobę u niej wykryli. Doktor starał się opanować, zachować przy matce spokój i równowagę, ale kiepsko mu się to udawało.

Kiedy mogła się zacząć u matki ta podstępna, nieubłagana choroba? Próbował sobie przypomnieć, w jakim okresie matka zaczęła chudnąć, kiedy zmienił się jej nastrój, kiedy wreszcie stała się smutna, milcząca, ale zdawało mu się, że przez cały czas, odkąd ją wziął do siebie, była stale taka sama: chuda, milcząca i zafrasowana. Tylko że dzisiaj stanęło między nią a nim coś takiego, co wyraźnie ją odgraniczało od wszystkiego, co żyje i żyć będzie dalej. To „coś” jak żywa, trzecia istota było teraz tu, w pokoju, niewidzialne, przyczaiło się za parawanem koło jej łóżka i cicho usuwało spośród żywych jego smutną, pokorną matkę. To „coś” wniosło do domu atmosferę nieodwracalnego nieszczęścia, niechybnej śmierci; nawet Nina wyraźnie się zmieniła: zaczęła rozmawiać szeptem, ukradkiem i ze strachem spoglądała na teściową, litościwie wzdychała i nie pozwalała jej nic robić. Sama posłała łóżko, starannie wytrzepała materac i poduszki i zupełnie się nie zdziwiła, gdy Aleksander poprosił ją, żeby mu posłała w gabinecie. Ale właśnie ta gorliwość i chęć przysłużenia się teściowej, którą Nina przejawiała teraz w najmniejszych drobiazgach, utrwalała w Postołowskim przekonanie, że jest już po wszystkim, że matka już umiera, a żona spieszy jedynie z odprawieniem jej przyzwoicie w ostatnią drogę... Drażniło go to i kiedy Nina przechodziła obok niego, starał się nie patrzeć jej w oczy.

Tak, matka na nic się nie skarżyła. Nigdy nie narzekała na swe życie. A kiedy los, który nie wiadomo czemu jednych hołubi, a innych nie-

sprawiedliwie omija, zsyłał jej nowe nieszczęścia, nowe klęski, matka mówiła tylko: „Tak było sądzone”, „Nie tak się stało, jak się myślało”. I z zadziwiającą pokorą dźwigała dalej swe nieszczęścia, swą miłość, swe złamane życie.

Prawdopodobnie i dzisiaj, gdyby doktor zdołał jej powiedzieć prawdę, obiektywnie przedstawić beznadziejność jej sytuacji, westchnęłaby tylko i powiedziała: „Tak było sądzone...”

Ojcu sądzone było umrzeć wcześniej, gdy Aleksander i jego starszy brat Kostek byli jeszcze dziećmi. Po ojcu pozostały tylko myśliwska strzelba renomowanej belgijskiej firmy, rasowe psy, rower, trochę odzieży przesiąkniętej naftaliną i jakieś meble. Była jeszcze stara krowa, którą bodaj że matka wniosła w posagu do wspólnego gospodarstwa. I to wszystko. Niebawem synowie wybrali się na studia. Starszy wyjechał do Kijowa, a młodszy wywędrował aż do Moskwy. I matka pozostała sama. Nie tak się stało, jak się myślało! Nie myślała, że mając dzieci, synów, będzie musiała w samotności wieku swego dożywać. Również nie mieściło się jej w głowie, dlaczego po tę naukę trzeba jechać aż na kraj świata. Czyż nie można się uczyć jeśli nie w Perejasławiu, to w Rżyszczewie albo Kaniowie, a chociażby i w Połtawie? Jednak nie miała tego synom za złe i stopniowo wyprzedawała rzeczy, by co miesiąc wysyłać im pieniądze.

Tak bezsensownie i niespodziewanie, kiedy był już na drugim roku weterynarii, zmarł Kostek wskutek pęknięcia wyrostka robaczkowego. Matka i to zniosła. Wtedy cała jej miłość, wszystko, co ją jeszcze łączyło ze światem, skupiło

się na Olku, który nadal studiował. Dwa czy trzy razy w ciągu całych studiów Aleksander zajrzał do matki, do tego starego Perejasławia, który drzemał sobie spokojnie, po staroświecku, między Altą a Trubieżem. Ale student nie mógł długo usiedzieć w tych beznadziejnych nudach. Rwał się z powrotem do gwarnej, kipiącej życiem Moskwy, do ulic i placów, muzeów i bibliotek, stadionów i teatrów, do tej olbrzymiej metropolii, której był już — w swoim mniemaniu — małą komórką. I matka go nie zatrzymywała. Życie syna wchodziło na szerokie szlaki i nie miał po co siedzieć wśród łopianów i pokrzyw perejasławskich zaułków. Ledwo się zjawił, zaraz wyjeżdżał, a matka znowu zostawała na perejasławskim przedmieściu sama...

Wiedział, że wszystko, co można było z domu sprzedać, było już dawno sprzedane, a właściwie to i domu już nie było, bo matka nawpuszczała tam lokatorów, zostawiając sobie tylko jakąś kłitkę. I stale posyłała mu pieniądze, chociaż otrzymywał stypendium, a on brał je bez zastanowienia, jakby mu się za coś należały.

Po ukończeniu medycyny przyjechał do matki na trzy dni, by prosto stamtąd udać się na pierwszą posadę. Przyjechał sam, bez żony, i matka nie zobaczyła synowej, choć bardzo tego pragnęła. Wprawdzie Nina chętnie zajrzałaby na „prowincję”, żeby namalować coś, gdyby się trafił jakiś ciekawy temat, ale wstydził się pokazywać żonie ze stolicy matczyną biedę i całą tę perejasławską starzyznę.

Dopiero wtedy dowiedział się, że matka chodziła po ludziach prac bieliznę, bielić ściany i myć podłogi. Na wiosnę jak wyrobница kopała

w ogrodach, a zimą nawet rąbała drwa. Przypomniawszy sobie kupione za matczyne pieniądze modne żółte pantofle, welwetową bluzę i elegancką skórzaną teczkę, wspomniawszy wesołe wieczorki z winem w gronie kolegów, i od spóźnionego wstydu piekły go policzki. Ale i wówczas nie wymówił się od prezentów matki — nowej jesionki dla niego i perkalu na sukienkę dla Niny. Chociaż w głębi duszy odczuwał wstyd, od razu przymierzył palto i ku radości matki zabrał je ze sobą. Nowe palto bardzo się przydało na początku jego kariery lekarskiej, żałował tylko, że było niemodne — w Moskwie noszono wtedy już inny krój.

Perkal, by nie rumienić się przed żoną za ten skromny, ubogi prezent matki, sprzedał na pierwszym lepszym bazarze za pół ceny. Sprzedał i zapomniał o nim. Z czasem zapomniał i o palcie, jak poprzednio o modnych butach, a jeszcze wcześniej poszły w zapomnienie dziecięce zabawki, gorące matczyne pierożki z mięsem, te z dawnych, dawnych czasów jeszcze u progu życia...

Wszystko poszło w zapomnienie...

Ciężko westchnął i obrócił się na drugi bok, a gorzkie wspomnienia powracały nieustannie, bez końca.

Jak wielu innych ludzi, Aleksander od dzieciństwa przyzwyczał się do myśli, że matki zgodnie z jakimś odwiecznym niepisanym prawem powinny kochać swe dzieci, poświęcić im całe życie, odmawiać sobie wszystkiego, patrzeć im w oczy ze świętą matczyną miłością, której dzieci zazwyczaj nie cenią, która je często nuży, a nawet irytuje. Nie stanowił pod tym

względem wyjątku. Ale od dzisiaj znalazł się w wyjątkowej sytuacji. Ta wyjątkowość polegała na tym, że matki innych żyją i długo jeszcze będą żyć, a jego matka już żegna się ze światem. Żegna się właśnie wtedy, gdy wreszcie zrozumiał bezcenną wartość jej milczącej miłości. Tak wielki miał wobec niej dług do spłacenia, a ona w milczeniu, niczego nie żądając, już odchodziła. Nie sposób spłacić tego długu, nie można odjąć od siebie najlepszej części i z radością oddać ją matce. Tak jak Żuczka oddała swój kęs dużemu szczenięciu. I znowu przypomniały mu się matczyne słowa, wypowiedziane wtedy o Żuczce: „Popatrz, zabrała najlepszy kęs, który sama chętnie by zjadła!”

Tak, Żuczka zaniósła, a on? On nawet nie wiedział, czym właściwie żywi się jego biedna, chora na raka przełyku matka, podczas gdy jej potrzebna była ścisła dieta!

Coś ścisnęło go w gardle. Uniósł głowę znad poduszki i zaczął nasłuchiwać. Za parawanem było cicho. Do pokoju smętnie zaglądał późny księżyc w ostatniej kwadrze i w jego martwym, zielonkawym świetle wszystkie meble wyglądały jeszcze posępniej. Jak gdyby i meble rozumiały, że matka odgradza się już od nich i niebawem opuści ten pokój na zawsze...

Nagle na podwórzu zawyła Żuczka. Od wewnętrznego chłodu cały się wzdrygnął i wstał z łóżka. Za parawanem poruszyła się matka...

— Nie bij jej, Olku! — powiedziała cicho. — Ona tak po mnie... — I głucho dokończyła — tęskni.

Głos matki wydał mu się zupełnie inny niż zawsze, brzmiał obco, jak gdyby doleciał nie z za

parawanu, a z za tej ostatniej miedzy, której już nikt z ludzi z powrotem nie przekracza.

W gardle poruszyła się twarda grudka, a z piersi wyrывał się dziecięcy krzyk: „Mamo, mamusiu, nie umieraj!”

Z ogromnym wysiłkiem powstrzymał się od łkania i prawie wybiegł z pokoju.

Na podwórzu, w pobliżu duwału, gdzie stała skrzynka na śmieci, wyła Żuczka. Z zadartym do góry pyskiem żarliwie czyniła komuś wyrzuty, błagała i skarżyła się.

Szedł do niej szybko, a drżące wargi szepotały:

— Nie wyj, Żuczko! Nie można tak...

Gdy ukucnął przy niej, na chwilę zamilkła, popatrzyła mu smętnie w oczy, potem odwróciła łeb i znów żałośnie zaskomlała...

XXIV

Dzisiaj doktor Postołowski zajrzał do ambulatorium tylko na chwilę. Zrobił Nazirze zastrzyk z wapna (nie chciał tego zlecać siostrze Taskirze) i wrócił do domu. Odsunął skrzydła parawanu, by matce było widniej i by miała więcej powietrza. Spojrzała na niego z wdzięcznością znużonymi oczyma. Była tak słaba, że już nawet nie próbowała wstać z łóżka.

W pierwszym pokoju cichutko bawił się swoją armatką Bazio, jakby i on rozumiał, iż w domu coś się stało i nie wolno mu hałasować. Nina chodziła na palcach, szeptem rozmawiała z kimś w sieni, wychodziła na dwór. Kiedy

otwierały się drzwi, z podwórka dobiegał równomierny zgrzyt piły, dźwięczne stukanie siekier i gardłowe głosy mężczyzn. Praca przy budowie izby porodowej ruszyła wreszcie całą parą, lecz doktor nie odczuwał żadnej satysfakcji.

Ostry ból, który jak skalpel rozkroił mu serce w czasie wizyty Chodźajewa, roztopił się i osiadł na dnie niczym ciężka bryła wystudzonego metalu. Doktor był na pozór spokojny, ale wciąż zadręczał się myślami, bezsilnie czepiał się każdej iluzorycznej możliwości, która dawała nadzieję na zmianę diagnozy.

Bo rzeczywiście, czyż można wyciągać ostateczne wnioski, kiedy jeszcze nie wszystko jest wyjaśnione? Czy koniecznie musi to być rak przełyku? A może utkwilo tam jakieś obce ciało, na przykład rybia ość, którą matka niechcący połknęła. Przecież w zimie często jedli ryby... A może to jakiś niezłośliwy nowotwór klatki piersiowej, który uciska przełyk i powoduje trudności w przełykaniu. Może...

Ukradkiem spoglądał na matkę. Niestety, jej chude, woskowe ręce, wymizerowana twarz, na której marszczyła się skóra, nie pozwalały wątpić, że to nie jest zwykłe wychudzenie organizmu ani wyczerpanie w wyniku anemii, lecz aż nadto charakterystyczny obraz wyniszczenia nowotworowego.

„Załóżmy nawet — rozmyślał — że to wyniszczenie nowotworowe, przypuśćmy nawet obecność raka przełyku, czyż nie zdarzały się przypadki wyleczenia choroby poprzez operację?”

I od razu odpowiadał sobie: „Dobre rezul-

taty może dać tylko operacja wcześniej przeprowadzona, gdy przypadek rozpoznany jest w porę. A ty zaniedbałeś swoją matkę! Dla ciebie ważniejsza była twoja praca i twoje sprawy”.

Rentgen! Tylko rentgen powie prawdę obiektywnie, bezstronnie.

I oto wczoraj powiedział.

Po samych tylko ruchach lekarki rentgenologa, kiedy wyszła ze zdjęciem i obrzuciła je długim, poważnym spojrzeniem, zorientował się, że nie ma nadziei. Wskazując na kliszę lekarka cicho wyjaśniła:

— Zwężenie przełyku jest tu... Proszę zwrócić uwagę na charakterystyczny naddatek cienia i rysunek fałd błony śluzowej. — Umilkła, zagryzła wargi i szeptem dokończyła: — Przypadek wyraźnie przedawniony.

Słowa te, ledwo słyszalne, zabrzmiały jak groźny wyrok. Wyrok nie na lekarza Postołowskiego, który przegapił u pacjentki raka, ale na syna Aleksandra, który nie zauważył, jak obok niego gasło życie jego matki.

Drżącymi rękami trzymał pod światło czarną kopię tego wyroku — sztywny celuloidowy rentgenogram — i wstrzymując oddech wpatrywał się weń aż do bólu. Nie było żadnej wątpliwości. Na poziomie siódmego kręgu szyjnego przełyk wyraźnie się zwęzał, fałdy błony śluzowej urywały się.

Podobnie jak przestępca skazany na śmierć, który przed wykonaniem wyroku chwytą się nadziei na amnestię, na łaskę, tak i on uchwycił się jeszcze jednej możliwości. Nie pamiętał, czy wypowiedział to głośno, czy tylko pomyślał.

— Poparzenie przelyku daje podobny obraz! Takie samo zwięzienie, występuje również taki sam rysunek błony śluzowej i dysfagia...

Gwałtownie się odwrócił i szybko podszedł do matki, która siedziała na korytarzu i cierpliwie na niego czekała.

— Mamo, powiedz... Ale powiedz prawdę! Czy ty czasem nie napiłaś się przypadkiem jakiegoś kwasu?

Powoli podniosła na niego smutne, znużone oczy i przecząco pokręciła głową:

— Nie, Oleczku, na pewno nie.

— Przypomnij sobie. Może esencji octowej — ty przecież często ją kupujesz, albo na przykład...

Zająknął się, błagalnie patrząc na matkę, ale ona znowu pokręciła głową i wytarła chusteczką wargi.

„Nie powie! — pomyślał. — Choćby i coś było, to przez nadmierną delikatność, aby tylko mnie nie trudzić, nie sprawiać sobą kłopotu, nic nie powie. Przecież taki ślinotok — popatrzył na przyłożoną do ust chusteczkę — zdarza się również i przy poparzeniu, w pierwszym jego stadium.”

— Chciałbym jeszcze zrobić sondowanie — powiedział do rentgenologa i wziął matkę pod rękę.

Obojętna i bezwolna, matka z trudem podniosła się z krzesła, a kiedy wyszli z gabinetu rentgenowskiego, delikatnie dotknęła palcami jego ręki.

— Nie trzeba, synu! Po co?... Lepiej dasz mi w domu jakieś proszki.

Uśmiechnęła się do niego bezradnie, a w jej

oczach było tyle miłości, że znów poczuł ucisk serca. Przycisnął do siebie jej rękę i z pośpiechem podszedł do okienka poradni onkologicznej.

Zdawało mu się, że czas stanął w miejscu, kiedy onkolog i siostra wkładali matce do ust sondę, a ona boleśnie się krztusiła. Odwrócił twarz i usiłował nie słyszeć, jak matka dusi się i stęka...

Wreszcie wszystko ucichło. Staruszka oddychała głęboko i wycierała chusteczką usta. Lekarz zrobił krok w stronę okna i uważnie obejrzał końcówkę sondy. Potem westchnął i w milczeniu wyciągnął do Postołowskiego niklowaną oliwkę, na której były widoczne ślady krwi i ropy.

— Przeszkodę wyczuwa się gdzieś na wysokości szóstego czy siódmego kręgu szyjnego...

Do świadomości Postołowskiego doszły tylko pierwsze słowa. Teraz wszystko było bezwzględnie jasne.

I kiedy wyszedł z matką na ulicę, przypomniały mu się słowa z dawnego wiersza Majakowskiego:

Lecz cudów
nie ma
Myśli
daremnie biegną...*

Dopiero wieczorem, kiedy matka trochę odpoczęła, zdobył się na wysiłek, by powiedzieć jej możliwie najspokojniej, że będzie jednak mu-

Tłum. Piotr Kożuch.

siała pojechać do Taszkontu i może nawet poddać się operacji... Zastrzegł się, że na razie nie może powiedzieć nic pewnego — trzeba, by ją zbadali specjaliści — ale nawet gdyby operacja okazała się konieczna, nie będzie to nic groźnego... A w ogóle, to powinna wreszcie poważnie zacząć się leczyć i zadbać o siebie...

Wszystko to mówił zrównoważonym tonem i tak wszedł w niezwykle trudną rolę lekarza, że nawet własny głos zaczął go trochę uspokajać. „A może — myślał patrząc na spokojną twarz matki — może choroba nie posunęła się jeszcze tak daleko?... Może sąsiednie węzły chłonne, te zastępy obronne naszego organizmu, wypełniły swą rolę i zatrzymały komórki raka? Wtedy byłby przypadek typowo operacyjny. Potrzeba tylko wprawnej ręki chirurga — i matka będzie żyła... Lepiej byłoby jednak pojechać nie do Taszkontu, a do Tomska, do kliniki profesora Aleksandrowa, który podobno czyni cuda!”

Matka słuchała w milczeniu. I tym razem nie spytała o chorobę. Wiedziała, że syn i tak nie powie prawdy, a nadmierna troskliwość synowej i jej słodki głos, zapewnienia, że wszystko będzie dobrze, ot, pojedzie do Taszkontu i niebawem wróci całkiem zdrowa — utwierdzały ją w przekonaniu, że jej dni są już policzone... A kiedy usłyszała, że syn, jakby był w znowie z synową, ze sztucznym ożywieniem pyta ją. „No jak, mamó? Pojedziemy do Taszkontu leczyć się?” — odwróciła oczy w stronę okna, by nie widzieć na jego twarzy fałszu.

Jej spojrzenie, jak zdążył zauważyć Postołowski, było już obce i dalekie.

Pochylił się i zapytał z trwogą:

— Zgodzisz się, mamó, na operację?

Popatrzyła na niego i ledwie słyszalnym głosem odrzekła:

— Gdzież mi tam w głowie operacje, synu! I po co?...

I znów przyszły mu na myśl słowa poety:

Lecz cudów
nie ma
Myśli
daremnie biegną...

A po chwili pamięć podsunęła inne, jeszcze smutniejsze słowa — z jakiejś pieśni czy może z czasopisma ukraińskiego, czytanego w latach szkolnych:

Oj, będziesz ty, moja maty
Tycho spaty...

XXV

Karetka pogotowia, którą obiecał przysłać z rejonu Achmetdżanow, wciąż jeszcze nie było. Za to furmanka ze stacji tropikalnej, którą na wszelki wypadek wysłała przezorna doktor Pisoczkin, przybyła punktualnie o siódmej i szkapy kręcąc głowami jadły teraz na podwórku świeże, niedawno skoszone siano.

Przyjazd furmanki uradował matkę. Ucieszyła się, że w swą ostatnią daleką podróż wyruszy nie cuchnącym samochodem, który zawsze przyprawia ją o ból głowy, a właśnie końmi. Tak

samo jak kiedyś, gdy z Perejasławia jeździła czasami do swej nieżyjącej już siostry w Demianczy. I konie na podwórku były takie spokojne jak te wiejskie szkapiny w Perejasławskiem, i siana na wozie dużo, jak wtedy, gdy szwagier wymościł furmankę, i pachnie tak samo...

— Pojedźmy lepiej końmi, Olku — poprosiła. — Nie będzie trząść, na sianie nie uwiera, to jakoś dojedziemy.

Jednak doktor ciągle jeszcze liczył na karetkę. Zwlekał, chciał odsunąć jak najdalej chwilę, kiedy matka wyjdzie z domu na zawsze. Gdy wyobrażał sobie ten dramatyczny moment, zamiast słowa „wyjdzie” przychodziło mu na myśl inne, bardziej odpowiednie do sytuacji — „wyniosą ją”...

Ostatniej nocy prawie nie spał. Zastanawiał się, dokąd matkę zawieźć. Gdy w końcu zdecydował, że pojedą do Tomska, trochę się uspokoił i nawet zdrzemnął. Wkrótce jednak obudziła go nowa myśl: a może lepiej do Kijowa? Tam są przecież świetni chirurdzy i doskonałe kliniki! A najważniejsze, gdyby matka umarła, to przynajmniej pochowa ją w ojczystej ziemi, jak tego pragnie, chociaż o tym nie mówi. Zawiózłby jej ciało do Perejasławia i pochowałby na cmentarzu obok ojca.

A dusza materi do syna
Iz Ukrainy prylita...

znowu wypływały z pamięci słowa jakiegoś dawno zapomnianego ukraińskiego poety...

Po krótkim namyśle zrezygnował z Kijowa.

Taka długa podróż mogła matkę zabić. Jeśli nowotwór nie rozprzestrzenił się jeszcze w innych narządach, to wszystko zależy od czasu. Powinna jak najprędzej znaleźć się na stole operacyjnym. Szkoda cennego czasu na daleką podróż do Kijowa. Nie, lepszy będzie Tomsk!

Ogarnęła go gorączka, by niezwłocznie zawieźć matkę do Tomska, do kliniki onkologicznej, i osobiście porozmawiać z profesorem Aleksandrowem.

Już o świcie przyszło mu na myśl, by w Taszkencie skorzystać z samolotu, ale kiedy powiedział o tym matce, tylko się gorzko uśmiechnęła.

— Gdzie mi tam latać samolotem, gdy... — zaczęła i nie kończąc, z rezygnacją machnęła ręką.

Ale doktor domyślił się, co chciała powiedzieć: „...Gdzie mi tam latać samolotem, gdy już stoję nad grobem!”

Nerwy miał napięte do ostateczności, szybko wyszedł na ulicę, by popatrzeć, czy nie jedzie czasem karetka pogotowia.

Zbliżała się ósma i trudno było dłużej czekać na samochód, jeśli chcieli zdążyć na pociąg. Nie wypadało również nie spełnić ostatniego, skromnego życzenia matki. Postołowski przestał co chwila patrzeć na zegarek, a woźnica, którym był jeden z bonifikatorów, zabrał koniom siano i zaczął je układać na wozie.

Zbliżał się ostatni moment. Doktor obawiał się, że kiedy matka zrobi pierwszy krok na tej żalostnej drodze, straci panowanie nad sobą,

i wyszedł na podwórze. Chociaż wiedział, że mają jeszcze dużo czasu, zapytał woźnicę, czy zdążą do przybycia pociągu przejechać te osiemnaście kilometrów, i zaczął wraz z nim szykować furmankę do drogi.

Nie opodal siedziała na tylnych łapach Żuczka i uważnie wodziła oczyma za Postołowskim. Najwyraźniej coś jej poplątało normalny bieg czasu, podzielony na poranne i wieczorne przyjęcia w ambulatorium — może nowi ludzie, którzy przychodzili tu każdego ranka razem z chorymi i piłowali, rąbali i strugali drewno, a może to niewiadome i niewidzialne, co zmuszało ją do wycia po nocach. W ostatnich dniach Żuczka chodziła jak struta — nie słychać było, żeby na kogoś szczekała, jedynie smutno patrzyła na ludzi, podkuliwszy ogon. A dzisiaj nie peszyła jej nawet obecność na podwórzu o tak wczesnej porze obcych koni i obcego mężczyzny, który się koło nich kręcił, jakby rozumiała, że i konie, i obcy człowiek przybyli tu dla jej opiekunki. Tylko dlaczego ona sama gdzieś tak długo marudzi?... I nastawiając to jedno, to drugie ucho, Żuczka uważnie spoglądała na otwarte do mieszkania drzwi, skąd Nina wносиła poduszki, koc, koszyk z jedzeniem i wreszcie, przechylając się na jeden bok, walizkę z błyszczącymi niklowanymi okuciami.

Aż oto, opierając się na kiju, podtrzymywana pod drugą rękę przez Ninę, wyszła staruszka. Stąpając niepewnie, powolutku zbliżała się do wozu. Żuczka momentalnie się podniosła i machając ogonem, ochoczo wybiegła jej na spotkanie.

— To i ty, Żuczko, już tutaj jesteś? — zdzi-

wiała się staruszka wiedząc, że o tej porze pies odsypia zwykle godziny nocnego stróżowania. W odpowiedzi Żuczka jeszcze żwawiej pomierdała ogonem.

Nina usadowiła teściową na wozie, podsunęła jej pod nogi całkiem zbyteczne wiechcie siana, a staruszka w zamyśleniu popatrzyła na psa.

— Nie wyganiajcie jej... Niech sobie tu u was żyje... Ona taka...

Doktor odwrócił się. Żeby już szybciej minęła ta ostatnia chwila!

Nagle z drzwi wyskoczył Bazio. Był boso, w nocnej koszulce, jeszcze różowy od snu, i mrużąc oczy od światła, podbiegł do furmanki.

— Babciu! Babuniu! Zabierz Bazia! Ja chcę na konikach! — i z żalu rozplakał się, wyciągając do babci rączki.

„Nie, jeszcze się nie skończyła ta dramatyczna chwila! Dopiero się zaczyna...” — pomyślał z bólem Postołowski i zagryzł wargi.

— Nie można, teraz nie można! Babcia jedzie daleko, ale jak będziesz grzeczny, to szybko wróci i przywiezie ci strzelbę — pocieszała małego Nina. Wzięła go na ręce i uniosła do góry: — Pożegnaj się z babcią!

Zdezorientowany chłopczyk pospiesznie pocałował babcię w nos i objął ją za szyję:

— Nie jedź, babciu! Niepotrzebna mi strzelba! Nie jedź!

Staruszka delikatnie pogłaskała go po głowie i wyszeptała:

— Nie płacz, Bazylku! Nie płacz, dziecinko!

Doktor nie odwracając się trącił woźnicę w plecy. Bonifikator obejrzał się i lekko pociągnął za lejce.

— Rośnij, mój malutki, rośnij duży i szczęśliwy! Niech ci Pan Bóg miłosierny...

Postołowski jeszcze raz trącił woźnicę. Chciał powiedzieć: „Ruszajcie”, a wymówił z naciśkiem: „Kończcie już!”

Bonifikator machnął batem. Nina już w biegu pocałowała teściową w policzek, Bazio coś jeszcze krzyknął i konie wyjechały na ulicę.

Postołowski obejrzał się, rzucił ostatnie spojrzenie na żonę, która trzymała syna za rękę i patrząc w ich stronę kłaniała się nisko, prawie w pas...

Doktor siedział jak skamieniały. A więc — po wszystkim! Dom, całe dotychczasowe życie pozostawało w tyle, tylko Żuczka biegła jeszcze obok, z niepokojem wpatrując się w staruszkę.

Skończyło się!

Nie, jeszcze nie!

W turkot kół i tętent kopyt wdarł się naraz kobiecy krzyk. Doktor wzdrygnął się. Przeciągłe, rozpaczliwe „a-a-a” jakby się oddalało, było jednak wyraźnie skierowane do nich. Kazał zatrzymać konie i obejrzał się ze zdziwieniem. Płacząc się w fałdach długiej koszuli, biegła w ich stronę jakaś Uzbeczka z wyciągniętą przed siebie ręką. Rozpoznał w niej „Martę”, jak ją nazywała matka, jedną z sióstr, u których kupowała mleko. Widocznie Uzbeczka dowiedziała się o wyjeździe matki i chciała się z nią pożegnać. Zdyszana, krzyczała coś, ale Postołowski zrozumiał tylko: „He, apa, apa!”

Kobieta dogoniła wreszcie wóz, uchwyciła za półdrabek i położyła koło matki owiniętą w łopianowe liście oselkę żółtego masła. Objęła mat-

czyne nogi i dysząc ze zmęczenia zaczęła szybko mówić coś po uzbecku.

Staruszka kiwała głową, jej twarz rozjaśniła się, a po policzkach ciekły rześiste łzy. Nachyliła się do „Marty” i pocałowała ją w oba policzki.

Aleksander delikatnie dotknął ręki woźnicy, usłyszeli jeszcze: „Apa, apa!” i konie ruszyły.

Wóz miękko potoczył się po szosie. Matka wytarła łzy krajem chustki i z ulgą westchnęła. Teraz i dla niej wszystko się skończyło. Zrobiło się jej żal tej dobrej uzbeckiej kobiety, bardzo żal ukochanego wnuczka, a nawet Niny. Bo chociaż wiele się przez nią nacierpiała — nie daj Boże nikomu tego zaznać — jednak nie życzyła synowej złego. Niech ją ominie zły los, niech żyje z Olkiem w zgodzie i miłości. Jaka jest, taka jest, ale to matka jego dziecka i jego żona. I babcia przy pożegnaniu przyjaźnie uśmiechnęła się do synowej. Żyćcie spokojnie i bądźcie szczęśliwi! Żegnajcie!

I pożegnała się z niewesołym domem swego syna, i z tym podwórzem, gdzie rozmawiała z Żuczka, i z ulicą, którą chodziła na bazar... Teraz, gdy śmierć już zwalniała ją od ziemskich obowiązków, zrobiło się jej lekko na sercu. Nie myślała ani o swej chorobie, ani o operacji, nie wierzyła nawet, że pojedzie do jakiegoś tam syberyjskiego Tomśka. Po co?... Nie, syn ją wiezie na tę daleką, świętą ziemię, gdzie się urodziła, gdzie wiecznym snem śpią jej ojciec i dziadki, gdzie i ona powinna złożyć swą głowę...

Od tej nocy, kiedy usłyszała, że Żuczka wyje, wiedziała już, że niewiele jej życia zostało.

Śmierć, która szukała jej w Perejasławiu, znalazła ją wreszcie tutaj i zaczęła się przed domem. Tylko Żuczka słyszała jej podstępne kroki i dlatego wyła po nocach...

Jedno tylko martwiło staruszkę: gdzie, w jakiej ziemi ją pochowają, kiedy już zamknie oczy? Chociaż syn zadomowił się i niby dobrze urządził na tej azjatyckiej ziemi, i szanowano go tutaj, choć tutejsi ludzie wydawali się jej dobrzy, jednak to nie była jej ojczyzna. I ziemia tutaj taka dziwna, że grządkę łopata się nie skopie, trzeba ją dziabać motyką... A najbardziej tęskniła staruszka — podobnie jak ta spieczona i wysuszona ziemia — za ciepłym letnim deszczem z donośnymi grzmotami i barwną tęczą, jak to było w Perejasławiu, gdzie tęcza jednym końcem opierała się o Trubajło, a drugim aż o Dniepr, czerpiąc z nich życiodajną wodę dla swych pięknych barw. Nie, nie chciałyby być pochowana w tej suchej, gliniastej ziemi!

Przejechali obok meczetu ze smukłym, wysokim minaretem, na którego wierzchołku widniał, niczym odcięty paznokieć, cienki metalowy półksiężyc. Przypomniała sobie, jak bardzo się zdumiała dwa lata temu, gdy po raz pierwszy zobaczyła ten mahometański kościół i mułę w turbanie. Zupełnie jakby się w Turcji znalazła! Wydało jej się wtedy, że przyjechała nie do Uzbekistanu, by u syna wieku swego dożywać, ale że siedzi w teatrze w Połtawie czy w samym Kijowie i ogląda ze swym mężem przedstawienie „Zaporozzca za Dunajem”. Wystarczy, że przejdą jedną czy dwie ulice, i wśród tych Turków zobaczy Kozaków w czer-

wonych żupanach, a trajkotka Odarka wyrecytuje swemu Karasiowi:

Widkila ce ty wziawsia?
De ty dosi propadaw?

a pijany Karaś w czarnej tiubetejce i watowanym czapanie jak nie wrzaśnie basem:

Teper ja — Turok, ne Kozak!
Zdajetsia, dobre zodiahnuwsia?
I jak wono zrobyłoś tak,
Szczu w Turka ja perewernuwsia?...

To przedstawienie już dawno się skończyło, jak skończyło się kiedyś panieństwo i małżeństwo. Teraz, gdy już żegnała się z ziemią i po raz ostatni patrzyła na meczet, wyraźnie słyszała chóralny śpiew z ostatniego aktu tej opery:

Tam, za tychym, za Dunajem
Na zemli je bożyj raj,
My tudy, tudy bazajem —
Tam nasz myłyj, ridnyj kraj!

Nie, tylko tam, do tego rodzinnego kraju, na tę błogosławioną ziemię, co leżała gdzieś za dziesięcioma Dunajami, wrywało się jej poweselałe serce, które nie chciało spoczywać na dalekiej, obcej ziemi. Gdzież indziej mógł ją wieźć rodzony syn, jak nie do domu, na Ukrainę!...

Łagodnym wzrokiem spoglądała na objuczonego osiołka, co stał sobie w cieniu i oczekiwał na gospodarza, na długie zielone rzędy bawełny, które ktoś z boku niczym kosztowne

chodniki zdawał się rozkładać przed jej oczyma, na przystrzyżone morwy, które jak owieczki zbity się w stado w pobliskim kyszłaku. Ze wszystkim się żegnała. I jej serce przepełniała radość, było jej tak wesoło, że z ochotą zaśpiewałaby:

Podaj perewozu ta podaj perewozu,
Ja perewezusia!
Ja perewezusia ta choć raz podywłusia
Na swoju Wkrajinu!

Obok wozu biegła z wywieszonym językiem Żuczka. Nie zważała na niebezpieczeństwa, które czyhały na nią w mijanych kyszłakach, gdzie nie brak było natrętnej psiarni i wiejskich łobuzów, i na szosie, po której pędziły smrodliwe samochody — spaliny aż zapierały psu dech. Całą swoją uwagę suka skupiła na wozie, na którym siedziała jej opiekunka, i dbała tylko o to, by nie oderwać się od tylnych kół. Kiedy staruszka odwracała głowę ku plantacjom bawełny i uzbeckim kibitkom, Żuczka zaczynała machać ogonem, jakby chciała jej przypomnieć o sobie.

Suka wyczuwała, że kończy się najlepszy okres jej życia. Ale nie myślała o tym, co będzie później, co ją czeka w przyszłości, wiedziała tylko, że jej miejsce jest koło jej żywicielki. I biegła, z oddaniem spoglądając na staruszkę, jakby chciała powiedzieć: „Jedź, jedź, jeśli tak trzeba, ale żyj! Żyj dla swego syna, dla małego wnuczka i trochę dla mnie! Jeśli śmierć, której co noc pilnowałam, pozostała tam, na podwórku ambulatorium, nie wracaj. Nic

oprócz gorzkich wspomnień tam nie pozostało! Jeżeli twoja daleka ojczyzna ma przynieść ci wyzdrowienie, porzuć wszystko i jedź tam. Ciężko mi będzie bez ciebie, ale nie będę mieć żalu, bylebyś tylko mogła żyć! Gdziekolwiek będziesz, abyś tylko była zdrowa i żyła!”

Kiedy staruszka spojrzała wreszcie na nią, jakby usłyszała ten zmęczony miłością i oddaniem głos psiej duszy, serce ścisnęło się jej tak boleśnie, że na moment zamknęła oczy.

— Co się z tobą stanie beze mnie, piesku?

I babcia po raz pierwszy tego dnia zasmuciła się, że siły już ją opuściły i nigdy więcej nie będzie mogła karmić Żuczki...

W pobliżu miasta ujrzeni wreszcie karetkę pogotowia. Samochód wieczorem niespodziewanie się popsuł i właśnie przed chwilą opuścił warsztat POM-u. Ale teraz już nie tylko matka, lecz i doktor nie zgodził się, by dla jakichś tam dwóch kilometrów przesiadać się do karetki pogotowia.

I tak dojechali do małej, murowanej stacyjki, ukrytej wśród wysokich topoli. Pociągu jeszcze nie było, ale w niewielkiej, ciemnej poczekalni z kamienną posadzką stały już przed okienkiem dwie długie kolejki. W jednej stały same kobiety, w drugiej sami mężczyźni. Zaniepokoilo to Postołowskiego i wyrwało go ze stanu odrętwienia. Mógł nie dostać biletów, nie mówiąc już o kuszetce dla chorej matki. Nagle przypomniał sobie, że niedawno brał udział w komisji lekarskiej, która badała w rejonowym szpitalu pracowników kolei, i tam zetknął się z naczelnikiem stacji. Szybko udał się do niego. Po kilku minutach stary kasjer w okularach

bezceremonialnie odsunął od okienka tłoczących się ludzi i głośno zawołał:

— Panie doktorze! Doktorze Postołowski! Proszę, tu są dla pana bilety i kuszетки do Taszkentu!

Wyrwawszy się z napierającego tłumu, Postołowski z ulgą westchnął. Bilety miał w kieszeni. Ale gdy postawili na peronie bagaże i zmęczona matka przysiadła na walizce, znów ogarnął go niepokój. Nie, jeszcze nie skończyła się ta dramatyczna scena rozstania, ostatniego pożegnania matki z tym wszystkim, co miało pozostać przy życiu. Przed staruszką stała Żuczka i z bezgraniczną ufnością patrzyła jej w oczy. Matka z trudem pochyliła się i delikatnie pogłaskała psa po głowie.

Naraz straszny łomot, który rozsadzał psu uszy, chmura gorącej pary i szczęk żelaza przerwały dramat rozstania. Żuczka przywarła do ziemi. W przeczuciu, że jakaś potężna, niezemska siła porwie ją za chwilę wraz z opiekunką, zamknęła oko i wsunęła łeb między nogi swej pani. Ale staruszka dalej głaskała ją po grzbiecie.

Kiedy pies, drżąc cały, ze strachem otworzył wylęknione oko, ze zdumieniem zobaczył przed sobą całą ulicę żelaznych kibitek, które, o dziwo, stały nie na ziemi, lecz na wysokich czarnych arbach z żelaznymi kołami. Z tych kibitek wychodziły tłumy ludzi, a z drugiej strony napierali inni, nieśli kosze, walizki, prowadzili dzieci, popychali się.

Z tyłu coś zabębniło, jakby uderzono młotkiem w ogromny próżny kocioł. Żuczka zgłupiała. Czegoś podobnego w życiu nie widziała!

Nawet w POM-ie, dokąd zagnał ją kiedyś głód, nie było nic takiego. Co prawda i tam szczękało żelazo, sapał śmierdzący traktor i któryś z wyrostków cisnął w nią starą nakrętką, ale wszystko stało w miejscu i ludzie zachowywali się zwyczajnie. A tutaj wszyscy się gdzieś spieszyli. Syn jej opiekunki i woźnica, który w tym piekle wydawał się jej bliski, chwycili bagaże i staruszka podniosła się. Ludzkie nogi zasłoniły Żuczce jej panią i pies z trudem natrafił węchem na ślad, bo dokoła pachniało chlebem, smarem, pieczonym mięsem, obcymi nogami i było jeszcze wiele innych zapachów, które zbijały psa z tropu. W końcu Żuczka całkiem zgubiła ślad i z lękiem zaskowyczała. Na szczęście ludzi ubywało i nagle zobaczyła, że jej opiekunka wspina się po schodkach do jednej z tych śmiesznych, żelaznych kibitek, za nią wchodzi jej syn, a ten chłop od koni podnosi w górę bagaże... Nic nie mogła pojąć. Podbiegła, próbowała nawet wdrapać się do góry, ale ktoś ją odepchnął; wreszcie sama zrozumiała, że nie uda się jej wejść do tego żelaznego domku, który pochłonał jej opiekunkę.

Żałośnie skowycząc przebiegła wzdłuż wagonu z zadartym do góry pyskiem, ale wszędzie widziała tylko obcych ludzi. Przedostała się między kołami na drugą stronę, obiegła cały wagon, ale swej pani nigdzie nie dojrzała.

Tymczasem Postołowski podziękował bonifikatorowi za pomoc, ułożył bagaż na półce i zabrał się do siania pościeli. Teraz troszczył się tylko o to, by matce było wygodnie leżeć i nie zawiąło jej od okna. Naprzeciwno okno było otwarte, stała pod nim dziewczynka z błękitną

kokardą we włosach i ciągłymi pytaniami przeszkadzała swej matce w szykowaniu śniadania. Postołowski chciał już poprosić, żeby pozwolono mu zamknąć to okno, ale dziewczynka wychyliła się na zewnątrz i ze zdziwieniem zapytała:

— A dlaczego, mamusiu, piesek ma jedno oko? Mamo, piesek płacze! Czemu on płacze?

Matka Postołowskiego poruszyła się.

— To Żuczka! — powiedziała szeptem i wstała. — Ona nas szuka, Olku. — Uchwyciła się ręką górnej krawędzi półki i pochyliła w stronę okna.

Rzeczywiście, na peronie siedziała zrozpaczona Żuczka i zadzierając do góry pysk, żałośnie wyła.

— Żuczko! — zawołała staruszka ostatkiem sił i wyciągnęła do niej rękę. Pies podskoczył radośnie, ale nie udało mu się dosięgnąć ręki opiekunki.

— Oleczku, daj coś, to jej rzucę, przecież ona dzisiaj jeszcze nic nie jadła...

Doktor wyjął po omacku z koszyka bułkę i ugotowane kurze udko. Matka zaczęła w pośpiechu rzucać psu kawałki bułki, potem mięsa, i zachęcała go jak kiedyś na podwórku:

— Jedz, Żuczko! Jedz!

Żuczka wahała wszystko, ale jeść nie chciała. Kręciła się, przysiadła na tylnych łapach i wysoko podskakiwała, usiłując doskoczyć do ręki staruszki.

Gdzieś po raz drugi uderzono w kotły, w pobliżu coś gwizdnęło, gorące straszdyło na przodzie gniewnie zacharczało i zaczęło sapać. Znowu zrobił się straszny szum i zaskoczona Żucz-

ka przysiadła. Kiedy trochę oprzytomniała, zobaczyła, że koła żelaznej arby toczą się i dziwna kibitka ze staruszką płynie w powietrzu, oddala się coraz szybciej i szybciej, a ręka jej pani robi się coraz mniejsza, ale wciąż macha do niej z okna...

Długo jeszcze po odjeździe pociągu pospiesznego Namangan—Taszkent spacerujący po peronie naczelnik stacji i stary kasjer widzieli nieopodal pustej stacji czarnego psa, który stał koło toru i podkuliwszy ogon, cicho skomlał. Pies wyciągał pysk w dal, w stronę, gdzie pociąg, skręcając przed żelaznym mostem na zachód, przemienił się najpierw w ciemnozieloną zmiję, a później w czarną nitkę i wreszcie całkiem roztopił się w błękitnej mgle.

XXVI

Nieco później widział jeszcze Żuczkę pewien mężczyzna, który podjechał na stację w gaziku i pospiesznie wyszedł na peron, popatrzył posępnie na puste tory kolejowe, na daleką smużkę dymu, i wreszcie zatrzymał niezadowolone spojrzenie na skulonym psie, który żałośnie skowyczał. Doktorowi Chodżajewowi, rzecz jasna, ani przez myśl nie przeszło, że to bezdomne zwierzę ma jakiś związek z matką doktora Pośtołowskiego, chociaż od wczesnego ranka rozmyślał o tym, co się dzieje ze staruszką i jej

synem lekarzem, którego tragedię wziął sobie głęboko do serca.

Wczoraj przybył do szpitala w Kara-Daryńsku, gdzie stwierdził niedostateczną profilaktykę i duży procent zachorowań na malarię, co wymagało głębszego zbadania i jego osobistej ingerencji. Mimo że bardzo zajęty, dodzwonił się jednak po wielu bezowocnych próbach do Chakuł-Abadu i zobowiązał Achmetdżanowa do wysłania następnego dnia rano samochodu dla matki doktora.

Dzisiaj rano ponownie zadzwonił do Achmetdżanowa. Kiedy usłyszał, że chorej jeszcze nie odwieziono z powodu nieprzewidzianego remontu samochodu, wybuchnął takim gniewem i tak skrzyczał osłupiałego kierownika wydziału zdrowia, że ten, cały roztrzęsiony, zaczął się jąkać i zerwał się z krzesła, jakby miał przed sobą nie aparat telefoniczny, lecz żywego rozżłoszczonego człowieka.

— Felczerze Achmetdżanow! — powiedział Chodżajew spokojniejszym już tonem, opanowując się, ale sam fakt, że zwierzchnik nie zwrócił się do niego per „kolego”, jak zwykle zwracał się do swoich pracowników, napędził Achmetdżanowowi jeszcze większego stracha. — Chodzi o osobę chorą i w dodatku matkę waszego lekarza. Gdziekolwiek wam się uda zdobyć — w radzie narodowej, komitecie partii czy gdzie indziej — weźcie samochód i natychmiast poślijcie. Najpóźniej za godzinę będę u was. Proszę, żeby do tej pory był załatwiony urlop miesięczny dla doktora Postołowskiego, pensja za ostatni miesiąc i diety na delegację. Sam mu to prze-

kążę. Zabierajcie się do roboty! Ja nie lubię żartować. Zwłaszcza gdy chodzi o chorych.

Rozgorączkowany ze wzburzenia, rzucił słuchawkę na widełki, naprędce uścisnął rękę osłupiałemu kierownikowi szpitala w Kara-Daryńsku i pobiegł do samochodu.

Po dwudziestu minutach wysiadł przed wysoką, ponurą bramą ambulatorium Postołowskiego.

W domu doktora zastał tylko rozczochraną, w postrzępionym szlafroku panią domu, która na widok niespodziewanego gościa tak przejęła się swym wyglądem, że bez przerwy się usprawiedliwiała. Ale on nie zwrócił na nią uwagi, gorączkowo rozglądając się po pokoju. Na wiadomość, że staruszkę odwieziono do stacji końmi, zmarszczył brwi i gniewnie wykrztusił:

— A to oferma! Co za przekłeta oferma!

Nie żegnając się wyszedł szybko i po upływie pół godziny był już w rejonie przed wydziałem zdrowia. Tam już na niego czekano i gdy tylko zgrzytnęły hamulce, wybiegł do niego Achmetdżanow i sekretarka Hordijenko. Sekretarka trzymała w ręku listę płac, wieczne pióro i kopertę z pieniędzmi.

Achmetdżanow wyrecytował po wojskowemu, że karetka pogotowia już pojechała, a jeszcze przed nią zostały wysłane konie ze stacji tropikalnej, ale Chodżajew tylko spojrzął na niego gniewnie, rzucił: „O tym jeszcze porozmawiamy”, nerwowo podpisał listę płac, wziął, nie przeliczając, kopertę z pieniędzmi i dał znak kierowcy.

Teraz Chodżajew rozejrzał się po opustoszałym peronie i ujrzawszy spacerujących wolnym

krokiem mężczyzn — naczelnika stacji i starego kasjera — podszedł do nich.

— Nie wiecie czasem, panowie, czy wsiadł do tego pociągu lekarz z chorą matką?

— Doktor Postołowski? Owszem, owszem, wsiadł — odpowiedział usłużnie naczelnik, a przezorny kasjer, który od razu wyczuł w nieznanym grubą szyszkę, nie omieszkał dodać:

— Wydałem dwa bilety z kuszetkami do Taszkentu. Wagon numer trzy.

— Kiedy przychodzi pociąg do Andiżanu i jak długo tam stoi? — zapytał marszcząc się Chodżajew, który przy całej swej zewnętrznej surowości nie znosił u ludzi przypochebnego tonu i oznak serwilizmu.

Nie wysłuchawszy do końca odpowiedzi naczelnika i kasjera, którzy na wyścigi starali się przypodobać nieznanemu przedstawicielowi władzy, Chodżajew pobiegł do samochodu, czym kompletnie ich zdziwił i rozczarował (wszak władzy nie przystoi biegać!).

— Do Andiżanu, na stację! Zdażymy. Tylko szybko! — rzucił kierowcy.

Samochód ostro zawrócił i po chwili na szosie została po nim tylko chmurka pyłu, która z wolna roztopiła się w upalnym powietrzu.

W Andiżanie Chodżajewowi udało się wskoczyć do ostatniego wagonu w momencie, gdy pociąg już ruszał. Przechodząc z wagonu do wagonu, odnalazł wreszcie Postołowskiego i jego chorą matkę.

Staruszka poruszyła wargami, usiłując powiedzieć coś na powitanie, ale z jej ust wydobył się tylko niewyraźny szept. Jedynie po tym, jak dwukrotnie powoli przymknęła oczy i spróbo-

wała się uśmiechnąć, można się było domyślić, że ucieszyła się na widok Chodźajewa.

Kiedy konduktorka i syn rozłożyli na ławce pościel i matka położyła się wreszcie i wyciągnęła na posłaniu ciężkie, jakby nie swoje nogi, od razu poczuła się gorzej. Jazda na stację i wsiadanie do pociągu ostatecznie ją wyczerpały. Uczyniła jeszcze wysiłek, by rzucić Żuczce przez okno jedzenie, ale zrobiła to resztkami sił. Kiedy pociąg ruszył i znikła w oddali Żuczka, a potem stacja i miasto, zrozumiała, że zamknęła się nie tylko ostatnia karta jej pobytu w Uzbekistanie, ale oto zbliża się również ku końcowi cała jej długa księga życia... Poczuła, że nie ma już sił i nigdy ich już mieć nie będzie. Dusza jeszcze jakoś trzymała się ciała, ale i ono stawało się dla niej obce i uciążliwe. Pojawienie się Chodźajewa tylko na chwilę przywróciło ją do życia, później znowu przycichła, jakby przysłuchując się, czy dusza nie zaczęła już opuszczać ciała.

— Ja też do Taszkentu, zebrało się trochę spraw. Czy tej górnej półki nikt jeszcze nie zajął? — spytał Chodźajew Postołowskiego, wpatrując się w bladą twarz staruszki, i niby mimochodem dodał: — Przy okazji wziąłem dla kolegi z wydziału zdrowia pensję i pieniądze na delegację.

Niespodziewane zjawienie się Chodźajewa zaskoczyło Postołowskiego. Chciał być z matką sam i był wdzięczny konduktorce, że umieściła ich w osobnym przedziale. Obecność postronnego człowieka, nawet takiego jak Chodźajew, krępowała go, domyślił się jednak od razu, że jego pochmurny zwierzchnik wsiadł do tego po-

ciągu nieprzypadkowo — nie ze względów służbowych czy osobistych, a po prostu, by pomóc jemu i matce w ciężkiej sytuacji. I po raz pierwszy w tym strasznym dniu doktorowi zrobiło się źlej na sercu.

— Zdaje się, że pańska matka zasnęła... Może wyjdziemy na chwilę, zapalimy — powiedział szeptem Chodźajew, nachylając się nad staruszką, która leżała z zamkniętymi oczami. Postołowski myślał, że Chodźajew chce mu coś powiedzieć na osobności, i w milczeniu poszedł za nim.

— Przeżywa pan ciężki okres — odezwał się Chodźajew już na korytarzu, marszcząc ciemne brwi. — Serdecznie koledze współczuję. Ale trzeba się wziąć w garść!

Zamilkł na chwilę i sięgnął do kieszeni po papierosa. Postołowski, który po przyjsciu na świat Bazia rzucił palenie, teraz machinalnie wyjął z paczki papierosa i zaciągnął się chciwie.

— Nasze czasy stawiają ludziom takie wymagania, jakich nie stawiała żadna inna epoka. Powinniśmy zmienić nie tylko rzeczywistość, ale i samych siebie — odezwał się w zamyśleniu Chodźajew. — „Jesteśmy stworzeni po to, by baśń przemienić w życie”, tymczasem w życiu, szczególnie tu w Uzbekistanie, można się natknąć na takie przeżytki przeszłości, takie „oazy zacofania”, że aż dziw bierze, jak mogły one przetrwać do naszych czasów...

Postołowski zrozumiał, że Chodźajew chce odwrócić jego myśli od fatum, które zawisło nad matką, i dlatego zaczął rozmowę o sprawach, które doktora nie mogły w tej chwili zaintere-

sować. Słyszał, co mówi Chodżajew, ale nie był w stanie podtrzymać rozmowy i bezmyślnie patrzył przez okno na dalekie góry, za którymi zaczynała się Kirgizja. A Chodżajew mówił dalej:

— Wizytowałem wczoraj szpital w Kara-Daryńsku. Zachodzę do gabinetu zabiegowego, patrzę, a tam roje much, zupełnie jak na bazarze koło jatki. Skąd się wzięły? Zajrzałem przypadkowo za parawan. Na nocnej szafce leży czerstwy chleb i resztki śniadania, a na ścianie wisi fartuch z plamami krwi. W gabinecie zabiegowym! Na oko wszystko w porządku — i kwiaty w oknach, i czyste zasłony, i czysty parawan. A sam doktor... Przejrzałem jego diagnozy — nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać: „Rozdrażnienie, niecierpliwość” (czytaj — neurastenia) albo: „Z powodu złego stanu żołądka (pewnie jakiś nieżyt) chory może pracować tylko częściowo...” Nic dziwnego, że „doktor” Ikramow nie zauważa much, że go nie martwi wysoki procent zachorowań na malarię. O profilaktyce nawet nie myśli. Za to ma swój parawan, nawet dwa: dyplom akademii medycznej w Samarkandzie i niestety... legitymację partyjną. I oto proszę porównać: nasi uzbeccy naukowcy, nasi wspaniali inżynierowie, agronomowie, hodowcy bawełny, a tu — taki lekarz Ikramow, który nadawałby się moim zdaniem tylko na nadwornego medyka emira bucharskiego. Taka jest rzeczywistość, taki nasz dzisiejszy Uzbekistan, gdzie wielu jeszcze ludzi chowa się za różnymi parawanami.

Chodżajew umilkł i zapalił nowego papierosa. Nic z tego, co mówił, nie docierało do świadomości.

mości Postołowskiego. Dopiero słowo „parawan” zrobiło w jego pamięci jakiś wyłom, a gdy powtórzył je po raz drugi, Postołowski drgnął i zaczął słuchać z uwagą. Przy ostatnim zdaniu zgarbił się i gwałtownie obrócił twarz do Chodźajewa, jakby czekał... na wymierzenie policzka. Przypomniał sobie nagle stary parawan matki, który dzisiaj rano wyniósł ze swego gabinetu na zawsze, i może dlatego wydało mu się, że Chodźajew celowo kieruje rozmowę na ten alegoryczny parawan. Ale Chodźajew milczał i zamyślony patrzył w okno. Postołowski wzdrygnął się, jak od koszmarne go snu, przeprosił i szybko wszedł do przedziału.

Matka nadal leżała na wznak z zamkniętymi oczami. Twarz miała spokojną, tylko jej rysy przesłaniała mgielka smutku i niehumanicznego zmęczenia, jakby przed chwilą spoczęła po nieprzerwanej ciężkiej pracy.

„Biedna!” — pomyślał z goryczą, daremnie usiłując znaleźć w pomarszczonej, bladej i smutnej twarzy to łagodne, wolne od trosk i kłopotów oblicze, jakie pamiętał z dzieciństwa. „Pracowała całe życie, by spocząć dopiero w tym wagonie, wśród przypadkowych, obcych ludzi. A jej poniewierka już tu, w Uzbekistanie, w mojej niezgodnej rodzinie, gdzie troszczyła się o wszystkich, a żyła za parawanem!...”

I znów w jego świadomości odbiły się dalekim echem słowa Chodźajewa o parawanie w szpitalu w Kara-Daryńsku i wszelkich parawanach w życiu ludzi. Gdyby usłyszał o tym wcześniej, nim u matki wykryto raka, śmiałyby się pobłaźliwie z dziwaka Ikramowa. Teraz ogarnęła go taka rozpacz, że mógł jedynie tam-

temu zazdrościć. Szczęśliwy Ikramow! Jego matka nie umiera z powodu zbyt późno wykrytego raka, on tylko nieopatrznie zapomniał przed przyjazdem władzy zajrzeć za przekłętą parawan w gabinecie zabiegowym, a u niego za parawanem gasło życie matki i w ciągu całych dwóch lat nawet nie zajrzał, co się tam naprawdę działo!

Kiedy Chodźajew wrócił do przedziału, Postołowski siedział z łokciami wspartymi o kolana i ukrytą w dłoniach, nisko pochyloną twarzą. Widząc to usiadł ostrożnie na skraju ławki i w milczeniu patrzył, jak głowa staruszki kiwa się w takt ruchu pociągu, który zaczął kołysać na rozwidleniach torów przed jakąś dużą stacją.

XXVII

Chodźajew poprosił Postołowskiego, aby zbudził go o drugiej w nocy. Zaproponował, żeby pełnili dyżur na zmianę — byle przetrwać jakoś noc, a raniem będą już w Taszkencie. Lecz Postołowski nie zbudził go ani o drugiej, ani o trzeciej, ani o czwartej, kiedy już widniało i przedział w świetle wstającego dnia powoli nabierał normalnego wyglądu.

Zmęczony całodzienną szarpaniną, Chodźajew mocno spał na górnej półce, a Postołowski w ciszy czuwał, oparłszy się o mały stolik, który oddzielał go od wezglowia matki. Rozmyślał o tym, jak przykro, jak bardzo przykro jest umierać o świcie! Nie wieczorem, nie w nocy, a o świcie, u progu nowego dnia, gdy wszystko

ożywia się, budzi, odradza... Im więcej o tym myślał, tym wyraźniej uświadamiał sobie, że właśnie gdzieś o świcie pojawi się to straszne rozwiązanie... Dlatego bał się usnąć.

Matka leżała jak w letargu. Niekiedy otwierała na chwilę oczy i obcym wzrokiem patrzyła w sufit, skąd dobiegał szum wentylatora. Wtedy Postołowski nachylał się i szeptem pytał:

— Może wody, mamó? Może chcesz czegoś?

Matka nie odpowiadała.

Nie słuchał oddechu, nie męczył jej daremnym szukaniem tętna, jednak wiedziony osobliwym przeczuciem, właściwym nie tyle lekarzowi, co synowi, nieomylnie wiedział, że matka żyje.

Nawet się nie spostrzegł, jak nad ranem oczy same mu się zamknęły i zapadł w krótką drzemkę. Gdy się raptem ocknął, jak gdyby go ktoś zawołał, w wagonie już się rozwidniło i gdzieś zaczęli się budzić pasażerowie. Za ścianą płakało rozbudzone dziecko, ktoś przeszedł korytarzem z ręcznikiem i przyborami do mycia, przebiegła przez wagon konduktorka, ale nie to go zbudziło, lecz spojrzenie matki. Głowa matki była obrócona w bok i oczy patrzyły wprost na niego. Wstał szybko i podszedł do niej.

— Co ci jest, mamó? — zapytał drżącym głosem czując, że nadchodzi to, czego się obawiał przez całą noc.

Sine wargi poruszyły się i lekko rozwarły. Czy się przesłyszał, czy rzeczywiście matka chciała coś powiedzieć — wyczulony słuch Postołowskiego uchwycił tylko cząstkę słowa — jakies „pe...”

— Przewrócić na bok? — spytał i przystawił ucho do jej ust, ale usłyszał tylko przeciągły świst.

— Poprawić pościel?

W na wpół zamkniętych oczach zauważył wyraz goryczy i tęsknoty.

— Perejasław? — powiedział prawie krzyżąc i powieki matki spokojnie się zamknęły.

„Marzy o Perejasławiu...” — pomyślał i momentalnie, by zdążyła jeszcze usłyszeć, głośno powiedział:

— Zawiozę cię, mamó, zawiozę.

Ale matka już więcej się nie odezwała.

Na górze obudził się i od razu zeskoczył na dół Chodźajew.

— Już ranek? — zdziwił się spojrzawszy w okno, gdzie lada chwila miały się ukazać promienie wschodzącego słońca. — Czemu mnie kolega nie obudził? Pan powinien trochę odpocząć, nabrać sił... — Spojrzał przez ramię Połtołowskiego, zasłaniającego swym ciałem twarz matki, i cicho zapytał: — Jak tam?...

Gdy zobaczył nieruchome, sine usta i woskowoszarą rękę, która zwisała bezwolnie, zrozumiał, że nie ma już o co pytać. Podniósł rękę matki i z trudem odszukał delikatne jak niteczka, ledwie wyczuwalne tętno.

„Agonia” — skonstatował w myśli i ostrożnie położył na pościeli kościstą rękę.

Przed samym Taszkentem matka jeszcze raz otworzyła oczy. Wszystko, co było w niej żywego, naprężyło się, usta konwulsyjnie zadrżały, otworzyły się szeroko oczy. Obojętne i zimne nie dostrzegały już ani syna, ani Chodźajewa, a wpatrzone były w jakiś punkt koło wentyla-

toła. I zastygły w niemym zdumieniu, jakby matka dostrzegła tam coś takiego, czego nie mogli dostrzec i zrozumieć inni żywi ludzie...

...To, co sanitariusze wnieśli na noszach do ambulatorium kolejowego w Taszkencie, nie było już matką, i Postołowski odwrócił czerwone z niewyspania oczy. Bezmyślnie patrzył przez okno na opustoszały pociąg, którym przyjechał do Taszkentu, i zrobiło mu się żal, kiedy wagony powoli zaczęły się wycofywać na boczny tor...

Kto wie, jak długo by tak stał i patrzył w okno, nic nie widząc, gdyby z tyłu nie podszedł Chodźajew i nie zapytał:

— Gdzie kolega chciałby pochować matkę?

— Jak to gdzie? W Perejasławiu — wzruszył ramionami i rozłożył ręce bezradnym gestem. — Gdzież by indziej?

Chodźajew popatrzył uważnie na wymizowaną twarz, postarzałą w ciągu tej nocy o kilka lat, i nie wiedział, czy Postołowski mówi o tym jakimś Perejasławiu na serio, czy... rozum postradał. Zapytał po chwili, jaka to stacja kolejowa, a Postołowski całkiem rozsądnie odpowiedział:

— Stacja nazywa się tak samo, Perejasław, ale do miasta jest dwadzieścia pięć kilometrów i trzeba jechać samochodem.

Chodźajew wziął go pod rękę i cicho, ale stanowczo powiedział:

— Ja wszystko załatwię. Niech kolega się nie martwi.

Następnego dnia po południu Chodźajew przyniósł do hotelu, gdzie nocowali, bilet na pociąg i kwit bagażowy na ocynkowaną trumnę z ciałem matki. Oddając Postołowskiemu pieniądze na delegację i pensję, zaproponował mu na wszelki wypadek pożyczkę. Postołowski machinalnie włożył pieniądze do kieszeni marynarki i wymówił się od pożyczki. Był tak przybity, że nawet nie podziękował, wlepił oczy w kwit bagażowy i długo obracał go w rękę, nie wiedząc, co z nim zrobić.

— Niech kolega schowa kwit do dowodu osobistego — poradził Chodźajew i Postołowski w milczeniu to zrobił. Ale długo jeszcze dotykał palcami tego miejsca, gdzie był dowód, jakby sprawdzał, czy go nie zgubił lub jakby w tym miejscu odczuwał ucisk.

Chodźajew odwiózł Postołowskiego na dworzec i na pożegnanie powiedział:

— Rozumiem pański ból — to ciężki cios. Cóż na to poradzić? Rozum nasz nie może pogodzić się z bezsenssem śmierci... Ale... trzeba się jakoś trzymać!

Słyszając te proste, ciepłe słowa, wypowiedziane przez tego wspaniałego, wrażliwego człowieka, który zrobił dla niego w tych strasznych dniach tyle dobrego, Postołowski z bólem, prawie krzyżąc, powiedział:

— Gdyby pan wiedział, jak wielki mam dług wobec matki! I jak go spłacić... — Nie był w stanie dokończyć: „kiedy matki już nie ma”.

Chodźajew powiedział cicho:

— Wszyscy jesteśmy dłużnikami naszych rodziców, naszych najbliższych, swojego kraju. Tylko narodowi możemy spłacić nasze długi!

Zapowiedziano odjazd pociągu. Chodźajew podniósł się pospiesznie, uścisnął bezwolną rękę Postołowskiego, ze smutkiem popatrzył na zmęczoną twarz i naraz chwycił go w objęcia.

XXVIII

Na stacji w Chutorze Michajłowskim Postołowski po raz pierwszy od przesiadki w Moskwie wyszedł na peron. Chociaż budynek stacji niczym nie odróżniał się od poprzednich, a pobliski sosnowy las wyglądał tak samo jak pod Briąńskiem, była to już Ukraina. Dostrzegając to w samej nazwie „Chutir”, która widniała na frontonie budynku stacyjnego, świadczyła o tym mieszana mowa na peronie. Szczególnie zwrócił jego uwagę melodyjny głos starszej kobiety, która krzyczała na cały głos:

— Ogóreczki świeże! Komu, komu...

Na dźwięk dawno nie słyszanej mowy ojczyściej pomyślał: „Jak bardzo cieszyłaby się matka, gdyby mogła usłyszeć ten język, taki sam jak w Perejaślawiu, gdyby zobaczyła tę kobietę w starych brezentowych pantoflach, która proponuje wszystkim swoje ogóreczki!”

Skierował się do przodu pociągu, gdzie sapał gotowy do dalszej jazdy parowóz, i poczuł się jakoś dziwnie — jest już na Ukrainie, ale sam, bez matki. Matki już nie ma, tylko w bagażowym wagonie stoi trumna z jej ciałem. Przypomniały mu się znane Puszkinińskie słowa:

I choć nieczującemu ciała
Jednaki każdy w ziemi schron,
To przecież spocząć by się chciało
Bliżej rodzinnych, miłych stron...*

Podszedł do szeroko otwartych drzwi wagonu bagażowego, z którego wyładowywano jakieś pakunki owinięte rogożą, i wstrzymując oddech zajrzał do środka. W kącie z lewej strony, pomiędzy maszyną krawiecką a dziecinnym rowerem, połyskiwał bok ocynkowanej trumny. I trudno mu było uwierzyć, że to leży tylko ciało matki, a jej samej już nie ma i nigdy nie będzie.

Obrócił się twarzą na południe, w stronę dalekiego Perejasławia, do którego cały czas wyrywała się myśl stroskanej matki, i stanowczo sobie przyrzekł: „Ja wszystko spłacę, mamó. Wszystko!”

I po raz pierwszy w tym trudnym do zniesienia okresie — czy to od wiatru, który owiewał mu twarz, czy z innej jakiejś przyczyny — w jego oczach pojawiły się łzy i zrobiło mu się lżej na sercu. Poczul się tak, jakby się z czymś czy z kimś pogodził i jakby zostało mu przebaczone wszystko, co wydarzyło się w przeszłości.

Tłum. Julian Tuwim.

